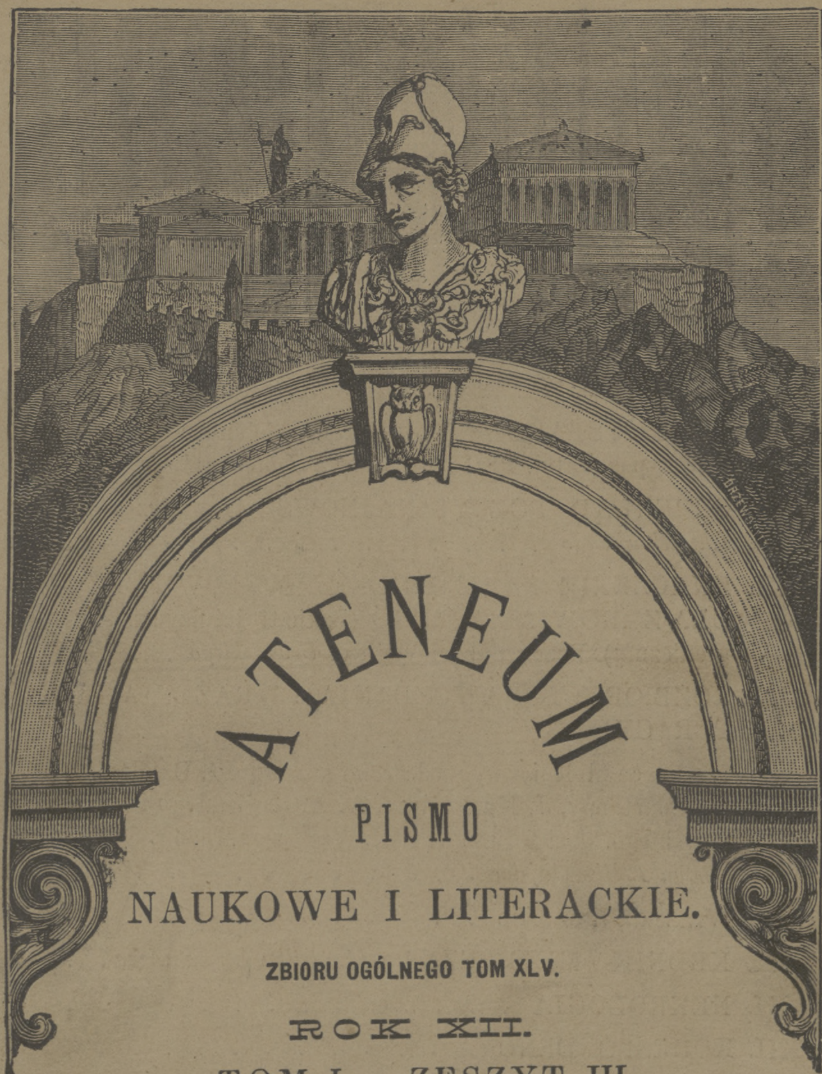


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLV.

ROK XII.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Marca 1887 r.



KIERUNKI NASZYCH CZASÓW.

Prądy, objawiające się w tegoczesnych społeczeństwach, pod wpływem rozwoju, osłabienia, lub zmiany najgłówniejszych — zasadniczych pojęć, przedstawiają wiele pozornych, a nawet rzeczywistych sprzeczności, zaciemniających dalszą drogę. Wynaleźć punkt zapatrywania się, najodpowiedniejszy ku wyrozumieniu obecnego położenia i ruchu, jest zadaniem pracy niniejszéj.

I. NARODOWOŚĆ.

Pojęcie narodowości jest przez każdego inaczéj rozumiane; nadawane mu są bowiem najrozmaitsze znaczenia, idąc od materyalnych, rasowych, aż do najzupełniéj oderwanych.

Nie mam pretensyi do wywodzenia naukowych teoryi, sam przedmiot jednak nie może być zbytym pobieżnie; chociażbym więc przekroczył nieco miarę dla publicystyki codziennéj właściwą, będzie to winą nie moją, lecz doniosłości przedmiotu.

1. Uczucie samozachowania jest pierwszém, najogólniejszém i najtrwalszém uczuciem całéj żyjącéj natury.

Człowiek — istota towarzyska — w miarę umysłowego rozwoju swego i społeczności, do któréj należy, rozciąga stopniowo to uczucie na rodzinę, na ród, na pokolenie, na naród i każde z tych przejść, to formacya geologiczna w moralnéj sferze, trwająca dziesiątki, może setki wieków, a im szerszy jest krąg, z którym zespala człowiek swoję osobistość, tém wyższém staje się jego uczucie, tém bardziéj z egoizmu wypalają się okruchy, a spływa czysty metal poświęcenia.

Jakim sposobem odbywają się te przemiany i gdzież jest ta spójnia wiążąca rody, pokolenia i plemiona w jeden naród, w jeden

żywy organizm, w olbrzymią osobistość o niezaprzeczonych, jasnych i wyrazistych rysach?

Rząd, prawa, religia, język, zwyczaje, obyczaje, są to najwybitniejsze zjawiska zewnętrzne życia społecznego. Stanowią one widomy węzeł każdéj narodowości, i zdaje się najprostszém szukać *w nich tylko samych* źródła spójni. Zastanawiając się jednak kolejno nad każdém z tych zjawisk z osobna, daje się dostrzedz i udowodnić fakt, że po za pomienionemi zjawiskami, których doniosłość jest niezaprzeczenie niezmierną, inne jeszcze, głębsze, wewnętrzne warunki stanowią samę istotę i treść narodowości.

2. Pod jednym rządem pozostaje częstokroć kilka narodowości, które duchem są sobie najzupełniéj obce, a czasami nawet dzieli je nienawiść. Duńczycy, Polacy w sejmie pruskim nieraz doznali niedwuznacznych tego dowodów. Niemcy i Węgrzy pod berłem Habsburgów są to dziś, jak i dawniéj, dwie odrębne, duchem sobie obce narodowości.

Z drugiéj strony, naród może się rozpaść pomiędzy rozmaite rządy, nie zatracając jedności narodowéj. Tak Włosi, przed laty jeszcze trzydziestu, pod mnóstwem rządów tą samą oddychali myślą zjednoczenia, o któróm ongi jeszcze marzyli Dante i Machiavelli. Półtoratysiąca lat rozdrobnienia i całe szeregi gwałtów jedności ich nie zniszczyły.

A daléj, jeżeli dana forma rządu wpływa w swoim czasie na wyrobienie charakteru narodowego w pewnym kierunku, to znów naodwrót: pod działaniem tego charakteru, istota rządu w danych narodowych warunkach bardzo często przestaje odpowiadać formie, rząd monarchiczny staje się w zastosowaniu republikańskim, a republikański autokratycznym.

A więc rząd nie powoduje ani scementowania obcych sobie narodowości, ani też zdoła rozbić już istniejących narodowych węzłów; forma nie stanowi o istocie jego w zastosowaniu, przeciwnie, kierunek rządu bardziéj jest zależnym od ducha narodowości panującéj, niż mu ten duch podlega nawzajem.

3. Prawa w znacznéj części utraciły w nowszych czasach miejscową, narodową cechę. Minęły dawne wieki, kiedy naród cały swój geniusz wcielał w prawodastwo; przychodzimy coraz więcéj do kilku oderwanych typów. Tym samym typem kierują się często narody, pomiędzy któremi niéma skądinąd żadnego podobieństwa, a każdy z nich inaczéj wykonywa te prawa, tak że sposobem wykonywania praw więcéj różnią się między sobą narody, niż zyskują na podobieństwie przez przyjęcie praw jednakowych.

4. Znając naród i charakter jego, można rokować, jak pojmie on, uszanuje i wykona prawa jakiejkolwiek religii. Znając religią i jéj ducha, niepodobna przewidzieć jak przystosuje się ona w narodzie bliżéj nam nieznanym. Górujące prawdy téj saméj religii tłómaczą się bez względu na czas i miejsce w sposób zawsze i wszędzie jednakowy, lecz to, co w zastosowaniu jest tych prawd kwiatem samym — uczucie religijne, inną ma woń i barwę pod każdém niebem.

Rażące jest podobieństwo pomiędzy purytanizmem Szkotów a Hiszpańskim katolicyzmem, kiedy znów ten ostatni mało ma wspólnego z pogodną, nawpółpogańską religijnością katolickiego Włocha.

Anglia z jéj niesłychaną rozmaitością wyznań — to jeden naród. Austrya z jedną religią—to zbiór narodów. Skoro więc jedna religia w różnych narodach objawia się różnie, a w jednym narodzie różne religie objawiają się jednakowo, to pomiędzy religią i narodem niéma stosunku przyczyny i skutku, a tak charakter narodowy jak i stosunek narodu do religii zdają się być wspólnemi następstwami innéj, dalszéj przyczyny.

5. Język jest już cechą narodowości tak wyraźną, iż o niéj zdaje się stanowić niewątpliwie.

Nie sprawdza się jednak ta zasada na wielojęzycznéj maleńkiéj Szwajcaryi, którą jeden mocno zjednoczony zamieszkuje naród, nie sprawdza się na Ameryce północnéj, gdzie Niemcy, Skandynawi, Polacy utrzymują każdy język macierzystéj swojéj narodowości, a jednak stwarzają w oczach naszych, wszyscy pospołu, odrębną narodowość, coraz wyraźniejszą. Nie sprawdza się też ani na Alzatczykach, którzy mówią po niemiecku, ale nazwać się Niemcami nie chcą, lecz mianują się Francuzami; ani na Szwajcarach, mówiących po francuzku, którzy jednak oprócz języka mało zresztą z Francuzami mają i mieć chcą wspólnego.

6. Wewnątrz każdéj większéj narodowości napotykają się grupy nietylko o gwarze, ale i o zwyczajach i obyczajach zupełnie odmiennych. Nie można powiedzieć, że język-to i zwyczaj z Bretona i Baska czyni jednolitych Francuzów, skoro dziś jeszcze nie bardzo się oni rozumieją; a powiada Hellwald, że i obecnie większa pomiędzy nimi zachodzi różnica, niż pomiędzy każdym z nich a Niemcem. Któż wątpi jednak o tém, że należą obaj nietylko do jednego państwa, ale i do jednego narodu. Toż samo da się powiedzieć o Piemontczyku i Sycylianinie.

7. Wszystko zatém prowadzi do przekonania, że zjawiska zewnętrzne nadające narodowi cechę jednolitości nie są przyczyną zjednoczenia narodów lecz wprost przeciwnie wchłonięte przez naród naginają się one do jego ducha, i treści od tegoż zapożyczają. *Spo-*

sób ich pojęcia i wykonania nie jest przyczyną lecz skutkiem narodowości w duchu swoim wyrobionéj.

Poszukajmy więc w prawach ducha tych węzłów, które wiążą w jedną osobistość zbiorowisko nieprzeliczone.

8. Najistotniejszemi prawami wszelkiego życia są nieprzerywalność i zmienność. Ileż to razy w ciągu krótkiego istnienia przerabia się ustrój istot organicznych aż do najdrobniejszéj fibry, a jednak trwa on wciąż jeden, niezaprzeczenie ten sam. Podobnie i każda ludzka gromada w jednéni osiedlona miejscu przechodzi zmiany najrozmaitsze, a przez wszystkie zjawiska wspólnego jéj życia wije się jednak nić ta sama, widoczna dla najpowierzchowniejszego badacza.

Nie cofając się w te wieki, ani idąc w te miejsca, których stosunki zbyt od naszych są różne, przypatrzmy się, jak snuje się ta nić przed naszém okiem w czasach dzisiejszych.

Pierwsze wrażenia umysłu, wszechmocny przykład, popęd do naśladownictwa i chęć wyróżnienia się wyrabiają w rodzinie umysł dziecięcia swojém współ i przeciwdziałaniem. Chęć do naśladownictwa prowadzi do ustalenia przyzwyczajeń, do wyrobienia z nich *zwyczaju*, którego znaczenie jest niezmierne, jest on bowiem pierwowzorem prawa i wywołuje zewnętrzną łączność społeczeństwa, ujednostajniając postępowanie jego członków; szanowany w rodzinie zwyczaj nabiera powagi pod grozą rodzicielskiéj kary. Wrodzony znów każdemu samorzutnemu umysłowi popęd do wyróżnienia się, który w rodzinie węzłami sympatyi połączonéj potępianym nie będzie, wnosi do zwyczaju pierwiastek zmiany o tyle do przyjęcia łatwiejszy, o ile nic szanowanego nie łamie.

Rodzina, wyrabiając uczucie i podległą mu wolę drogą sympatyi, na gruncie utrwalonych doświadczeń przeszłości, jest zawiązkiem organicznym narodowéj spójni; przez wymagane posłuszeństwo i karność daje dziecięciu pierwsze poczucie obowiązku, przez wzajemne przywiązanie i ustępstwa jest szkołą poświęcenia i ofiary.

Popędy odebrane pod dachem rodzinnym trwają przez całe życie, tak jak ta siła ciążenia, która wiąże ciała do słońca i nie dopuszcza im lecieć w nieskończoność, każdemu swoim szlakiem.

Chęć wyosobnienia się—popęd do indywidualizmu, to siła rzutu w przestrzeń, która broni ciało od spadania na słońce.

Ze *szkoły* odbiera młodociany umysł cały szereg uczuć, wiadomości i wyobrażeń, które się wiążą w sieć tak splątaną, że najczęściéj w stanie całości nierozerwanéj niesione są z człowiekiem do grobu.

Wpływ szkoły jest tém silniejszy, im więcéj dąży ona do spotęgowania uczuć nadanych przez rodzinę, im więcéj posiłkuje się założonym już w głębi ducha fundamentem.

Dla ludzi w wieku dojrzałym uznana wielkość, wyższość umysłowa i moralna osobistości przodujących, stanowi trudną do zwalczenia *powagę*. Tą drogą nabiera człowiek przekonań, do których nie doszedł własném doświadczeniem, a tych posiada całe mnóstwo.

Najsilniejszym wreszcie bodźcem do działania, miarą do moralnego sądu o wypadkach i ludziach jest *opinia publiczna*. Nadaje ona temu z pomiędzy współczesnych wpływ nieprzeparty, kto umie być zrozumianym, trafić w tętno narodowych skłonności, mową i czynem ucieleśnić ducha otaczającéj go społeczności. Taż sama opinia pozbawia wpływu innych, choćby najrozumniejszych, jeżeli idą na przekór narodowym skłonnościom. Spotyka ich to obojętność — to wstręt—to nienawiść, i pozostają bezsilni. Tak to uczucie narodowe chciwie wchłania te siły, które idą na jego wzmocnienie, inne sobie przeciwne bezwzględnie odrzuca, zatém z pokolenia w pokolenie musi się wzmagać. Żywi się własną piersią; soki, duchowi swemu obce, rzadko przyswaja, najchętniéj odtrąca.

Te cztery siły społeczne: rodzina, szkoła, powaga i opinia tak ściśle są z sobą powiązane, tyle w każdéj z nich napotyka się śladów i działania trzech pozostałych, że wszystkie razem tworzą jedną, jednoimienną siłę społeczną, są podścieliskiem tradycyi i nadają *ciągłość* zjawiskom narodowym.

Cóż to jest tradycya?

Jest to złożone a przecież jednolite pojęcie, w którém połączone są w organiczną całość: kraj przez społeczność zamieszkany, obyczaje, zwyczaje, prawa, język, zdobyte skarby nauki i sztuki, religia i przeszłość historyczna.

Kto tradycyą pokochał, w tym bije żywe źródło przywiązania do domowéj zagrody, do współobywateli, do kraju, tym włada uczucie narodowe.

Uczucie to tém jest silniejsze im bogatszą w treść jest zawartość tradycyi. Dopóki naród na widowni świata nie zaznaczy swojego historycznego pochodu, dopóki jakąkolwiek stroną nie zaważy dodatnio w losach ludzkości, dopóty jest zbiorem pokoleń, nie zaś narodem, masą niekształtną, nie zaś osobistością o postaci wyraźnéj, jaką być musi przedmiot, jeśli uczucie, jakie wzbudza, ma być zdrowe i płodne.

Powody tego są proste.

Historyczna przeszłość, to dzieje walk przetrwanych zewnętrznych i wewnętrznych, a skutki walki są dla uspołecznienia najdonio-

ślejsze, gdyż wyrabiają pojęcia porządku, karności, zasługi i powagi, a więc zaciskają społeczne węzły. Historyczna przeszłość, to wspomnienia wspólnych klęsk i wspólnéj chwały, wspomnienia dni wspólnéj obrony od wroga, kiedy wyszły na jaw dotykalne korzyści z narodowéj spójni, kiedy dał sobie naród nowe rękojmie braterstwa.

Udział w losach ludzkości zdobywa się dołożeniem swojéj cegły do wspólnéj budowy, do rozwiązania zadań szlachetniejszych i wyższych, niż samolubna troska o chléb powszedni; tą drogą naród w ludzkości może nabyć téj saméj powagi, jaką pośród niego posiadają przodujący ludzie, więc czuje się uznawanym i szanowanym członkiem wszechludzkiéj rodziny i o tyle téż więcéj sam siebie szanuje.

Pod wpływem przyczyn podobnych, w tym samym narodzie różne jego klasy niejednakowe mają narodowe uczucie, siła i objętość tegoż idzie w równéj mierze za siłą i objętością przyswojonych przez umysł nabytków tradycyi, nie zaś za stopniem oświaty. Kiedy w Anglii i Węgrzech uczucie narodowe najmocniejszém jest w klasach wyższych, to we Włoszech i Francyi w średnich, a w Irlandyi i Czechach w najniższych. U jednych tradycya wyrasta na gruncie historycznym, u drugich z ustnego podania i legendy. Niejednokrotne jednak mieliśmy tego dowody, że w danych momentach historycznych jedno wspólne uczucie przebiega jak iskra elektryczna przez wszystkie warstwy narodu i łączy je z sobą doraźnie. W tych wypadkach przemiana zewnętrzna dokonywa się nagle, wewnętrzną musiały przygotowywać wieki. Trudno jednak wyśledzić i opisać te drogi, jakiemi przenika uczucie narodowości i do tych klas, które względem niego zdają się być obojętne.

Zjawiska, co z osobna wzięte, nie tłómaczą ani charakteru narodowego, ani jego siły, téż same zjawiska nabierają znaczenia, właściwéj wagi, kształtu i barwy, skoro tylko w skład tradycyi wejdą; ona to przysposabia i urabia na swoję modłę wszystko, co ma być przyswojoném, a już przyjęte stawia zaraz na ołtarzu narodowym.

Tradycya jest uczuciem nieprzerwanego związku z dawno wygasłemi pokoleniami, z najbliższym światem zewnętrznym, kolebką i piastunem owych pokoleń, a siła tego uczucia jest niezmierna. Stąd idzie i przeważny wpływ jego, wiemy bowiem dowodnie, że nie od rozumu, lecz od natężenia i kierunku uczuć zależném jest postępowanie. Rozum wpływa na wolę o tyle tylko, o ile przez mocne uprzytomnienie koniecznych następstw danéj przyczyny, przez narzucenie wyobraźni tych następstw w zarysach pełnych i wyraźnych, zaszczepi w umyśle nowe uczucie pożądania, lub obawy względem koniecznych następstw danéj przyczyny. A więc znów

nie przekonanie, ale nowe to uczucie będzie jedną z sił wpływających na dalsze postanowienia.

Tymczasem uczucie narodowe obejmuje w sobie nieprzebrane mnóstwo skłonności i popędów wspólnych ogromnemu ludzkiemu zbiorowisku, a więc stale wzmacnianych i przez dziedziczność i przez oddziaływanie masy. Do tego związanego w całość ustroju wprowadzić pierwiastek nowy nie łatwo, i tém trudniéj jeszcze, że podczas gdy dla zmiany kierunku byłoby wymagane nieomylne ocenienie stosunków, to naród patrzy na świat i wypadki współczesne przez pryzmat wyrobionéj pracą wieków tradycyi; trudno więc przebić gęstą tkaninę uczucia, które w swoje barwy nawet rzeczywistość ubiera. To nam tłomaczy, dla czego Anglicy, przy umyśle tak politycznie dojrzałym, nie chcą widzieć skutków swego postępowania w Irlandyi. Szkła narodowe, przez które patrzą, zaciemniają im sam fakt popełnianéj niesprawiedliwości. Gdyby widzieli tenże okiem bezstronném, umieliby obliczyć jego następstwa.

Potęga rozumu w odrębnéj objawia się sferze. Udziałem jego jest postęp w dostrzeganiu zjawisk, i wykrywaniu zachodzących między niemi stosunków. Jest to życiodawcza siła, bez któréj tradycya zamyka się w saméj sobie, kamienieje i przechodzi w bezmyślną rutynę. Bez zmienności niema życia. Rozum jest źródłem *zmienności*, tego koniecznego czynnika wszelkiego życia, a zmienność w dobrém znaczeniu to *postęp*.

Więc postęp prowadzi coraz nowe soki do skończonego organizmu tradycyi, odmładza ją wciąż i urozmaica, lecz działając szybko na wszystkie objawy, mające związek z poznawaniem, tylko nader odległemi i powolnemi drogami, już to wprowadza nowe strony moralne do charakteru narodowego już to dawne usuwa. Zmienia on natężenie, wydobywa nowe odcienia uczuć, ale ich ustosunkowania i natury ledwie dotyka. Chociażby nabytki rozumu poszły w kierunku rozjaśnienia praw moralnych, to i wtedy jeszcze lepsza znajomość teoretyczna tych praw mało wpłynie na ich przyswojenie. Témbardziéj zaś dotyczé to postępu w zakresie nauk ścisłych i stosowanych. Można w jedno pół wieku wprowadzić koleje żelazne, telegrafy, telefony, oświetlenie elektryczne, można lądy przebić i oceany połączyć, ale trzeba długoletnich doświadczeń wyraźnych, a bolesnych, trzeba zdobytego przez rozum jasnego, wypukłego, że tak powiem, w kształtach swoich wyobrażenia o koniecznem następstwie każdego działania, aby wprowadzić jakiś nowy czynnik do ducha narodowego.

Wieków mało, aby przerobić naród, gdyż sprzeciwia się temu tkwiące w nim zbiorowe uczucie, które należy do najsilniejszych.

Jeżeli zaś przeciw temu mniemaniu walczy pozorna sprzeczność, że z plemion pokrewnych i w pobliżu siebie osiedlonych, sobie podobnych, mogły powstać narody o charakterach zgoła odmiennych, to przypomnimy, że takiéj zmianie uległy jedynie plemiona bez historycznéj przeszłości, po większéj części wędrowne. Przyroda każdego nowego siedliska na duchu niewyrobionym z łatwością mogła wyciskać swoje piętno, a nadto plemiona te spotykały w swoim pochodzie inne, z któremi zmuszone były wojować, a łącząc się z niemi po walce, cząstkę ich podań i zwyczajów przejmowały. Żydzi z plemienia stali się narodem od chwili, jak zwyciężywszy narodki semickie, wierzeniami Egiptu wzbogaceni, na stałe osiedlili się w Palestynie.

W ostatecznym wywodzie tego co powiedziano przyjść musimy do następujących konkluzyi:

Uczucie narodowe jest wyrobioną w pewnych utartych kierunkach żywszą wrażliwością, jest zbiorem skłonności i popędów sharmonizowanych, a wspólnych ogromnemu zbiorowisku ludzi, których jedna wiąże tradycya. Ta wrażliwość, te skłonności i popędy, to osobna dziedzina ducha, skończona w sobie, psychicznie rzeczywista. Na jéj tle dopiero rozwijają się indywidualne kierunki. *Jest więc w rodzinie ludzkiéj narodowość, bez żadnych poetyckich przenośni, skończoną i wyraźnie określoną osobistością. Ciałem jéj jest tradycya, a duszą—wspólne popędy.*

Ciągłość i tradycya stwarzają narodowość, zmienność i postęp tworzą sferę cywilizacyi wszechludzkiéj. Oddziaływanie wzajemne tradycyi i postępu wydaje cywilizacyą narodową, w imię któréj naród zajmuje miejsce we wszechludzkiéj rodzinie.

II. SOCYALIZM KRAŃCOWY.

Prace fizyokratów i Adama Smitha, pod wpływem ducha rewolucyi francuzkiéj, wprowadziły do gospodarstwa społecznego nową zasadę wolnéj konkurencyi. Płodna w niesłychane i dobroczynne następstwa pod względem wytwarzania bogactw, poprowadziła ta zasada do normowania płacy roboczéj możliwie najniższą cyfrą. Kto płaci drożéj nie wytrzyma konkurencyi, gdyż pozostanie z niesprzedanym towarem, gdy inni taki sam wyrób rzucą na rynek po tańszéj cenie. Z drugiéj strony pracodawcy nie mogą darmo wkładać swego majątku i pracy. Im który, obok umiejętności i sprężystego zarządu, zasobniejszy jest w kapitał, tém wyższy osiąga z tegoż procent, a nadto tém większa część dochodu przechodzi na jego korzyść. Szersze stosunki, tańszy i łatwiejszy kredyt, możność natychmiasto-

wego stosowania wynalazków, a nadewszystko bardziéj szczegółowy podział pracy pomiędzy robotników i korzyści ekonomiczne płynące z pracy zbiorowéj, najdoskonaléj zorganizowanéj, wszystko to przypada na jego udział. Nieubłagana konieczność prowadzi zatém do smutnego następstwa, że w każdym oświeconym narodzie na miliony liczą się ludzie, których życie całe przechodzi na nieustannéj pracy bez nadziei polepszenia bytu i wytworzenia zapasu na wypadek nieszczęścia, i na tysiące znów inni, którzy dochodzą do bogactwa przewyższającego wymagania zbytkownéj egzystencyi kilku pokoleń. Pierwsi, tak zwani proletaryusze pędzą żywot z dnia na dzień, pod ciągłém zagrożeniem, że lada jaki przewrót handlowy, okoliczności niezależne ani od nich, ani od chlebodawców, pozbawiając ich zarobku, rzucą ich na pastwę głodu i ostatecznéj nędzy. Drudzy—kapitaliści—jeżeli tylko nie zaniedbują pracy i rządzą się przezornością, muszą powiększać swój majątek, gdyż spotrzebować dochodów nie są w stanie. Jedną z przyczyn takiego położenia jest okoliczność, że jakkolwiek Smith, Ricardo tudzież inni wielcy ekonomiści, stawiając sobie jedno jedyne założenie: „wynaleźć jaką drogą uzyskuje się jaknajwiększe bogactwo,“ pominęli w rozbiorze inne zadania społeczne, nie zaprzeczając ich ważności; to w praktyce przyjęto ich zasady bezwzględnie, zaniedbując po za obrębem potrzeb ekonomicznych, dotyczących wytwórczości potrzeby społeczne jaknajszerszego a sprawiedliwego podziału bogactw. W obec takiego kierunku gospodarstwa położenie kapitalisty tém się polepsza, że rosnące z każdym rokiem potrzeby państwowe poprowadziły do wypuszczenia nieprzeliczonéj liczby papierow procentowych, od których odcinając kupon, kapitalista otrzymuje dochód bez potrzeby dokładania pracy. Położenie zaś klasy robotniczéj tém się pogorsza, że każdy wynalazek, zastępujący maszyną pracę ludzką, ruguje z warsztatów pewną liczbę robotników, od których wymagana była inteligencya, a więc lepiéj płatnych, i zastępuje ich mniejszą liczbą robotników, przeważnie kobiet i dzieci, od których nie wymaga się nic więcéj jak uwagi i pilności, a więc płatnych gorzéj. Téż same wynalazki sprawiają, że przemysł z biegiem czasów staje się coraz mniéj dostępnym dla osób z umiarkowanym zasobem, i przypada na coraz wyłączniejszy udział wielkiego kapitału, gdyż im więcéj maszyn i przyrządów, tém większego potrzeba funduszu zakładowego dla każdego przedsiębiorstwa. Tym sposobem wielki kapitał stopniowo pochłania mniejszy, klasy o pośredniéj zamożności nikną, na drabinie społecznéj wyłamują się szczeble, i otwiera się nieprzebyta przepaść pomiędzy proletaryuszem z jednéj—wielkim kapitalistą z drugiéj strony.

Do tego dochodzą jeszcze okoliczności zewnętrzne pierwszorzędnej wagi. Koleje żelazne, kanały i w ogóle komunikacye stanęły na téj stopie kolosalnego rozwoju, że na każdym rynku współubiegają się wyroby całego świata. Wzmaga się więc konkurencya do niesłychanych rozmiarów, w zawody idą kraje i strefy produkujące w warunkach najkorzystniejszych, a ponieważ konkurencya jest tą przyczyną, któréj następstwa wskazaliśmy powyżéj, wzmocnienie więc przyczyny sprowadzić musi i następstwa spotęgowane.

Dopóki stosunki międzynarodowe były powolniejsze i trudniejsze, a rozwój przemysłu słabszy, dopóty przemysłowcom łatwiéj było obliczyć się z rodzajem i rozmiarem najkorzystniejszéj w danym czasie i miejscu produkcyi. Dziś wszelkie obliczenia nierzadko chybiają, gdy gdzieś w dalekich stronach powstaje nagle i nabiera szalonego rozrostu produkcya lepsza i tańsza, dla naszéj zabójcza. Rozwija się kryzys częściowy, oddziaływający zawsze na ogół produkcyi, gdyż sprowadza niedokonsumcyą, a więc odpowiednio do zmniejszonych potrzeb, nadprodukcyą. Wprawdzie kryzys wybucha z rozmaitych przyczyn a przedewszystkiém z wybujałości kredytu, z pod którego lada panika wytrąca podstawę, lecz olbrzymi rozwój przemysłu i nader ułatwione komunikacye uczyniły go częstém zjawiskiem. Każdy zaś kryzys to zepchnięcie licznéj klasy właścicieli do proletaryatu—a proletaryatu do pauperyzmu.

Daléj państwowe formacye powiększyły się i wzmogły w nasze czasy olbrzymio, a jedne tak mocno zapragnęły rozszerzyć swoję sferę, drugie tak bardzo potrzebują zabezpieczyć się od grożącego im niebezpieczeństwa, że cała niemal stara nasza część świata stała się jedną wielką placówką, na któréj luzują się warty. Że te warty nic pożytecznego nie produkują, o to pozornie być może mniejsza, gdyż przy dzisiejszych środkach przemysłu rąk do roboty nie braknie; ale wytężenie sił militarnych kosztuje drogo, tak że siły podatkowe krajów już nie wystarczają, i konieczność zmusza państwa do zaciągania coraz nowych pożyczek i płacenia od nich coraz większych sum odsetek. Na te procenty trzeba szukać źródeł dochodu w podatkach pośrednich, pogorszających położenie robotnika i wypuszczać papiery procentowe, polepszające położenie kapitalisty.

Konieczność—przeznaczenie—prowadzi do szybkiego pogłębiania otchłani pomiędzy proletaryuszem, a kapitalistą.

Od wieków bardzo dawnych idealiści pieścili się myślą o zrównaniu ludzi pod względem zamożności, i utrzymywaniu ich stale w tém położeniu. Ruch rewolucyjny umysłów epoki reformacyjnéj,

i drugi silniejszy jeszcze z przeszłego wieku, narodziły mnóstwo teoryi niwelacyjno-społecznych. Teorye te wszystkie raziły jednak widoczną niepraktycznością, a co ważniejsza nie trafiły jeszcze na grunt właściwy. Dopiero w naszym wieku te utopie, w obec przemysłu, rozwijającego się olbrzymio, znalazły szerokie dla siebie podścielisko w nader licznéj klasie roboczéj i wyrosły na fakt przerażający ogromem na nieustającą groźbę gwałtownego przewrotu społecznego.

Coraz wyraźniéj, coraz dotykalniéj rysuje się doktryna socyalna wywrotowa, która domaga się bez ogródek doraźnego starcia z postaci ziemi całego dzisiejszego układu społeczeństwa, w interesie stałego dobrobytu klas zarobkujących, a więc domaga się gwałtownéj zmiany wszelkich dzisiejszych praw i urządzeń, innego rozmieszczenia władzy i siły społecznéj, usunięcia ze społeczeństwa warunków wytwarzających klasę wolną od pracy, i zastąpienia ich takiemi, przy których cały zarobek, bez najmniejszego uszczerbku, dostanie się robotnikowi. Wyznawcy téj doktryny nie cofają się ani w teoryi ani w praktyce przed żadnym środkiem, prowadzącym do jéj celów.

Zdaniem socyalistów wywrotowych religią wytępić trzeba koniecznie i przedewszystkiém. Ona to wskazuje człowiekowi inne życie, lepsze, po za grobem, jako nagrodę i równoważnik za doznawane tu na ziemi cierpienia i pokorne znoszenie doczesnego losu. Ona to odejmuje popęd do nieustającéj walki o dobra tego świata. Ziemię zdobywać trzeba krwią i żelazem i dla możności zwycięstwa zaciągnąć w szyki bojowe jaknajwiększą liczbę walczących. Jeżeli cudem do szeregów dałby się zwerbować ten, kto pewny jest życia po za grobem, to cicha pokora i łagodne zaparcie się siebie będą mu obezwładniać już podniesioną rękę, będą rodzić skrupuły wśród zastępów, dla których każdy skrupuł jest niczém więcéj jak wytworem, ale téż i tarczą dawnych stosunków i właśnie dla tego razem z niemi, a nawet i przed niemi iść musi na zagładę. Socyalizm wywrotowy i religia nie mogą znosić się nawzajem. Religia dóbr doczesnych z religią dóbr wiecznych pogodzić się nie dadzą.

A teraz jakiż być może stosunek socyalizmu do narodowości. Naturalnie ten, że tradycya—wyobrazicielka ciągłości, uważaną jest przez socyalistów za największą przeszkodę do zwalenia istniejących porządków, za najgłówniejszą tamę na drodze do celu. Zdaniem więc wywrotowców tradycyą gwałtem zburzyć trzeba. W tym celu socyaliści świadomie dążą do zniweczenia lub zupełnéj zmiany tych sił, które wytwarzają tradycyą.

W pierwszym rzędzie na zagładę skazana jest przez nich rodzina, aby wyrwać z podstaw społeczeństwa podwalinę dawnych wierzeń, przywiązań i poświęceń.

Daléj wołają o gruntowne zreformowanie szkoły, o wytępienie z niéj tak zwanych przesądów, inaczéj zawsze znajdą się słabi, którzy zadrżą przed zagładą wszystkiego, co wniosły w ducha narodowego nieprzeliczone pokolenia. W tym téż kierunku rzuconą jest anatema na twory najwznioślejsze ducha ludzkiego, na wszystko, co stworzyły literatura i sztuka. Co się zaś tycze powagi ludzi przodujących, co się tycze opinii publicznéj, to pierwsza dla socyalistów zmieniła się na powagę apostołów ich doktryny, druga na opinią socyalistycznych kółek, zgromadzeń i stowarzyszeń. Inna powaga, inna opinia jest dla nich śmieszną i wstrętną. Jest to więc cały świat odrębny, samodzielny, w sobie zamknięty: rzeczpospolita głodu, chłodu i złudzeń.

Dla powodzenia wywrotu potrzeba połączenia wszystkich sił klas zarobkujących całéj Europy, przeciwko połączonym siłom klas posiadających. Czyż nie jest oczywistém, że stokroć bliższy jest stosunek pomiędzy robotnikiem francuskim a włoskim, wynikający ze wspólności interesu, niż stosunek robotnika włoskiego z kapitalistą włoskim, lub robotnika francuskiego z kapitalistą francuskim. W oczach socyalisty kapitalista ma z nim zawsze interesa sprzeczne, a kapitalistą jest w jego wyobrażeniu każdy, kto nie należy do robotniczych związków. Co może obchodzić tych i tamtych robotników kwestya Alzacyi, co ich obchodzić może tak zwany honor narodowy: oni wiedzą to tylko, że nawet za zwycięstwo zapłacą nowym podatkiem. Czy nie lepiéj im wyciągnąć do siebie bratnią rękę i pracować razem nad wywrotem stosunków, wytwarzających nieznośne dla nich położenie.

Tymczasem to położenie w znacznéj liczbie wypadków byłoby znośném, gdyby nie palące pragnienia i pożądania, nie pojęcia skrzywione, nie te niedościgłe ideały, jakie w umysłach robotników rozbudzają apostołowie socyalizmu. Nieszczęściem największém dla robotnika jest odskok pomiędzy jego bytem rzeczywistym, a bytem wymarzonym, jaki do osiągnięcia możliwym mu się zdaje. Przecież warunkiem szczęścia nieodzownym jest właściwe ustosunkowanie pomiędzy natężeniem pragnień a możnością ich zaspokojenia.

Z drugiéj strony, trudno znaleść u wyznawców socyalizmu ściśle określone normy, wedle jakich, stosownie do ich potrzeby, ma być urządzone społeczeństwo. Da się jednak dowieść, że nieodzownem następstwem zniszczenia rodziny, prawa dziedziczenia i przedsiębiorczości prywatnéj, żądanych przez wywrotowców, byćby mu-

siał fizyczny przymus do pracy względem tych obywateli, którzyby nie potrafili wyrobić w sobie najidealniejszego z pojęć — *pojęcia obowiązku pracy nie dla siebie lecz dla społeczeństwa.* Wykonanie przymusu należałoby do rządu, którego władza, obejmując wszelkie sfery działalności ludzkiéj, przeszłaby rozmiarem swoim najdziksze despotyzmy wschodu. Że rząd taki byłby obieralnym, mała stąd pociecha, dała bowiem dowody z wyborów powstała konwencya za czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj, do jakiego stopnia posunąć się może ludzka samowola. Ciągłe zmiany poprzedzane wstrząśnieniami, a prowadzące w następstwie za sobą hekatomby ludzkie i wzrastającą nędzę, byłyby wypływem téj samowładzy teoretycznej ludu i samowładzy praktycznéj rządu. Widząc niepokonane trudności w postawieniu pozytywnych zarysów przyszłych urządzeń w ich wzajemném oddziaływaniu i związku, socyaliści wywrotowi stawiają szereg oderwanych żądań, stawiają luźne obrazy łudzące i ponętne, lecz nie wiążą tego wszystkiego w organiczną całość, gdyż najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła wymyśléć do ich budowy takiego cementu, którыby wszystko, co zbudowali, mógł w jedności trwaléj utrzymać. Dla tego to, najlogiczniejsi z wywrotowców nie stawiają żadnego innego programatu, jak tylko zagładę obecnych urządzeń społecznych. Takiém téż jest *jedyne* hasło anarchistów, którzy, dając przynajmniéj w przeczeniu wyraźny program, coraz więcéj zdobywają sobie stronników. Tu już ustaje wszelka logika, jednéj i drugiéj stronie pozostaje — walka.

Józef Jeziorański.





DLA ŚWIĘTÉJ ZIEMI.

NOWELLA.

IV.

Wieść o kupnie wołów przez Józka rozbiegła się po całéj wsi, w chwili nastania siewów. Biedni szukali u młodego chłopaka pomocy. Orał im rolę, siał i włóczył zasiewy, płacili mu za to gotówką, ziarnem i odrobkiem. Ciołki młode i silne, chłopak żwawy i ciekawy do pracy, robota szła aż radość brała,—ludzie go lubili i garnęli się do niego. „Józek“ imię to wymawiano z odcieniem szacunku i sympatyi. Żałowano chłopaka powszechnie i pocichu szeptano, że stary Sidor go skrzywdził, zabierając kawał pola za byle co—za te parę stówek zapłaconych w banku.

Jesień zbliżała się powoli. Zimne ranki, ciemne grube i ciężkie chmury zwieszające się nad ziemią, wiatr pędzący przed sobą gromady żółtych liści i babie lato rozsiadłe po ścierniach mówiły, że już jest, że się zagospodarowała na ziemi.

Roboty ubyło, Józek na pochyłości wzgórza pasąc woły, wpatrywał się w zagony swego pola. Kopali ziemniaki. Widział jak zajeżdżały fury jedne po drugich, ładowali pełne wozy wywożąc je do zagrody Sidora. Ziemniaki czerwieniały zdaleka jak jabłka. Narachował ich ośm fur, i nie było końca, gdy on zaledwo miał ich dwie. Śmiechy i wesołe piosenki dolatywały go, krwawiąc mu serce. Smutny i zamyślony wrócił do izby.

— Bo i czego tam ciągle siedzisz i patrzysz, mówiła Kaśka. Żal cię ino po próżnicy zbiera, serce się krwawi i tyle twego. Matka potakiwała Kaśce głośnemi westchnieniami.

Józek nie odpowiadał, uznawał racyą Kaśki, lecz gdy wyganiał woły na paszę, coś go ciągnęło w stronę swego pola, szedł, siadał na wygonie, patrzał i serce krwawił.

W późnéj jesieni wieczorem przy zapalonéj lampce, gdy Kaśka z matką przędły len na wrzeciona, obliczono się. Pokazało się że Józkowi nie wiele z zarobionych pieniędzy ciołkami zostanie. Należało zapłacić podatek, kupić ziarna na chleb, jedna więcéj gęba do jedzenia przybyła—Kaśce i matce sprawić buty. Zdałaby się i chustka, lecz o chustce nie mogło być nawet mowy.

— Dziękuj Bogu, że chleba nie zabraknie, zdecydowała Kaśka.

— Tak, tak dziękuj Bogu, poświadczyła matka.

Chłopak nie dziękował, podparł głowę ręką, serce krwawił i żal go zbierał. Nigdy, już nigdy nie odbierze swego; chociaż się zapracuje, chociaż za nim do ust kawałek chleba poniesie, dwa razy go obejrzy. Nie mógł znieść téj myśli, a nie chciał głośno się skarżyć.

— A prosiak—zawołał, jakby przebudzony ze snu.

Na Kaśkę buchnęły ognie, chwilę milczała, nareszcie odezwała się cicho.

— Weź go sobie — i nie mogąc znieść spojrzenia gospodyni wybiegła z izby.

Józek patrzał zdziwiony.

— Ukąsiło ją czy co—zwrócił się do matki.

— Nie ukąsiło, ale zabolało. Pieniądze za wieprzaka przeznaczyła na wasze wesele. Ale kiej chcesz go zabrać, weź, ona ci marnego słowa nie powie.

— Nie chcę, krzyknął.—Tak się tylko pytałem w pogwarce.

— No to wiedz, że Kaśka powoli ciuła i ładuje się na wesele. Gdzie się ino ruszysz, to za tobą poziera. Miarkujesz ty dobrze, że ona się wlubiła w ciebie, jeszcze kiej była dziopa (1)... Józek,—dodała poważnie,—tak być powinno. Sierota; ojciec twój zmarnił jéj pieniądze. I cóż z nią zrobić, jakbyś się z inną ożenił: wygnać?

Józek milczał. Kaśka, stojąc we drzwiach obórki, słyszała wykrzyknik: „Nie chcę.“

Oparła się o wierzeje, nogi pod nią zadygotały, gniew wstrząsał. Dała dwa kroki naprzód, zatrzymał ją wstyd, za wstydem przyszedł żal.

— Ojciec wydusił, co ino mógł, syn zabrał resztę a teraz wygnają mnie na cztery wiatry. Wygna mnie *ona*.... Otarła łzy z oczu ręką, namacała w ciemnościach stołek i skopek, zarzuciła krowie garść koniczyny i doić zaczęła.

— Ona? kto jest ta ona, co mnie ztąd wyrzuci?—Gubiła się w domysłach.

— Bo żebym chwilki tu nie wysiedziała, jak się z inną ożeni

---

(1) Dziopa—podlotek.

to jak Bóg na niebie.—Wykrzyknik ten łagodząco na nią podziałał. Uspokojona wróciła do izby. Przecedziła ze skopca do garnka mleko, zamięszała żur, ziemniaki wysypała na miskę, omaściła, postawiła na stole i podała łyżki. Józkowi blaszaną, dla gospodyni i siebie drewniane.

Jedli w milczeniu, Kaśkę dławiło w gardle, że ledwo przełknąć mogła ziemniaki. Zjadła ich zaledwo kilka, parę łyżek żuru i zabrała się do przędzenia.

— Kaśka, dla czego nie jesz?—spytała ją gospodyni.

— Bóg zapłać,—odpowiedziała. Matka spojrzała na Józka, chłopak oczy spuścił. Spojrzenie to zobaczyła dziewczyna, ręce jéj zadrżały, w piersiach zaparło, lecz milczała, zwijając daléj njć na wrzeciono.

Chłopak zamyślony i smutny posiedział parę chwil w izbie i poszedł spać przy wołach, którym żłób i drabinę w obórce ustawił.

— Gdyby ojcowizna była moja, gdyby mi moich zagonów nie wydarli, to i Kaśka byłaby moja. A tak cóż? Przyjdą dzieci, będzie bieda. Ja muszę odebrać swoje.

Dziwna walka zaczęła się w nim odbywać: miłości do utraconego kawałka ziemi i przywiązania do Kaśki.

W izbie gospodyni nie śmiała się odezwać do sieroty. Dobra jéj natura czuła, że jéj robiono krzywdę, a syna własnego oskarżać nie mogła. Przywiązała się do dziewczyny, kochała ją jak córkę, a bała się obcéj synowéj.

— Kto wie,—myślała,—czyby mnie obca nie wygryzła. Kaśka nie wygryzie.—Zbliżyła się do niéj i pogłaskała ręką po twarzy. Serdeczność ta rozczuliła sierotę, rozpłakała się.

— Nie bój się nie,—mówiła stara.—On jeszcze się nie uspokoił po stracie ojcowizny. Wieprzka nie chce i pieniędzy za niego nie chce. Gody wnet nastaną, pójdziecie do księdza na pacierze, dasz na zapowiedzi i będziesz go miała, a wtedy ci go już nikt nie wydrze.

— Czy ino pójdzie,—szepnęła Kaśka.

— Pójdzie, pójdzie, bo cóżby robił. Czy on to gdzie lata? Dzień cały przy robocie, wieczór siedzi z nami. Chodź spać i nie trap się, bo nie masz czego.

Śnieg okrył ziemię. I nic nie było widać na świecie jak tylko biały całun na dole, w górze niebieski błękit, dokoła czarne lasy i gdzieniegdzie dymy wznoszące się ciemnemi kitami z kominów chat. Słońce jaskrawo świeciło, złote jego promienie padające na

śnieg oślepiały ludzi, ciągnących wydeptanemi ścieżkami. Góry się ożywiały ludzkiemi głosy, przystroiły w czarne kołnierze kożuchów mężczyzn i czerwone chustki, okrywające ramiona kobiet.

Lud spływał do ogniska, do murowanego kościołka z czarną, drewnianą wieżyczką, stojącego na obmurowaném urwisku podmywaném przez rzeczkę. Wody jéj, mimo mrozu i śniegu, szemrząc po kamieniach płynęły. Na cmentarzu stali gromadą parobcy, kobiety i gospodarze śpiewali godzinki w kościele, czekając na rozpoczęcie nabożeństwa.

Przez rzeczkę przechodziła przodem Kaśka. Na głowie miała białą chusteczkę darowaną jéj przez Józka, niebieską w żółte kwiaty chustkę na ramionach, pięć spódnic kolorowych, mocno wykrochmalonych i buty na wysokich obcasach. Za nią szli Józek i matka. Chłopak podtrzymywał starą za rękę, aby przechodząc po ślizkich kamieniach, nie wpadła w wodę.

Kaśka na widok gromady chłopaków pokraśniała i przyśpieszyła kroku, znikając w drzwiach kościoła. Gospodyni poszła za nią, Józek przyłączył się do gromady, witając się uściśnieniem rąk z parobkami stojącymi z kraja.

— Patrzcie!—zawołał jeden z nich.

W bramie cmentarza ukazała się wystrojona, uśmiechnięta wdowa. Dziesięć sznurów korali na szyi, aksamitny wiśniowy gorset wyglądał z zielonego kubraka obszytego białym barankiem. Skłoniła się gromadzie, gromada przywitała ją zdjęciem czapek.

Zobaczyła Józka.

— Ani widu ani słychu,—mówiła.—Nie pokazujecie się na lekarstwo. Kaśka jak was pochwyciła w pazury, to i na krok z izby ruszyć się nie da.

Parobcy w śmiéch. Józek się zmieszał, nie wiedząc jak się bronić. Wdowa pokazała białe, duże zęby.

— Boi się Bartka i już,—odpowiedział jeden z gromady.

— Wojak i balby się? Nie wierzę,—odparła rezolutnie.

Zadzwoniono, gromada ruszyła do kościoła, rozpromieniona wdowa na jéj czele. Józek uczuł się upokorzony śmiéchem parobków i żartami wdowy. Zły był na siebie, obrażony na Kaśkę, roztargniony i smutny. Wdowa dwa razy obejrzała się na niego. Dwa razy się zarumienił i oczy spuścił.

Po nabożeństwie szukał Józka na cmętarzu młynarz.

— Serwus,—wołał, wyciągając ku niemu rękę—Zhardziałeś, gdyś do ciołków przyszedł.

— Zimno, mróz, śnieg drogi zawalił—tłómaczył się chłopak.

— Mówią, że cię Kaśka opętała.

— Bajki, co mnie Kaśka—wzruszył ramionami.

— Źleby było, żeby wojak dziewki się bał.

— Baby prędzéj—przyciął mu Józek.

Młynarz się rozśmiał.

— Babie się nieraz ustąpi dla świętego spokoju. I ty to poznasz. a teraz chodź do mnie, gospodyni będzie ci rada.

Kaśka na załomie drogi czekała. Zmarzła, policzki jéj zsiniały, lecz stała wciąż patrząc w stronę kościoła.

— I cóż czekasz,—odezwała się stara, gramoląc się powoli pod górę.—Poszedł pewno zabawić się do karczmy. Chłopak cięgiem siedzi w izbie, nosa na świat nie wychyli.

Obudzona ze smutnéj zadumy, dziewczyna odwróciła się szybko i poszła naprzód, ogień rozpalić pod blachą i garnki nastawić na obiad. Ciężko jéj było na sercu, smutne przeczucia szarpały nią, smutne myśli zalegały jéj umysł. Nie zazdrościła, uczucie to nie zrodziło się jeszcze w jéj sercu, nie miała o kogo zazdrościć; opanowywały ją tylko żal i tęsknota...

Za to w chacie młynarza było wesoło. Wprawdzie młyn nie turkotał, lecz młynarka dzielnie go zastępowała. Józek posłał po wódkę.

— Gdybyś ty miał rozum, mój wojaku,—mówiła, upijając z kieliszka po odrobinie „słodkiéj,"—gdybyś ty ino miał rozum, byłby z ciebie pan. Jeździłbyś końmi do miasta, cały tydzień jadł mięso i ojcowiznę od Sobka wykupił.

Na wspomnienie ojcowizny chłopak drgnął, oczy mu zaświéciły ogniem, muskuły na twarzy zadrgały.

— A to za czyje pieniądze?—zawołał.

— Za czyje? A za wdowy. Nie widzisz, że wdowa za tobą ślepia przewraca.

— Dwa razy ją widziałem.

— To dosyć. Jakeś ino wszedł do karczmy pod „Krakusem," trąciła mnie nogą, nachyliła się i szepnęła: „chłopak do malowania." A z jaką ochotą poszła z tobą w taniec, a jak zęby do ciebie wyszczérzała, nie widziałeś co? Wyzierała za tobą, gdyś wyszedł i jakoś potém posmutniała. Widzisz, szczęście samo lezie do ciebie, bylebyś je umiał chwycić w garść.

Chłopak oszołomiony milczał i jak gdyby we śnie widział zielone pola i złote kłosy na ojcowiźnie, chciał ręce wyciągnąć, słyszał szept tajemniczy: to będzie twoje, twoje, twoje.

— I nic nie gadasz?.. Ej bo ciebie Kaśka...

— Co mnie Kaśka,—przerwał obrażony.—Wdowa, baba stara, chciałaby rządzić wszystkiém, chłopa wziąć za parobka.

— A chłop od czego, żeby się babie nie dał? Mój Boże, mój Boże — mówiła daléj żałosnym tonem — takie bogactwa, ośm krów, cztéry woły, para koni, chleba pełna stodoła, pieniędzy huk.... Ale cóż, jak szczęście na głupiego trafi, to je zawdy odepchnie.

— Nie odepchnie! — zawołał młynarz — dajcie mu się ino pomiarkować. Kaśka wlazła mu w łeb.

— Dajcie mi spokój z Kaśką! — krzyknął. — Cóż to ja jéj przysięgałem.

— Bo pewno — potakiwała młynarka. — Nie przysięgałeś. Mogły gruntu pilnować i staremu nie dać pić ...

— No, kiedy nie Kaśka—zabrał znowu głos młynarz, wyuczony przez żonę—to dlaczego nie wdowa? Bartek wdowy pilnuje, ale jak zmożesz Bartka....

— Cóż Bartek?—przerwala gospodyni,—abo go to wdowa chce. Niech Bartek nie zaczyna, bo my sobie z nim poradzimy. Chyba byłbyś głupi, gdybyś się Bartka bał.

— Ja się nikogo nie boję—odparł chłopak rezolutnie. W głosie jego czuć było obrażoną dumę i pewność siebie.

Wieczorem młynarz odprowadzał Józka, młynarka poszła z nimi pilnować starego. Na „Tatarczonce“ grała muzyka; skrzypce, klarnet i buczenie basów rozlegały się daleko w suchém i mroźném powietrzu. Nie naradzając się, nie mówiąc nic, wszystko troje zwrócili się do karczmy. Józek blady i niespokojny spodziewał się zastać wdowę i Bartka; młynarka uśmiechnięta rozkosznie, młynarz nastawił marsa i uzbroił się w powagę pijaka.

Z otwartych drzwi buchnęła para, przesycona wyziewami wódki i piwa, a z nią hałaśliwe tony muzyki, zmieszane ze szmerem pogwary i śpiewami parobków.

Na środku izby stanęła młynarka, przy niéj Józek; młynarz zniknął w tłumie gospodarzy. Wśród pary zmieszanéj z dymem, między szynkwasem a oknem zamajaczała twarz wdowy, oświecona płonącą lampą zawieszoną u powały. Młynarka trąciwszy Józka, poprowadziła go do wdowy. Chłopak ujął jéj rękę i nie wiedząc co zrobić, poniósł ją do ust, wdowa drugą pogłaskała go po twarzy.

— Przyszliście przecie—i pokazała szereg białych zębów. Młynarka, stojąc za Józkiem, mrugała znacząco.

— Nie lubię i ja karczmy — mówiła daléj wdowa, siląc się na powagę—tylo że w chacie saméj się cnie i coś pcha do ludzi.

— Człek się nie odrzeka zabawy— odpowiedział cicho Józek— ale jak strapienia się na kark zwalą....

— Co tam strapienia — przerwała wesoło wdowa — chłop gdy ino chce, da sobie radę. Mosiek, dawaj słodkiéj.

Mosiek postawił flaszkę z kwaterką słodkiéj i kieliszek. Wdowa, śmiejąc się z utrapień chłopów, przepiła do Józka, chłopak do młynarki. Koléj dwa razy obeszła.

— Krótkiego! — zawołała, zwracając się do Mośka.

Żyd podał cygara, Józek wybrał najczarniejsze i zapalił.

Wdowa skinęła na muzykę, przegrywka zabrzmiała, Józek zaśpiewał skocznego, skrzypek w lot pochwycił melodyą, klarnecista mu pomógł, a basy w takt zabuczały. Puścili się w taniec, młynarka szła w drugą parę, młynarz z wójtową w ostatnią. Wdowa tuliła się do zgrabnego chłopaka, rozkoszując się siłą jego uścisku i gorącym oddechem. Oczy zmrużyła, w głowie jéj się māciło, pulsa biły. Oparta na jego ramieniu posuwała się w takt skocznéj muzyki.

— Odbijanego! — zbudził ją głos Bartka.

Wdowa potoczyła się od silnego pchnięcia, jakie otrzymał Józek. Chłopak zbladł, krew w nim zakipiała, i w jedném mgnieniu oka rzucił się na Bartka. Walka zawrzała. Bartek silny, wielki chłop, lecz niezgrabny, usiłował odrazu zgnieść przeciwnika. Młody Sidor, zdawało się ukuty z żelaza, wyśliznął się. Chwycili się w pół, Józek porwał Bartka w pas, Bartek Józka objął w ramiona. Od tych uścisków zdawało się, że krew wytryśnie im z oczów, twarze zsiniały. Wodzili się po izbie, ludzie się cofali, wdowa roziskrzonemi oczami wpatrywała się w tę śmiertelną walkę staczaną za nią. Młynarka wzywała wszystkich świętych na pomoc, Mosiek wybiegł z za szynkwasu, lecz bal się rozbrajać walczących. Podłoga jęknęła: Bartek podniesiony przez Józka w górę, zwalił się z nóg, a przygnieciony kolanami i duszony za gardło, puścił przeciwnika.

Józek syt zwycięstwa, powstał. Bartek się zerwał i rzucił się po raz drugi na zwycięzcę. Krew wdowy zakipiała, przyskoczyła z tyłu, pochwyciła go za włosy i ściągnęła na ziemię.

— A ty jakie masz prawo do mnie i do niego? — wrzasnęła.— Żem ci pożyczyła pięćdziesiąt papierków na te cztery zagony zastawu? Jak mi się go dotkniesz, konia ci sprzedam i swoje odbiorę.

Bartek nie słuchał i rwał się do Józka.

— Wynoś się! — krzyknęła strasznym głosem.

— Szaje, leć po żandarmów! — zawołał Mosiek.

Żydówka wybiegla, trzaskając drzwiami alkierza.

Wdowa, Mosiek, młynarz, młynarzowa, dwóch kumów wdowy ciężarem swym zwalili się na Bartka i wyrzucili go za drzwi. Żyd zamknął je na klucz, żydówka wróciła, Józkowi dano kieliszek słodkiéj, aby się otrzeźwił.

Na dany znak przez Mośka, muzyka znowu zagrała skocznego i Józek wśród niemego podziwu i szacunku, zwycięzca, objąwszy wdowę w pół, puścił się w taniec.

Ż początku ochoty nie było. Wspomnienie świeżéj walki, obawa powtórnéj napaści Bartka mąciły wesołość. Dopiero gdy wdowa kazała postawić dwie flaszki wódki, Mosiek zaczął częstować ludzi, Mośkowa przez alkierz puściła parobków, wtedy objawy dobrego humoru tryskały w układanych piosnkach i uciesznych dowcipach.

Józek, uznany został za przyszłego dziedzica bogactw wdowy, odbierał dowody uznania i ogólnéj sympatyi. Mosiek nie śmiał mu mówić *ty*. Traktował go przez *wy* i żartobliwie przezywał: „panie wojak.“ Młynarka trącała go łokciem, szepcząc mu do ucha.

— Widzisz, widzisz, a nie chciałeś. Cóż Kaśka ze swoją urodą? ma te pięć spódnic, co je do kościoła wdziała.

Chłopak, rozmarzony wódką i powodzeniem, uśmiechał się, myśląc, jak on to będzie rozkazywał parobkom, jeździł końmi do miasta, jadał mięso i jaki sobie kożuch żółty z czarnym baranem kupi w jarmark. Stary Sobek musi zejść z jego pola, a on pan na niém. Wspomnienie to rozsadzało jego piersi radością i dumą.

Jedénasta chrapliwym głosem wydzwoniła na ściennym zegarze, zawieszonym w alkierzu. Mosiek zaczął się bać żandarmów i udał się w prośby do wdowy i Józka, aby przerwali zabawę.

— Gdybym się nie wstydziła ludzi, tobym cię nie puściła—szepnęła wdowa chłopcu. Nie domyślał się zaprosin i nie odpowiedział, jak się spodziewała, że przyjdzie późniéj, byle drzwi nie były zamknięte.

Parobcy chcąc sobie zaskarbić łaski przyszłego bogacza, oświadczyli, że go odprowadzą i bronić będą przed Bartkiem.

Napróżno wdowa zaklinała się, że mu włos z głowy nie spadnie, że go Bartek nie będzie śmiał zaczepić. — Poszli. . . .

— Będziesz ty mój, niech tylko gody nastaną — powtarzała w duchu patrząc za chłopcem. — Musisz być moim, choćbym połowę majątku straciła.—Stanęła na ścieżce patrząc za nim.

— Walny chłopak — odezwała się młynarka, podchodząc do wdowy. — A com go nie namolestowała, żeby zajrzał do karczmy.

— Nie chciał? . . .

— Rwał się do Kaśki. Widzicie jak pomyka, parobcy nie mogą mu nadążyć.

Patrzały obie.

Na ciemném tle nocy, oświeconéj światłem wyiskrzonych gwiazd, widać było na śniegu cztery ciemne postaci, niknące w wielkiéj rozpadlinie. Zdawało się, że się zapadają w biały całun śmierci. Przerażona wdowa patrzała na wielką pustkę, oświeconą gwiazdami a zakończoną czarną masą lasów świérkowych.

— Zniknęli jak zaklęci — rzekła młynarka i chciała iść daléj. Zatrzymała ją wdowa.

— Czekajmy, póki ich jeszcze raz nie ujrzymy.

— Długo czekać — szepnęła; mimo to została.

— Muszę go jeszcze raz zobaczyć, usnąćbym nie mogla.

Na szerokiéj białéj ścianie góry zamajaczał czarny punkt.

— To on! — zawołała wdowa i odetchnęła.

— Leci do Kaśki, pomyka jak kula, skóra na nim drży ze strachu; ale nie bój się, wróci on do ciebie, musi wrócić.

— Musi — powtórzyła cicho wdowa. Zazdrość o Kaśkę wciskała się jéj do serca i krwawiła je. — Musi—szepnęła. — Musi—zawołała. — I niechaj ta Kaśka nie staje mi w drodze.

— Tobie bogaczce, Kaśka? a co ona ci zrobi. Stara z Kaśką zaprzepaściły chłopcu grunt, zabrał go Sobek za cztery stówki. Pieniądze staremu oddasz, zabierzesz pole, a chłopak do nóg ci padnie.

— A Kaśka?

— Cóż Kaśkę przymierzać do ojcowizny. Cóż to on głupi?

— On nie, ale Kaśka....

Przybiegł młynarz podochocony, huknął im nad uchem krakowiaka, pochwycił wdowę w pół i zaczął się z nią obracać, noga mu się pośliznęła, wpadli oboje w śnieg. Nadeszli gospodarze i dużo było śmiéchu i żartów z tego wypadku. Śmiała się młynarka, śmiała się i wdowa.

Józek pomykał w górę rozpromieniony zwycięstwem nad Bartkiem i nadzieją odzyskania ojcowizny. Nadzieja ta wydobywała uśmiéch na jego usta i głowę wypełniała rozkosznemi myślami. Zapomniał o wdowie, nie zajmował się Kaśką, przed oczami jego duszy snuły się obraz po obrazie przyszłego szczęścia. Widział się panem na swych zagonach, na jednén polu złociła się pszenica, na drugiém zieleniły ziemniaki, koniczynę spasał wołni i hardo spoglądał na ludzi.

Wrótka na dziedziniec zaskrzypiały. Skrzyp ten przypomniał mu Kaśkę, zawstydził się. Chciało mu się pić. lecz nie śmiał wejść do izby, nabrał w garść śniegu, zgniótł go, gryzł i łykał. Po cichu otworzył drzwi obórki, wlazł na wérko, położył się, okrył płaszczem i usnął.

Kaśka długo w noc czekała świeciła gaz i aby się jéj nie cnęło, pierze darła. Gaz się wypalił, lampka zgasła, ona usiadła przy oknie i patrząc na zaczernioną w śniegu ścieżkę, oświeconą blaskiem wyiskrzonych gwiazd, czekała póki ją sen nie zmorzył i zimno trząść nie zaczęło.

Nazajutrz rano, miało się dobrze na dzień, żur był gotów, Józek nie wstawał. Kaśka wydoiła krowę: nic słyszał i nie obudził się;

po obórce rozlegało się miarowe chrapanie. Dziewczyna zbliżyła się do wérka, wpatrując się w twarz śpiącego, do połowy okrytą derką. Popatrzała, wzięła skopek i wróciła do izby.

Przed samém południem wszedł Józek.

— A tobie co? — zawołała matka.

Chłopak się zmieszał.

— A cóżby? — szepnął.

— Któż ci tak pomalował oko?

— Gdzie? co?

Kaśka wyjęła lusterko ze skrzynki i potrzymała przed nim. Spojrzał, krew buchnęła mu do głowy i rozlała się rumieńcem po twarzy.

— Abo ja wiem — odpowiedział. — Młynarz zaciągnął mnie do karczmy, młynarka spoiła.

— Nikogo więcéj w karczmie nie było? — spytała matka.

— Gdzie tam, nikogo. Było ludzi ćma, ktoby spamiętał.

Kaśka nie odzywała się, postawiła przed nim żur, bochenek chleba i odeszła do komina. Matka również nie śmiała ciągnąć go za język.

Józek w milczeniu jadł żur, w gardle go coś dławiło, nie śmiał spojrzéć na Kaśkę, nie wiedział co mówić, czuł się jakoś obcym w własnéj chacie i to go gniewało, a nie mógł wstydu pokonać i nie miał odwagi rozśmiać się i przemówić. Czekał, aby się matka odezwała, lub Kaśka przemówiła. Nie doczekał się.

Wstał i wyszedł z izby. Otworzył stodółkę, wyrzucił pół kopy owsa i młócić zaczął, zły i obrażony na Kaśkę i matkę.

— Kiej zamurowałyście se gęby, to je trzymajcie!—zawołał po zmłóceniu posady.

Wyrzuty sumienia ze zdrady Kaśki wytworzyły w nim rozdrażnienie, niepokój i żal, objawiające się wybuchami gniewu.

— Coś źle z Józkiem — odezwała się cicho Kaśka i westchnęła.

Matka również nic dobrego nie przypuszczała, lecz nie chciała martwić Kaśki, milczała.

Zwołano go na obiad. Zasiedli we troje za stołem. Matka z Kaśką razem, Józek naprzeciw po drugiéj stronie stołu. Jedli z jednéj miski kaszę jęczmienną, rozwiedzioną mlekiem. Chłopak milczał, matka z Kaśką nie odzywały się. Dziewczyna na niego nie patrzała, za to on wiele razy nabierał łyżką strawę, obejmował ją wzrokiem i mimowolnie porównywał z wdową. Dziewczyna w zimie wydobrzała. Szyję miała białą, twarz wypełnioną i rumianą, oczy niebieskie, błyszczące, i pierś wydobywającą się z za gorsetu. Koszula jéj nieco się odchyliła, Józek zobaczył białe, pełne ciało drga-

jące życiem. Ręka mu się zatrzęsła, gdy łyżkę niósł do ust, oczy spuścił. Kaśka urodą zaćmiła wdowę, skromnością i dziewczęcym urokiem coraz głębiéj wpijała się w serce chłopaka. Zły był na siebie i Kaśkę, milczał, czuł się nieszczęśliwym, rad był jak najprędzéj wyjść z izby i zaczął jeść szybko. Kaśce się zdawało, że Józek się boi, aby go nie odjadła, łyżkę położyła na stole i odeszła, matka zrobiła to samo. Został sam przy zaledwo w połowie zjedzonéj kaszy. Popatrzał na Kaśkę i matkę, położył łyżkę na stół, wstał i wyszedł z izby.

Kaśka wyjrzała za nim, zwrócił się ku stodole. Za chwilę słychać było uderzanie cepów o boisko.

— Coś mu jest—odezwała się smutno dziewczyna i westchnęła.

— Coś mu jest—powtórzyła matka. — Chodź Kaśka, dojédzmy kaszę, bośmy obie głodne.

Zasiadły za stołem i raźniéj im było we dwie.

— Co mu się stało? — zachodziły w głowę i długo na ten temat gwarzyły.

Przed samym wieczorem, gdy Kaśka poszła do obórki, stara zarzuciła białą płachtę na ramiona, wysunęła się cicho z chaty, dróżką wydeptaną w śniegu dotarła do gościńca i niezadługo znalazła się w karczmie oko w oko z swą przyjaciółką Joskową. Wypiła za cztery centy wódki, aby się zagrzać i więcéj nabrać śmiałości wobec żydówki.

— Nie słyszeliście, co się działo wczoraj na Tatarczonce ?— zapytała. — Chłopakowi ktoś podbił ślepie.

— Matka i nie wié, jakie jéj syna spotkało szczęście.

— Że mu ślepia podbili?

— Głupstwo. Wdowa bogaczka wlubiła się w chłopaka i chce się wydać za niego. Bartek się o tém dowiedział i podbił mu ślepię. Całą noc hulali, muzykę sprowadziła wdowa, częstowała ludzi słodką. Mosiek kontent, robi pieniądze, ale niech ten łajdak wié, że są żandary na świecie i starostwo.....

— Józek żeni się z wdową ! — zawołała stara.

— Nie pochwalił się, bo się wstydzi Kaśki. Co Kaśka to nie wdowa: stara, żółta, wyszarzana. Ale cóż, bogactwo wielkie, a chłopak radby ojcowiznę z Sobkowych łap wydrzéć. Zwyczajnie chłop, coby się dał obwiesić za kawałek pola.

— Z wdową bogaczką—powtarzała stara, wzruszając głową.— Mój Boże, mój Boże, to ci chłopak los robi.

— Wielgi — dodała żydówka i nalała drugi kieliszek wódki.

Stara duszkiem go wypiła, pożegnała się, otuliła płachtą i biegnąc żywo, wróciła do chaty.

Kaśka jeszcze nie wróciła z obórki.

— Dobrze, że cię nie ma — mówiła do siebie— nie dowiesz się, żem latała do karczmy. Niech ci kto chce mówi, ja ci nie powiem. Biednaś ty, ale przecie dobrze, że zostaniemy we dwie na swoich śmieciach, że tu obca swych rządów wprowadzać nie będzie. Zostaniemy obie i niech się dzieje co chce, będzie nam cicho.

— To mój chłopak bogacz!—zawołała głośno—grunt od Sobka odbierze. A coby nie odebrał — rozśmiała się.—U wdowy pieniędzy pełnemi garnkami, to i o matce nie zapomni.

Wróciła Kaśka, roznieciła ogień. Niedługo przyszedł Józek, niosąc na plecach worek z omłóconém żytem. Matka poskoczyła ku niemu, odebrała zboże, zaniosła je do komory i gdy wróciła do izby, podeszła do Józka, i głaszcząc go ręką po twarzy, mówiła pieszczotliwie:

— Moje chłopczysko spracowało się dziś okrutnie. Tyle zboża omłócić. Kaśka, a gotujże raźno wieczerzę.

— Cóż tak pilnego? — odezwał się chłopak.

— Bo może radbyś lecieć do parobków zabawić się. Smutno ci w izbie z babami.

Kaśka ściągnęła brwi, Józek nic nie odpowiedział. Siadł na ławie, nogi wyciągnął, oparł się plecami o stół i pod pozorem, że patrzy na ogień, wpatrywał się w Kaśkę.

Stara zaświeciła lampkę, dziewczyna w podwójném świetle ognia i lampki wyglądała uroczo. Granatowy z rękawami kaftanik, zapięty pod szyję w dwa rzędy mosiężnych guzików, wdzięcznie rysował jéj figurę w pasie wązką, w piersiach pełną.

Po wieczerzy matka go znów zagadnęla:

— I nie pójdziesz do kamratów? — Zdawało się jéj, że radby biedz do wdowy.

— A cóż wam tak wadzę?

— Nie o to, tylo że ci się cnie bez zabawy i wesołości. A tyś przecie młody wojak.

Chłopak obrażony powstał, był pewny, że to sprawa Kaśki, że ona go umyślnie z izby wypędza. Wdział czapkę i powiedziawszy: zostańcie z Bogiem, wyszedł.

Kaśka poskoczyła do okna, stara za nią. I widziały, jak stał chwilę na dziedzińcu, wahał się gdzie iść; poszedł ku wrotom, lecz w połowie drogi cofnął się, zwrócił się do obórki i drzwi zamknął za sobą.

— Nie potrzebnieście go z izby wygnali — odezwała się Kaśka z cieniem wymówki.

— Siedzi jak mruk, gęby nie otworzy, niech leci—odparła stara stanowczo, zła na żydówkę, że ją zwiodła.

— Gdyby to była prawda, poleciałby do wdowy — myślała.

W milczeniu przędły. Kaśka pocieszona i troszkę, chociaż nie śmiała się do tego przyznać, szczęśliwa. . . .

— Jutro jarmark — zagadnęła dziewczyna.

— Więc cóż?

— Mieliście jechać z prosiakiem. Pojedziecie?

— Pojedziemy to razem. — A jeżeli żydówka skłamała?—przeszło jéj przez głowę. — Jedźmy—mówiła daléj głośno. — Ziarna nie ma żeby go paść na słoninę, ziemniaków niewiele: jedźmy. Skoczże do Kuby Gawlika. On nie opuści żadnego jarmarku, zabierze nam wieprzka.

Dziewczyna skoczyła. . . .

— A weźże głupia chustkę! — wołała za nią stara.

— Ciepło mi — odpowiedziała w sieni.

— A nuż to prawda, co mówiła żydowka? Nie pomoże ci i pięć takich prosiaków. Co tobie chudzinie równać się z wdową—Boże . . .

Kaśka minęła wrótka i ścieżką udeptaną w śniegu dobiegła do gościńca. Z okien chaty Kuby Gawlika biła czerwona łuna. Zdyszana wpadła do izby, gospodynią i gospodarza pocałowała w rękę.

— Mój tatusiu, jedziecie jutro na jarmark i nie zabieracie czego? — mówiła, przymilając się.

— Babę — odpowiedział.

— A prosiaka naszego weźmiecie?

— Za dwie szóstki.

— I wzięlibyście odemnie, biednéj sieroty?

— A czegóżeś ty taka rada? — spytała ją gospodyni.

— Z młodości i zdrowia— odpowiedziała wesoło dziewczyna.— Abo to mało?...

— Dosyć.

— Jutro rano prosiaka przyżenę. Bądźcie zdrowi.

— Z Bogiem. A gdzie Józek?

— Śpi, wczoraj się zhulał i wrócił z umalowaném okiem.

— A któż mu zmalował?

— Wiem-ci?.. — wybiegła.

— Z czego się ona cieszy? — spytał gospodarz.

— Bo głupia — odparła gospodyni.

— Nie taka ci ona głupia, tylo nie wié, że chłopaka jéj wdowa odbiera.

Kaśka biegła gościńcem pod górę, mróz tamował jéj oddech i chwytał za twarz; gwiazdy wyiskrzone świeciły, srebrny pas mlecz-

néj drogi otaczał niebo, sierp księżyca okolony jasnością, zwolna zachodził, kryjąc się za czarny las. Kaśka patrzała na srebrny pas mlecznéj drogi, wyiskrzone gwiazdy, a myślała o Józku.

— Nie poszedł, choć go wyganiała z izby gospodyni. A jak się we mnie wpatrywał, gdym się krzątała przy kominie. Radością i nadzieją drżało jéj serce, krew szybciéj zaczęła biedz, pulsa żywiéj bić. Żeby chociaż za prosiaka dostać trzy dziesiątki — i do księdza!

Wpadła do izby zdyszana, zaczerwieniona od mrozu, uśmiechnięta i rozpromieniona. Stara spojrzała na nią z pod oka i tonem źle ukrytego gniewu spytała:

— I cóż? jadą?

— Jadą, jadą, moja matusiu złocista. Pogoda, wiatr ustał, mróz szczypie, jarmark będzie walny.

— Z czego ci ona taka rada? Czy ludzie jéj powiedzieli, że Józek nie chce wdowy? Cóż to u głupiego!

— Nikogo nie widziałaś?

— Nikogo matusiu, ino Kubę i gospodynią, powiedzieli że zawiozą za szóstkę i już. Usiadła na ławie przy kominie i aby się módz oddać swobodnie myślom, zaczęła prząść, że aż wrzeciono warczało.

Józek otulony płaszczem wojskowym, leżał na słomie w obórce i czegoś zasnąć nie mógł. Co oczy zmrużył, widział jak mu wdowę zasłaniała Kaśka, a Kaśkę jego ojcowizna o złotych kłosach pszenicy i wielkich głowach kapusty.

V.

Długa była narada i wiele zachodów, zanim podpasiony wieprzak został umieszczony w półkoszkach. Musiano wóz przewrócić, skrępowanego wtaczać, a potém razem z nim podnosić. Kaśka drżała, aby mu się co złego nie stało, tak żałośnie kwiczał. Gdy już był na wozie, wsunęła pod niego słomy, pogłaskała po białéj sierści, okryła workiem, przytrząsła sianem i uspokojona siadła obok Gawlika. Gospodynie zajęły honorowe miejsca na wozie.

Szara barwa zmroku zlewała się harmonijnie ze złotem wschodzącego słońca, na tle kolorytu z purpury. Gospodarz podcinał koniki, szron okrywał im sierść, one rade parskały. Wóz skrzypiał na mrozie, tocząc się szybko z góry, mijał na drodze wozy i ludzi. Przywitań było bez liku, wesołe, urywane pogwarki rzucano w przelocie. Kaśka oglądała się za Józkiem. Jakby się w ziemię zapadł, nie było go na drodze. Dziewczyna posmutniała na chwilę, lecz pocieszała się tém, że przysiadł się na wozie kowala i pognali jak wiatr; ktoby ich dognał.

Zajechali na targowicę trzody. Kubowa do Sidorowy szepnęła:

— Patrzcie, Kaśka wygrała, mało dziś prosiaków nagnali.

Kaśce biło serce z radości, uśmiéchała się, patrząc na wieprzka.

Złożyli go z wozu, Kaśka pochwyciła sznur przywiązany do jego nogi i stanęła na małéj wyniosłości, czekając na kupca.

Sidorowa z Kubową pobiegły między ludzi wymiarkować ceny.

— Kaśka trzymaj się! — wołały uradowane, wracając.

— Wiele? wiele? — pytała niespokojnie.

— Ceń trzy dziesiątki.

— A wiele brać?

— Dwie dziesiątki i pięć papierków.

Gospodynie poszły zagrzać się do szynku, Kaśka została sama, niespokojna, czekająca kupców.

Dwóch mieszczan z Wielopola stanęło przed wieprzkiem. Jeden z nich pomacał go ręką po karku.

— A wieleż to za tego chudziaka?

— On taki chudy jak wy tłuści — odpowiedziała.

— Wiele?

— Trzy dziesiątki.

— A półtory nie będzie?

— Szukaj sobie takich mądrych, jak sam jesteś.

— I cóż się tak sierdzisz?

— Ja kpinek nie potrzebuję.

— Moje dziewczę, wiele za tego tłuściocha — przerwał sprzeczkę młody panicz.

— Panoczku złoteńki! — zawołała Kaśka — nie wiele, ino trzy dziesiątki.

— Przetnijmy ostatnią dziesiątkę na dwoje — co? — pogłaskał ją po twarzy.

— Kiej nie mogę.

— Możesz — odpowiedział panicz, odchodząc.

— Ośm! — zawołała dziewczyna.

Panicz szedł daléj.

— Siedem, paniczu...

Panicz szedł daléj.

— Sześć, — nie mogę mniéj, klnę się na wszystkie świętości,— nie mogę.

Panicz wrócił, zapłacił i wskazał dziewczynie, do któréj fury ma odprowadzić wieprzka.

— Żebyś nie była taka ładna, tobyś i dwóch dziesiątek nie dostała.

— Gdzie tam ja ładna — odpowiedziała, rumieniąc się.

Odebrane pieniądze schowała za gorset, zapięła granatowy kaftan pod szyję, odprowadziła prosiaka, i daléj w pogoń za gospodynią. Przeciskając się przez tłum, usłyszała: — Kaśka, Kaśka. . . .

Na schodach karczmy „pod kogutkiem“ stała gospodyni z Gawliczką: przybiegła do nich.

— Dwie dziesiątki i sześć papierków — mówiła zdyszana.

— A widzisz, co? Nam nie potrzeba więcéj, jak okiem rzucić na jarmark.

— Naprzód — opowiadała dziewczyna — przyszli „kulony“ (1) z Wielopola i dawali pietnaście papierków.

— A juchy — szepnęły gospodynie oburzone.

— Ale ich zwyzywalam publicznie. Za nimi przyszedł panicz z Brzezin i kupił. Powiedział mi, że ino dla mojéj urody tyle daje. Ale ja przecie wiem, że sobie żartował, bo se myślał, że na głupią trafił.

— Abo to nie wiesz, żeś walna dziéwka. Nie udawaj — przerwała jéj Gawliczka.

— Nie udaję, matusiu, nie udaję—mówiła z uśmiechem, strojąc skromną minkę i oczy spuszczając.

Weszły do karczmy. Kaśka przepchała się do szynkwasu i przyniosła we flaszce kwaterkę słodkiéj i trzy obwarzanki. Posadziła gospodynie za stołem i nalewając wódkę do kieliszka, zaczęła z niemi radzić, co kupić na jarmarku. Marzyła o wyprawie: czterech krótkich koszulach i dwóch spódnicach, o kożuchu i chustce na głowę, gdy jéj włosy przy czepinach utną. Spodziewała się, że gospodyni jako matka Józka, coś o tém wspomną, lecz stara piła wódkę, głową kręciła, zagadywała to i owo, a o weselu pary z ust nie puścila.

— Kupujże sobie, co ino ci potrzeba, a my od południa będziemy czekać na ciebie pod „Krakusem“ — zakończyła pogwarkę Kubowa.

Dziewczyna posmutniała.

— Myślałam, że mi przecie pomożecie.

— Ty wiesz jedno, a my drugie—odparła tajemniczo. — Chodźcie kumo — odezwała się do staréj, wyprowadzając ją z karczmy.

Kaśka oniemiała i wytrzeszczonemi patrzała za niemi oczyma.

— Uciekacie?...

Kobiety znikły w tłumie.

— Uciekacie?... — powtórzyła cicho — i dlaczego?... i za co?... Co ja wam krzywa?...

Smutne przeczucia obsiadły jéj mózg; odechciało się jéj iść na kupno, mimo to poszła, wytargowała perkal na koszule; chustki na czepiny kupować nie miała odwagi.

---

(1) Mieszczanie z małego miasteczka.

Ugadana i zmęczona targiem, usiadła na podcieniu, oparła łokcie o kolana, głowę na rękach, zamyśliła się głęboko, lecz myśli uporządkować nie mogła. Bała się czegoś, lecz nie wiedziała, czego. Przeczuwała nieprzyjaciela, lecz nie była w stanie odgadnąć go. Józka nie było na jarmarku, zobaczyłaby go przecież?...

Słońce przechyliło się na drugą stronę, lud zaczął się rozchodzić, żydzi zwijali swoje baraki; dziewczyna przypomniała sobie malowanego „Krakusa“ na szyldzie karczmy za miastem, perkal zwinęła w płachtę, przerzuciła przez ramię, związała i poszła.

Pod „Krakusem“ grała muzyka, słychać było zdaleka jęczenie basu i rozdzierający pisk klarnetu. Miejsce przed karczmą zawalone wozami i bydłem, w bramie tłok. Śmiéchy, żarty i kłótnie wytwarzały chaos, podobny do dzikiéj muzyki, przedrzeźniającéj szumy drzew w lesie i świst wiatru.

Kaśka niecierpliwie przeciskała się przez tłum zapełniający bramę. Drzwi do izby były otwarte, buchała z nich para, dym fajek zamroczył ją. Oczy przetarła, wzrok wytężyła, rozpatrując się w tłumie. Pary jedna za drugą mijały, na czele Józek z wdową. Zobaczył ją chłopak, zmylił takt w tańcu, poprawił się, zawołał: hu-ha! podniósł w górę rękę i zwrócił się w lewo. Pot spływał mu po twarzy, blady patrzał ponuro. Kaśki się wstydził i wściekły był na nią za to, że umyślnie przyszła patrzéć na niego, kiedy on zaleca się do wdowy i tańczy z nią. Podprowadził wdowę do muzyki, zaśpiewał, i tupiąc w takt nogą, tańczył zawzięcie. Spojrzał wyzywająco na Kaśkę, zmarszczył brwi i pomknął daléj. Wdowa wysuwając z za mięsistych warg białe, duże zęby, uśmiechała się do młodego chłopaka.

Klarnet przeciągle jęknął, zmęczeni muzykanci przestali. Józek trzymając wdowę wpół, podprowadził ją do matki, siedzącéj na wystawie okna z Gawliczką i młynarką.

— Widziałeś Kaśkę? — szepnęła stara do syna.

— Co mi tam Kaśka! — odparł szorstko chłopak.

Wdowa spojrzała ku drzwiom: Kaśki nie było. Rozśmiała się tryumfująco, pokazując duże, białe zęby, i zawołała o piwo dla kum.

— Nie chciała przyjść — odezwała się stara.

— Głupia, zdaje się jéj, że może się równać z takiém bogactwem — dorzuciła młynarka.

— Bogactwo jak bogactwo, ale powinna wiedzieć, że tu idzie o ojcowiznę.

— Co się po sprawiedliwości boskiéj chłopakowi należy — poświadczyła młynarka.

— Powinna wiedzieć a nie wié — powtórzyła stara.

— Gadajże z głupią, kiej wlubienie wlazło jéj w głowę.

Józek słyszał pogwarkę i zły powtarzał w duchu.

— Głupia nie wie, że tu idzie o świętą ziemię.—Tym argumentem usprawiedliwiał siebie i gniewał się na dziewczynę, że tego nie rozumiała.

Kaśka rozpychała gorączkowo w bramie ludzi, minęła natłoczone wozy, dobiegła do gościńca i uciekała, jak gdyby ją kto gonił. Zmęczona i zasapana stanęła na wzgórzu, pot z czoła obcierała płachtą, odwróciła się i spojrzała na karczmę. Mrowie ludzi w kożuchach i czarnych czapkach wydawało się jéj, jak rój pszczół brzęczących. Z czarnego otworu bramy co chwila wylatywały żałosne jęki klarnetu na wesołą nutę i huczenie basów. Podniosła zaciśniętą pięść w górę.

— Obdarliście mnie! — zawołała dzikim głosem — twój ojciec i ty! a teraz odpychacie jak psa!... Czekajcie, ja was nauczę, ja wam pokażę, ja! ja!... — zdławiło ją w gardle, słowa więcéj wymówić nie mogła. Zbiegła ze wzgórza, droga prowadziła przez bukowy las, zawahała się i u kraju stanęła czekając na ludzi i wozy.

— Przysiędę się na szóstkę — zdecydowała. Z żalu i gniewu nogi pod nią drżały i uginały się.

— Obdarli, zrabowali sierotę, a teraz ją wygnają jak psa, na cztéry strony świata — powtarzała, wstrząsając smutnie głową.

Nadjechał Smoleń na małych, wązkich saneczkach z babą i kupionym prosiakiem, zabral dziewczynę.

— Biednaś ty, schowaj se szóstkę i tak cię zawiozę—oświadczył.

Dziewczyna siadła, koniki małe i młode pogalopowały stęsknione za ciepłą stajnią i obrokiem.

— Biednaś ty, biedna — ciągnęła daléj Smoleniowa— wdowa ci odbiła chłopaka i już se rady nie dasz.... Ale co ona w nim uwidziała? Chłopak nikły i bladziutki.

— Delikatny — szepnęła Kaśka.

— A jéj potrzeba Bartka, coby babę wyprał i w garść ujął gospodarstwo. Ale cóż, upodobała se w nikłym, żeby nad nim przewodzić... i nie ma rady.

Kaśka się rozpłakała.

— I czémże się postawisz przeciw takiéj bogaczce? Ale ci pieniądze twoje muszą oddać.

Dziewczyna cicho lecz serdecznie płakała, Smoleniowa pomacała worek, czy kupiony prosiak leży w nim. Pociśnięty zaprotestował energicznie. Kwik rozweselił gospodynią, gospodarz zapalił fajkę i pojechali daléj.

Za powrotem do chaty opanował dziewczynę cichy żal, krwawiący jéj serce. Wydoiła krowę, rozpaliła ogień, uwarzyła wieczerzę i zapatrzona w płomień skarżyła się na swą dolę.

Skrzyp śniegu od stąpań ludzkich ocucił ją. Pochwyciła za kądziel, usiadła na ławie i prząść zaczęła nerwowo, że aż wrzeciono w palcach jéj warczało.

Do chaty weszła matka, za nią Józek. Blady był, oczy miał głęboko wsunięte i świécące. Stara spojrzała na Kaśkę, potém na syna. Chłopak milczał, Kaśka przędła, że aż wrzeciono warczało. Rozebrali się w milczeniu matka i syn, Kaśka przygotowała wieczerzę.

— I czegożeś uciekła? — odezwała się gospodyni.

Kaśce wargi drżały, lecz nic nie odpowiedziała. Przy wieczerzy Józek nie spojrzał na nią. Ona za to zatrzymywała wzrok na jego twarzy, wahający się między pogardą a litością. Chłopak podparł jedną ręką głowę, drugą sięgał łyżką do miski, brał po troszku i jadł powoli. Nie był głodny, tylko nie wiedział, co z sobą zrobić. Matka rozmarzona „słodką“ i szczęściem syna, jedząc drzémała. Chłopak położył łyżkę i oczy przymknął, dziewczyna zebrała ze stołu naczynie, stół otarła fartuchem, otworzyła skrzynkę, wyjęła pieniądze i kładąc je na stół, powiedziała:

— Macie za prosiaka.

Stara wyciągnęła rękę.

— Nie ruszajcie! — krzyknął Józek—to jéj! ona go sobie uchowała. I nie czekając na odpowiedź wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wściekły był na wdowę i rad był kości jej połamać. Wściekły był na Kaśkę. Cóż-to ona nie wié, że idzie o całe ośm morgów, o ojcowiznę. Cóż-to ona nie wié, że inaczéj anibym na starą nie spojrzał. Wié dobrze, ale chce mi dopiec, dokuczyć, i kąsa jak żmija. Rzucił się na posłanie i pomimo że pół kwarty słodkiéj burzyło się w nim i w głowie szumiało, nie mógł zasnąć.

— Byle tylko swoje odebrać, byle tylko rozeprzéć się na ośmiu morgach gruntu, byle wydrzéć z pazurów Sobka ojcowiznę—cicho powtarzał, gotów dla tego pragnienia poświęcić wszystko: Kaśkę, matkę, wdowę, siebie samego, cały świat.

— Bierzcież!—odezwała się Kaśka, podsuwając staréj papierki.

— Nie słyszałaś to, co syn powiedział—odparła. Ściągnęła buty, zrzuciła kaftan, wsunęła się pod pierzynę i zaledwo głowę przyłożyła do poduszki, sen ją zmorzył; zachrapała.

Dziewczyna została sama z pieniędzmi.

— Stérali mnie, obdarli do nitki, kazali się wysługiwać lata, a teraz wyzbywają się temi paroma papierkami.

Odepchnęła od siebie pieniądze, jak gdyby raził ją ich widok. Nie mogła ustać na nogach, zsunęła się na ławę, położyła ręce na stole, głowę oparła i cicho długo płakała. Myśli jedne po drugich wolno, jakby zmęczone przesuwały się przez jéj mózg. Raptem pod-

niosła głowę, zebrała pieniądze, schowała je do skrzynki. Wyciągnęła powoli poduszkę swoję z pod głowy gospodyni, zabrała leżącą w nogach pierzynę, związała je płachtą, z izby wybiegła, przyciągnęła pod drzwi saneczki, wyniosła skrzynkę, zawiniątko, drzwi za sobą zaparła, otuliła się chustką, spojrzała dokoła, jakby się pożegnać chciała, pochwyciła z zawziętością sznur, i ścieżkami, ciągnąc za sobą sanki, dostała się do gościńca.

— Szerszeńka mnie przyjmą — szeptała. — Nie chcę waszego chleba więcéj jeść, boby mnie udławił, nie chcę się wam więcéj wysługiwać. Byle przezimować, roboty na wiosnę nie zbraknie.

Chata Szerszeńki stała na górze, panującéj nad gościńcem i rozrzuconą obok niego wioską. Dziewczyna ciągnąc sanki, wdzierala się powoli oślizgłą z mrozu ścieżką. Odpoczywała co chwila i co chwila zrywała się do dalszego pochodu. Gniew i zawziętość dodawały jéj sił, mróz zapierał oddech, całodzienne zmęczenie i głód występowały kroplami potu na jéj czoło.

Nareszcie dostała się na równię; odetchnęła głęboko i daléj biegnąc, dopadła do chaty. Drzwi nie były zaparte, Szerszeńka nie bała się napaści.

— A kto tam? — zawołała, zrywając się z pościeli.

— To ja, matusiu, Kaśka Łubianka; nie bójcie się, przychodzę do was z dobrém słowem. Nie macie patyczków do zapalenia, a drewek na kominie, bom zmarzła siarczyście.

— A zkądby się u mnie wzięły?

— Ha, to się przy was położę i ogrzeję, ino wniosę skrzynkę i pościel.

Szerszeńka usiadła na łóżku.

— Co? co?—pytała, przeciérając oczy, pewna że śpi jeszcze.

— Przyszłam do was na komornicę.

— Dziewczyno!

— Nie bójcie się nic, będziemy miały za co przezimować.

— Sidorowa — syn?

— Wygnali mnie!

— W ciemną noc, sierotę!

— Wygnali.

— A pieniądze sierocińskie?

— Zabrali co do grosza. Zostawili parę dziesiątek za prosiaka.

— Parę?...

— Dwie i coś trzy papierki.

Szerszeńka odetchnęła.

— Dwie — szepnęła — to wystarczy do wiosny.

— Wystarczy—poświadczyła Kaśka. — Wdowa bogaczka wydaje się za Józka, a matka temu rada. Dla mnie nie ma tam miejsca.

— Nie ma dla sieroty. Kłuła byś ich sobą w oczy i przypominała im sierocą krzywdę.

Kaśka z żalu i na poświadczenie słowom Szerszeńki zapłakała.

— I cóż ci płacz pomoże? — Szerszeńka zerwała się, rozwiązała płachtę z pościelą, rozesłała na łóżku pierzynę i poduszkę, kazała dziewczynie ściągnąć buty i poprowadziła ją do łóżka.

— Spocznij se i wyśpij się. Jutro rano uwarzę ci mléka, to się skrzepisz. Kupimy sobie przędziwa, sprzędziemy go, damy do tkacza, a płótno sprzedamy. Nię będzie nam się cnęło i parę szóstek się zarobi. Tu ci marnego słowa nikt nie powie i będzie ci jak u Pana Boga za piecem. Położyła ją, otuliła pierzyną, głaskała po twarzy, póki dziewczyna zmęczona całodziennym trudem i nieszczęściem, które ją tak niespodzianie przytłoczyło, nie zasnęła.

— Bóg mi cię zesłał — pomyślała — bo inaczéj przyszłoby krowinę sprzedać, lub z głodu zamrzéć. Dwie dziesiątki i trzy papierki — uśmiéchnęła się radośnie. A to ci się sieroty wyzbyli. I to biedajstwo do nikogo ino do mnie. A niechże cię....—Wsunęła się pod pierzynę, przytuliła do dziewczyny i snując rozkoszne marzenia, rozgrzana ciepłem ciała śpiącéj, zasnęła.

Ciemno jeszcze było a już ogień na kominie płonął. Suche gałęzie drzewa trzaskały, rzucając dokoła iskry. Trzask i krzątanie się Szerszeńki po izbie zbudziły dziewczynę. Zerwała się, oczy przetarła, patrząc nieprzytomnie.

— Kasiu, to ja, nie pamiętasz jakeś zaszła do mnie w nocy?

— Pamiętam — szepnęła.

— Nie wstawajże póki ogień izby nie ogrzeje i mléka ci nie uwarzę. Spocznij se, spocznij Kasiu, moja rybko, zimno na dworze, a nie masz się czego zrywać, krowinę wydoję i wrócę. — Pogłaskała ją szorstką ręką i szukając skopca, mruczała półgłosem:

— Taką dziewuchę, takie śliczności, co to samo zdrowie, porzucić dla staréj baby, a niechże cię kolka zeprze.

Kaśka podzielała opinie Szerszeńki, lecz się nie odzywała. Gdy stara zniknęła za drzwiami, zerwała się z posłania, obuła, gorącym oddechem odchuchała zamróz na szybie i ciekawie wyjrzała.

Na wschodzie płonęło niebo, ciemne lasy na górach kąpały się we krwi i ogniu. Na dole rozrzucone chaty wioski, drzewa okryte szronem rumieniły się od krwawego wschodu, z kominów długie kity dymu w niebo strzelały.

W obejściu Sidorów było cicho, jakby tam wszystko zamarło. Dym z komina nie strzelał w górę.

— Śpią — mówiła do siebie Kaśka — bo se myślą, żem wstała, drew przyniosła, ogień rozpaliła, uwarzyła śniadanie. Biéda wam bez Kaśki dokuczy, zobaczycie.

Drzwi obórki rozwarły się: wyszedł Józek okryty płaszczem żołnierskim i pobiegł żywo do izby; mróz go palił.

— Co to będzie! — zawołała, rada ze swéj ucieczki.

Za chwilę chłopak wybiegł, zajrzał do stodoły, rozglądał się, jakby szukał po śniegu śladów. Nic nie znalazł; powoli wrócił do izby.

— Szukają mnie! — zawołała z tryumfem.

Dym niebieskawy jak obłoczek zamajaczał nad kominem chaty Sidorów, wzmagał się co chwila, rósł, aż wybuchł ciemną kitą w niebo.

— Łatwo wam palić, kiej wam naznosiłam gałęzi z lasu. Teraz po drzewo będziecie sami chodzić — rozśmiała się sucho.

Weszła z mlekiem Szerszeńka.

— Patrzysz na obejście staréj jakby z nieba. Tak ja na ciebie nieraz patrzałam. Muszą cię szukać i w głowę zachodzą, gdzieś się podziała, i ani im w głowie, żebyś tu była. Oj, oj, będzie się Sidorowéj bez ciebie cnić. Zazna ci ona teraz dopiero, co to ciężka robota. Ale kiej się jéj zachciało bogaczki, niech ją sobie ma.

Mimo przychlebstwa Szerszeńki, dziewczyna zaczynała tęsknić za domem. Była pewna, że gdy się dowiedzą gdzie jest, przyjdą ją prosić, aby wróciła.

Gdy chłopak ukazał się w drzwiach izby, zawołała matka:

— I cóż?...

— Ani widu, ani słychu.

Zamyślili się oboje.

— A czy się czasem nie obwiesiła na górze. Dziewczyna harda i jak se zacznie przybierać do głowy....

Józek skoczył do sionki, po drabinie dostał się na strych, rozejrzał dokoła, spojrzał po za komin i wrócił. Blady był i wylękniony.

— Nie ma jéj?.. — spytała.

Chłopak głową potwierdził.

— Może do lasu poszła?

Nic nie odpowiedział, usta zacisnął, ściągnął brwi, zamyślił się i siadł zmęczony na ławie.

Kobietę coraz więcéj żal zbierał za dziewczyną.

— Krzywda, krzywda — szepnęła. — Niech co chce będzie, skrzywdziło się sierotę.... Powinna przecie zrozumiéć, o co chodzi; ale gadajże tu do rozumu kochaniu... Ty se myślisz o ojcowiznie, a ona o tobie.

Chłopak wlał żur z miski do garczka, wypił go duszkiem, kawał chleba wsunął do kieszeni płaszcza, czapkę nasadził na uszy i nie pożegnawszy się z matką, wyszedł.

Matka patrzała za nim przez okno, szedł prosto ścieżką pod górę do lasu, zkąd Kaśka sankami woziła gałęzie.

— Wlazła ci Kaśka do głowy — szeptała — że se jéj wybić nie możesz. Strach cię przejmuje o nią i sumienie gada.—Zamyśliła się.

— Gdyby nie kawał świętéj ziemi, miałabym walną synową. Ha człowiek tak, Pan Bóg inaczéj.—Smutno jéj było bez dziewczyny, tęsknota ją zbierała i żal. Odzwyczajona od pracy, nie umiała sobie radzić, nie szła jéj robota, stawała, zamyślała się i mimowolnie oglądała się za Kaśką.

Na południe wrócił Józek zmęczony, smutny i zły.

— Nigdzie—pochwyciła matka.

— Byłem tak, jak ino daleko zajść mogła.

— I nic?...

— Nic—obcierał pot z twarzy i ciężko oddychał.

— Boję się, czy dziewczyna nie zmarniła się.

Chłopak zasępiony milczał chwilę.

— Wściekła ta baba,—szepnął, myśląc o wdowie.—I gdybym Kaśkę przez nią stracił, uśmierciłbym siebie i ją.

— Tak, tak—ale grunt.

— Wiem—krzyknął—że to mus,—waląc pięścią w stół,—ale nie taki, żebym dziewczynę zaprzepaścił.

— Mus, mus, mój synu. Cóżto, ojcowizny byś nie odebrał bez głupią dziewkę.

Weszła Gawliczka.

— Nie wiécie, gdzie Kaśka?—spytała.

Józek się zerwał, gospodyni zbliżyła się rozciekawiona do kumy...

— U Szerszeńki i z góry patrzy na was.

— U Szerszeńki,—powtórzyli matka z synem.

— Bądźcie zdrowi, poleciałam na kieliszek do żydówki i uciekam. Stary wraca z lasu i jakby nie zastał obiadu, toby mnie sprał i miałby prawo.

— Któż wam mówił,—spytał Józek.

— Widziałam ją na własne oczy. Ślepa nie jestem. Zostańcie z Bogiem—wybiegła; stara wyszła za nią, lecz za chwilę wróciła.

— A to ona u Szerszeńki.—Spojrzeli oboje przez okno na przyległe wzgórze, zkąd widniały na białym śniegu ciemne ściany chaty.

— Myśmy się bali, czy się gdzie nie zatraciła, a ona ci siedzi w ciepłéj izbie, patrzy na nas i śmieje się. Zadrwiła se okrutnie. Widziała, jakeś ją szukał i poleciał za nią w las.

— Dawaj matka jeść,—przerwał chłopak gwałtownie.

Stara w głosie syna uczuła gniew i zamilkła.

— Ja ci dam drwiny,—powtarzał w duchu.

Po obiedzie przybrał się w mundur, buty wyczernił, wymył się i uczesał, wdział nowy kożuch i czapkę baranią, zabrał pieniądze, pocałował matkę w rękę, matka go w głowę i zniknął za drzwiami. Nie przemówili do siebie ani słowa, lecz rozumieli się wybornie.

— Ja ci dam drwiny,—powtarzał, zbiegając z góry. Śnieg skrzypiał mu pod nogami: słyszał w nim śmiech Kaśki.

— Ja ci dam drwiny,—zawołał tak głośno, że aż echo z po za góry odpowiedziało mu. Czuć było w nim namiętność i chęć zagłuszenia sumienia krzykiem i gniewem.

Na „Tatarczance" kupił flaszkę słodkiéj. Mosiek wpatrywał się w niego z pół uśmiechem radości i protekcyi.

— Sidor, pamiętaj, że to w téj karczmie takie szczęście cię spotkało. Drugi dzień wesela u mnie. Dobrze?

— Dobrze—odpowiedział Sidor, wychodząc.

— I trzeci, pamiętaj, i trzeci...

Chłopak nie słyszał. W uszach mu świszczał śmiéch Kaśki. Drwiny jéj czuł głęboko, paliły mu krew i gniew wydobywały.

Doszedł do młyna.

— Zbierajcie się swachu—rzekł, udając wesołość, flaszkę wódki postawił na stole.

— Przyszedłeś, to już dobrze. Pójdziecie zaraz, niech tylko mego ogarnę,—odparła młynarka. Wdowa ci się dopiero ucieszy. Mówię ci baba mało co się nie zagubi, tak się jéj cnie. Na Bartka teraz ani popatrzy.—Zawiązała mężowi czerwoną chustkę na szyję, podała mu siwy surdut i gdy się zapinał, zarzuciła chustkę na siebie.

— Polecę naprzód, idźcie wolno: kobieta musi przecię izbę uprzątnąć.

Matka długo w noc czekała syna, ciekawa, co się stało ze swatami.

Kaśka również czekała, pewna, że przyjdą prosić ją, aby wróciła. Nikt nie przyszedł. Widziała Józka, gdy wychodził przy zachodzie słońca. Niebo się krwawiło, wybiegła z izby i stojąc na mrozie, patrzała. Nie wracał. Żal ścisnął serce dziewczyny, smutne przeczucia opanowywały ją i gdyby się nie wstydziła Szerszeńki, zapłakałaby rzewnie i serdecznie...

VI.

O zbliżającém się weselu wdowy mówiła cała wieś. Sześciu drużbów wplatało w grzywy koniom kolorowe tasiemki, sześć dru-

żek naszywało złote blaszki na gorsety, wdowa sprowadziła białą, haftowaną chustkę z Dembicy. Młynarka ją widziała, śliczności.

Józek zdał gospodarstwo na matkę. Nic nie robił, przechodził tylko od wdowy do własnéj chaty i znowu wracał do wdowy. Był smutny i ponury. Nocami stawał we drzwiach oborki, wpatrując w światełko migocące w oknie chaty Szerszeńki.

Ludzie opowiadali, że oboje jeździli do miasta. Był z nimi organista, młynarz, i Sobek Sidor i tam u „matereusza“ (1) wykupiła wdowa od Sidora grunt dla Józka. Na wesele kazała zabić rocznego prosiaka, placki piekła dwa dni, a piwo i wódkę przywiozła z Dembicy.

W dzień wesela zaraz po wschodzie słońca zbudziły ludzi strzały z pistoletów i tentent koni drużbów, jadących po pana młodego.

Kaśka z Szerszeńką wybiegły z chaty na ścieżkę.

— Widzisz, widzisz—mówiła Szerszeńka,—Józkowi przyprowadzili siwego od wdowy, a jakie ci na nim siodło: sam je kupił w mieście..... Prowadzą go, a to ci się zestroił. Czapka czerwona a na niéj pawich piór moc.

Kaśka blada i zalękniona wpatrywała się w pana młodego.

Czy od siły jéj spojrzenia, czy skutkiem, że myślał o niéj, spojrzał w górę i zobaczył dziewczynę. Kaśka śmiała się nerwowo. Nie dojrzał uśmiechu, lecz go przeczuł. Nacisnął czapkę na prawe ucho, dosiadł siwego, prawą ręką ujął się pod bok i z fantazyą wyśpiewując: hu—ha, popędził. Starszy drużba przodem, drudzy obok niego.

Wykrzykniki ucichły, tentent ustał, pan młody i drużbowie rozpłynęli się we mgle, zaledwo strzały z pistoletów przynosiły echa, Kaśka stała, patrząc na gościniec, zesiniała od zimna.

— Chodź, chodź Kasiu—przemówiła Szerszeńka, prowadząc dziewczynę do chaty.—Kiej przenosi nad ciebie starą babę, to już na to nie poradzisz.

Dziewczyna dała się pociągnąć. Gniew wyglądał jéj z oczu, usta układały się do uśmiechu.

W izbie wyjęła Szerszeńka ze skrzynki świąteczną odzież, głowę przewiązała chustką.

— A gdzież to?—spytała Kaśka.

— Do kościoła, a potém zajrzy się choć przez okno na wesele. Zbieraj się i ty, pójdziemy razem. Właśnie pokażesz mu, że nie dbasz o niego.

Dziewczyna zaczęła się szybko ubierać. Włosy zaczesała, warkocze czarne, długie zaplotła i zarzuciła je na plecy, wdziała czystą

(1) Notaryusza.

koszulę z kryzą, obszywaną po brzegach czerwonemi nićmi, kaftan granatowy i czerwoną w białe kwiaty spódnicę.

Szerszeńka spojrzała na nią.

— Taką dziewuchę porzucić dla starej baby, a niechże cię gęś kopnie,—zawołała.

Kaśka się uśmiechęła smutnie.

— Chodźmy, matusiu.

— Chodźmy, tylo pamiętaj Kasiu. abyś w kościele jakich szlochów i szamotań nie wyprawiała.

— Ja?..—odparła oburzona dziewczyna.—Ja mu się w ślepia zaśmieje i tyla.

— Bo nie wart niczego innego—poświadczała Szerszeńka.—Chłop by myślał, że Bóg wie co. A ty mu właśnie pokażesz, że stoisz tyle o niego, co o ten wiatr wiejący po polu.

Wyszły, mróz zelżał, mgła zaległa dolinę. Na gościńcu Kaśka wyprostowana, pewna siebie, biegła naprzód, Szerszeńka za nią. Ludzie, widząc Kaśkę, zaczęli szeptać między sobą.

— Idzie Kaśka, pewnikiem w kościele wyprawi turbacyą Sidorowi.

— Abo wdowę schwyci za włosy i ściągnie ze stopni ołtarza.

— Kaśka na wszystko gotowa.

Gotowość na wszystko Kaśki budziła ogólną ciekawość i niemal całą wieś sprowadziła do kościoła.

Zagrały organy, przed wielkim ołtarzem uklękła wdowa, Józek obok niéj. Kaśka stanęła naprzeciw, przeszywała go wzrokiem i uśmiechała się. Chłopak spojrzał na nią, zobaczył uśmiech ten sam: widział go we śnie, widział gdy oczy zmrużył, widział gdy patrzał na świat i myślał o swéj ojcowiznie. Zbladł, zatrząsł się i brwi ściągnął. Schwyciłby Kaśkę i zdusił, gdyby nie kościół, wielki ołtarz i ksiądz przed ołtarzem. Czuł w uśmiechu dziewczyny zemstę jej, tryumf, a własne upokorzenie. Kaśka się śmiała z niego i baby klęczącej przy nim. Kiedy ona młoda, samo zdrowie, przeznaczona mu przez ludzi i Boga, zdala od niego śmieje się i drwi.

Kaśka, wciąż patrzała i uśmiechała się. Ludzie, dziwując się jéj spokojowi, szeptali do siebie:

— Czy Kaśka zapomniała Józka? Czy znalazła sobie innego chłopaka?—Markotni byli, że się wszystko spokojnie odbywa; żal mieli do dziewczyny...

Ksiądz zmienił pierścionki i związał stułą ręce państwu młodym. Wdowa promieniała radością, Józek był blady, matka jego płakała dla zwyczaju i z żalu za synem.

Organista zagrał marsza, organy huczały. Jakże nie miały huczéć takiéj bogaczce?.. Józek szedł naprzód, wdowa tryumfująca tuż obok niego, za nimi matka, drużbowie, druchny w kwiatach na głowach i zaproszeni goście. Ludzie im się ustępowali i dziwili.

Ostatnia wyszła Kaśka z Szerszeńką. Na cmentarzu było pusto, zdaleka zaledwo dolatywały ich tony muzyki, śpiewy drużbów i trzaskania z biczy.

— Amen i już po wszystkiemu,—odezwała się z determinacyą Szerszeńka. Kaśka wstrząsnęła głową i łowiąc niknące tony muzyki, stała zapatrzona w jeden punkt, niema, zrozpaczona.

— Wracajmy do chaty, moje dziecko. O jednego chłopa i tak sobie zaraz przybierasz do głowy.

Dziewczyna ocuciła się.

— Ja przybieram sobie do głowy, o tego draba? Nie doczekanie jego. Chodźmy...

Szła prędko naprzód że zaledwo jéj Szerszeńka wydążyć mogła.

Wieczorem wyszły obie zajrzéć na wesele.

— Niech on nie myśli, że ja siedzę w komorze, głową biję o ścianę i włosy rwę.

Przed chatą wdowy było ludzi jak mrowia, przypatrywali się zabawie przez otwarte okna. Kaśce mimowolnie zrobiono miejsce. Oparła się o framugę okna i żartując z dziewczętami, śmiała się głośno.

Śmiech jéj wśród wrzawy usłyszał Józek. Zapalił krótkiego, wziął ze stołu flaszkę i zaczął częstować słodką swych gości. Ręka mu drżała, rad był poskoczyć do dziewczyny i zdusić ją, lecz się bał. Ludzie by ją obronili, a jemu wstyd.

Gospodyni w swoim domu skłoniła się Kaśce lekkiem poruszeniem, dziewczyna nie odpowiedziała jéj, patrzała na nią, nie widząc.

Wdowa kazała słudze podać jéj placka i mięsiwa. Odsunęła rękę sługi z jadłem i daléj żartowała i śmiała się z dziewczętami.

Państwo młodzi zobaczyli, jak Kaśka odepchnęła podane jadło, lecz udawali, że nie widzą.

Dziewczyna zabawiła godzinę przy otwartem oknie, naśmiała się z rówiennicami i razem z niemi odeszła. Po jéj odejściu wdowa odetchnęła, lżéj się jéj zrobiło. Józek udawał wesołego, ale był zgnębiony i smutny.

VII.

Wiosna powoli z po-za zczerniałych płatów śniegu wydobywała się zieloną trawą, słońcem płynącém w błękitach, ciepłym, południowym wiatrem i piosnką skowronka.

Kaśkę podrywało i ciągnęło z chaty Szerszeńki na boży świat. Przybladła przy wrzecionie i smutnych myślach.

I Sidorowa zbiédniała, syn wtedy tylko zaglądał, gdy szedł na swe pole patrzéć, czy śnieg zleciał z oziminy i rachować dnie, kiedy będzie mógł wjechać pługiem na własny zagon. Uśmiechał się ze szczęścia na samę myśl téj pracy.

Południowy wiatr napędził chmury, dészcz ciepły, drobny i gęsty spadł w nocy na ziemię, rankiem słonko rozpędziło mgły, śnieg znikł, promienie słońca przeglądały się w kroplach rosy błyszczącéj na trawie. Ptaki świérgotały w powietrzu, kury grzały się na słońcu, bydło ryczało w oborach, ludzie się radowali wiośnie.

Sidorowa wybiegła z izby, stanęła na dziedzińcu i grzejąc się na słońcu, patrzała na chatę Szerszeńki.

— Jakże ja sobie biedna sierota teraz dam radę. Ręce i nogi nie słuchają mnie, krzyże bolą, a tu tyle roboty, że Boże zlituj się..... Niech będzie co chce,—szepnęła z mocą, chustkę pociągnęła na głowę i prosto poszła do chaty Szerszeńki. Kaśkę zastała samę.

— Cóż to Kasiu, markocisz się jeszcze i nie ulitujesz nad starą. Wiem, że ci się krzywda stała, ale przecię powinnaś sobie pomiarkować, że chłopak sto razy ciebie by wolał i twoję urodę, jak swoję babę. Wszystko to bez tę ojcowiznę się stało: ośm morgów pola i miałby ci go stracić i nie bać się pomsty Bożéj?.. Aboś to ty taka głupia, żebyś nie rozumiała, że mu ino o świętą ziemię szło?

Kaśka spuściła głowę i milczała.

— Zostałyśmy tylko dwie, na Bożym świecie—mówiła daléj Sidorowa serdecznie,—odchowałam cię i gdym się zestarzała, robić nie mogę, uciekasz odemnie, a przecie wszystko, co zostanie po mnie, to twoje... Marnego słowa odemnie nie słyszałaś...—Rozpłakała się, ocierając chustką oczy.

I Kaśka buchnęła płaczem, głośnym, płynącym z pod serca. Długo tajony ból, żal i smutek znalazły ulgę w tym płaczu.

Stara ocierając chustką oczy, głaskała po twarzy dziewczynę.

— Człowiek chce tak, Pan Bóg inaczéj. A czy to ja kiéj była krzywa temu, abyś nie została moją synową? Powiedz sama? Cóżem zyskała, że chłopak przyżenił się do bogaczki, co? Ani go oko moje widzi, ani uszy słyszą... No Kasiu, wrócisz do własnéj zagrody?

Dziewczyna milczała. Sidorowa zwinęła w płachtę pierzynę jéj i poduszkę, zarzuciła zawiniątko na plecy i wychodząc:

— Chodź, chodź—mówiła.—Po skrzynkę przyślę wieczorem Magierę. Roboty nie braknie, Szerszeńka się u nas na przednowku przeżywi i parę grajcarów weźmie.

Kaśka okryła się chustką i wyszła; na drodze odebrała staréj zawiniątko, bo coby ludzie powiedzieli, i poszła zawstydzona. Dopiero w chacie ożywiła się i rozweseliła. Pobiegła do krowy: wtorucha poznała ją, wyciągnęła szyję i lizała ostrym językiem. Cielę urosło, ciołki były wypasione, Józek przywiózł im siana z domu. Sidorowa goniła dziewczynę wzrokiem pełnym radości i uśmiechem szczęścia.

— Co tu roboty, co tu roboty—mówiła Kaśka,—nie wiedziéć do czego się tknąć.—Gospodyni potakiwała jéj.

Wieczorem przyszła Szerszeńka, Magiera przyniósł skrzynkę. Tymczasem od chaty do chaty biegła wieść o powrocie Kaśki, dobiegła i do bogaczki. Józek drgnął, lecz nic nie mówił. Bogaczka posmutniała czegoś, lecz nie śmiała się odzywać.

Pod promieniami słońca i południowego wiatru ziemia w oczach obsychała; lud się wyroił na rolę jak mrówki i zaczęła się wiosenna praca.

Na ośmiu morgach ojcowizny Sidora, Magiera ciołkami orał ziemię. Józek czterema końmi włóczył zimową uprawę. Gdy spoczęli chwilę, młody gospodarz zwrócił się do Magiery.

— A co, będzie tu jęczmień?

— Chybaby Pana Boga nie było,—odpowiedział stary,—bo téż to grunt, grunt jakiego drugiego na okolicę nie znajdzie.

— A Kaśka—kończył w myśli Józek—chciała, abym się wyparł kawałka świętéj ziemi... Wio, wio—śmignął batem: cztery mierzyny ruszyły rażnie, ciągnąc brony. Kaśka—na wspomnienie tego imienia dreszcz go przechodził, serce się ściskało i urok świętéj ziemi zanikał...

— Hetta, wista—wołał na ciołki Magiera. pług odwalał skibę tłustej ziemi, połyskującéj na słońcu.

Józek za chwilę stanął, podszedł do orki, patrzał i szepcząc, powtarzał z uczuciem nieokreślonéj czci.

— Święta, święta—a mimo to wspomnienie Kaśki zasłaniało mu ją a wstyd i żal gnębiły.

W południe nie poszedł do chaty matki. Udawał, że się gniewa na Kaśkę, lecz się jéj w głębi duszy bał. Dziewczyna również się nie pokazywała, obiad w dwojakach przyniosła mu matka. Zaledwo raz widział zdaleka Kaśkę, idącą do lasu i wracającą z brzemieniem gałęzi na plecach. Na jéj widok krew mu buchnęła do głowy, lecz się odwrócił i powoli ochłonął.

Siéwy skończone, z pod ziemi wydobywały się zielone źdźbła zasianego zboża, szerokie, jasne listki jęczmienia i długie, ciemne owsa. Ziemniaki wychylały się granatowemi liśćmi z po za czarnych

skib. Czarne lasy zmieniły barwę, stały się podobne do miękich, wzorzystych dywanów, falujących podmuchami wiatru.

Ciepło było, zielono, rozkosznie. Biała kula słońca rzucała promienie przedzierające się przez niebieskawą mgłę widnokręgu. Swiergoty ptaków łączyły się z wesołym rykiem bydła, krakaniem wron i piosnkami pasterek. Zdawało się, że cały świat się raduje, a ziemia oddycha dziewiczą świeżością.

Józek pchany ciekawością, przywiązaniem do ojcowizny i tęsknotą do własnego gniazda, uciekał od gospodarstwa wdowy patrzéć na swe zasiéwy. Stawał na wzgórzu, obejmując wzrokiem długi, wązki pas ziemi, ciągnący się łukowato w górę.

— Mam cię nareszcie i już cię mi nikt nie wydrze. Nikt—zawołał i czekał w nadziei, że mu to święta ziemia powtórzy. Święta ziemia odpowiadała wesołą zielonością rosnących zbóż.

Obejrzał się, od strony lasu zamajaczyła w zieleni drzew i błękicie powietrza czerwona spódnica Kaśki, biała koszula i granatowy gorset. Chłopak zadrżał: coś go ścisnęło za serce, w uszach zaszumiało, krew biła mu do głowy.

Czerwona spódnica i biała koszula znikły za zielonemi gałęziami. Józek stał, wytężył wzrok i uczuł w sobie nieznaną siłę, popychającą go w stronę lasu. Namyślając się, zrobił pierwszy krok, po nim drugi, trzeci—szedł coraz szybciéj, nareszcie zaczął biedz i biegiem dopadł do lasu. Zatrzymał się na kraju, patrzał i słuchał.

Z głębi dolatywał go trzask łamanych gałęzi, za dolatującym głosem, skierował wzrok, lecz nic nie widział. Serce mu biło, lęk go zbierał, tchu brakło w piersi. Oddychał ciężko, posuwając się zwolna za rozlegającym się odgłosem. Po za krzakami leszczyny zobaczył czerwoną spódnicę, granatowy gorset i białą koszulę. Zdobył się na odwagę, skoczył, przedarł się przez gałęzie i stanął przed dziewczyną.

Struchlała: nie mogła słowa przemówić i kroku jednego zrobić; blada drżała na całém ciele.

— Kaśka, gniewasz się—szepnął.

Dziewczyna zalękniona nie odpowiedziała.

— Markocisz się, wyśmiéwasz się ze mnie, a nie wiész sama o co. Miałem zatracić ojcowiznę, ośm morgów pola, jak złoto? Czyś ty oszalała? Czy mi to wolno marnić świętą ziemię? gadaj!

Kaśka milczała.

— Z początku zdało mi się, że wypracuję te cztery stówki i wykupię zastaw. Harowaliśmy całe lato i zarobiło się na sól, buty i podatek, a tymczasem rolę niszczył Sobek. Kaśka markocisz się?

— Nie—szepnęła, spuszczając oczy i wsłuchując się w bicie własnego serca.

— Przecie ja nie chciałem cię krzywdzić, i co zostanie po matusi, wszystko twoje. Kasiu, com przez ciebie przeciérpiał—zbliżył się do niéj i objął ją w pół.

Wiewiórka przeleciała po ziemi, szeleszcząc suchemi liśćmi; dziewczyna odskoczyła.

— Uciekasz—odezwał się smutno, a serdecznie.

— Nie,—szepnęła.

Zbliżył się znowu.

— Kasiu...

Dzięcioł zaczął bić w drzewo, łoskot rozlegał się po lesie: dziewczyna była pewna, że las ożył, patrzy i słucha. Kruk zakrakał w powietrzu, krowa zaryczała na wygonie, gołąb' przesunął się wśród gałęzi: Kaśka myślała, że las się wypełnia ludźmi i sto oczu patrzy na nią. Zaczęła się cofać.

— Boję się—szepnęła.

— Czego?..

— Jasności słońca, ludzi...—schyliła się, aby ukryć zarumienioną twarz i połamane gałęzie układać na rozłożony na ziemi powróz. Józek jéj pomagał. Milczeli ze wzruszenia, gwałtowne bicia własnych serc ogłuszały ich.

Dziewczyna chciała brzemię zarzucić na plecy, chłopak ją uprzedził. Szli razem aż do kraju lasu.

— Józek oddaj—szepnęła,—ludzie zobaczą i gotowe ramoty.

— A co mi ludzie! czy to ja się boję staréj?

— Oddaj—powtórzyła, zatrzymując go.

Chłopak zrzucił gałęzie na ziemię.

— Kasiu—odezwał się, głos mu drżał ze wzruszenia—sypiasz zawdy w obórce?—Dziewczyna odpowiedziała purpurowym rumieńcem.

— W nocy—mówił daléj,—tu, na tém miejscu będę cię czekał. Nikt cię nie zobaczy. Przyjdziesz?

Zamiast odpowiedzi poprawiała rozluźnione w wiązce gałęzie.

— Przyjdziesz—powtórzył rozkazującym tonem. Dziewczyna się przelękła.

— Może—szepnęła.

— Musisz! Będę czekał choćby całą noc; musisz—powtórzył.—Kasiu! —jęknął żałośnie.

Kaśka brzemię gałęzi usiłowała zarzucić na plecy, pomógł jej.

— Przyjdziesz?

— Przyjdę,—szepnęła—lecz nie chodź za mną. Wracaj Marcinową miedzą.

Chłopak został, patrząc za dziewczyną, póki nie znikła za wyniosłością wzgórza.

Granatowe niebo oświecały srebrne blaski gwiazd, na ziemi było ciemno i ciepło. W umówioném miejscu stał Józek: wytężył słuch, czekał. Cisza panowała w naturze, chłopak czuł, że ziemia, niebo i drzewa w lesie, razem z nim czekają, wytężywszy słuch. Zaszumiały wierzchołki drzew: był pewny, że to szelest spódnicy Kaśki. Szmer przeszedł po ziemi: wierzył, że to odgłos jéj stąpań po oblanéj rosą murawie. Zimno go przejmowało, drżał na ciele, a wewnątrz palił ogień... Godzina po godzinie mijały, czekał i słuchał. Daleko, daleko zaszczekał pies, kogut zapiał w zagrodzie, za nim drugi i trzeci. Od wschodu gwiazdy powoli bladły i gasły, na gałązkach drzew budziły się szmery od skrzydełek ptaków. Nieśmiałe ich szczebiotania wydobywały się z po za liści, ciemność znikała, chłodny wiatr przeciągnął od wschodu. Chłopak się zatrząsł z gniewu i żalu i jakby się bał, aby go słońce nie prześcignęło, zaczął biedz. Na górze stanął, nabierał w płuca powietrza i oglądał się. Od wschodu krwawe strugi światła spłynęły na ziemię. Wystraszony i niecierpliwy poleciał jak oszalały do zagrody matki, rozbił nogą wrotka, wpadł do obórki i drzwi za sobą zatrzasnął.

Józek przesiadywał w swéj chacie i jedynie uprawiał rolę ojcowizny, mało się zajmując swą babą a mniéj jeszcze jéj gospodarstwem. Matka się cieszyła powrotem syna, a Kaśka pocieszała słowami: „Stało się, co się stać musiało.“

Bogaczka zrazu pozwalała na wycieczki swemu chłopu, mówiąc „niech się nacieszy własnym zagonem.“ Lecz gdy ją słuchy zaczęły dochodzić o Kaśce, wybuchła strasznym gniewem, pomstowała i groziła.

Chłopak rad był ująć się za dziewczyną, lecz nie śmiał. Przecież to była jego baba, odkupiła mu ojcowiznę, starsza od niego, bogaczka i gospodyni. Rad był ją sprać należycie, nie śmiał, ręce mu drżały, lecz je trzymał przy sobie i milczał.

Milczenie i pozorny spokój chłopaka, podsycały zazdrość w kobiecie. Żółkła i starzała się. Co dnia przybywały jéj zmarszczki na żółtéj twarzy.

Kumoszki szpiegowały chłopaka i za garść soli lub kwartę grochu opowiadały o nim i dziewczynie dziwy, a ludzie mówili.

— Zachciało się babie młodego i już. Gdyby się wydała za statecznego gospodarza, miałaby spokój i ład. A tak odebrała chłopaka sierocie i teraz ma za swoje. Krzywda krzywdą się płaci, takie prawo na świecie.

Jedna z kum wczesnym rankiem wpadła zdyszana do izby bogaczki, mówiła długo i cicho, wykładała rękami i głową wstrząsała. Bogaczka słuchała, zaciskając w pięść rękę. Wyprawiła kumoszkę, zarzuciła chustkę na głowę i prosto poleciała do chaty Sidorowéj.

W otwartém oknie zobaczyła starą. Przyskoczyła do niéj.

— Tom ja tego dziada z barłogu dźwignęła, okryła, przytuliła, wykupiła grunt, oddałam mu własny dobytek, a ten łajdak z dziéwką się zadaje, sromoci twój dom i ty, czarownico, pozwalasz na to, zamykasz ich w oborze, aby ci się ino lepiéj działo.

Sidorowa zbladła jak biała chustka, okrywająca jéj głowę.

— Syn mój jest lepszym gospodarskim synem, jak ty córką,— wrzasnęła.—A żeś mu grunt wykupiła, boś po nieboszczyku zabrała pieniądze; a że chłopak ucieka od ciebie, boś stara.

Zatrzasnęła okno, wdowa pięścią wybiła szybę, wyzywała starą i klęła, póki nie ochrypła. Kumy stojąc we drzwiach chat, słuchały.

Wieczorem Józek wracał do domu; wrótka do obejścia były zamknięte na kłódkę, na dziedzińcu stała wdowa, podparta pod boki:

— Gdzie?—krzyknęła.

Chłopak stanął, popatrzał na nią i ciskając błyskawice z oczu, zawołał.

— Do domu.

— To nie twój dom i jak tu wléziesz, psami cię wyszczuję. Ruszaj do swéj budy, do dziewki i do téj staréj czarownicy, co ją matką nazywasz. Precz!—krzyknęła ochrypniętym głosem.—Parobcy, do mnie!

Parobcy wyglądali z drzwi stajni, lecz nie śmieli wychodzić z szacunku dla gospodarza: dobry był, a nie chcieli babie pomagać, bo wstyd.

Józek mienił się z gniewu, ręce mu się trzęsły. Czuł, że gdyby tknął baby, mógłby jéj kości połamać. Stał, patrzał na nią, drżące wargi zębami trzymał i gdy się uspokoił do tyla, że mógł przemówić, odezwał się:

— Bądź zdrowa, stara—zwrócił się i poszedł.

Śmiéch od strony stajni rozległ się po dziedzińcu, łagodząc w nim uczuciecie doznanego upokorzenia i szalonego gniewu. Czuł, że się zemścił i to robiło mu ulgę.

Śmiéch parobków doprowadził do wściekłości kobietę, trzęsła się; chciała krzyczéć, dusiło ją w gardle; chciała biedz do stajni, nogi się pod nią uginały. Zaciskając kurczowo ręce, powoli wróciła do izby, zatoczyła się i padła na łóżko.

I znowu cicho i spokojnie płynęło życie wioski, wśród pracy i powszednich trosk, tylko ludzie mówili:

— Józek Kaśce był przeznaczony. Pan Bóg wié, co robi.

Braciejowa dnia 24 pazdziernika 1886 r.

Sewer.





Z GALICYI.

Styczeń 1887.

Zmiana marszałka krajowego i ks. Adam Sapieha.—Tegoroczna sesya sejmowa. Spór o 115 milionów. — D-r Smolka w Rzymie. — Ze statystyki.

I.

Gdy rok temu pisząc na tém samém miejscu o trudnościach, z jakiemi walczył ówczesny marszałek krajowy dr. Zyblikiewicz, przewidywałem jego ustąpienie, nie byłem jeszcze pewny, kiedy to nastąpi; tymczasem rok się nie skończył, a smutne proroctwo stało się faktem spełnionym. I nie mogło być inaczéj. Spór między marszałkiem a namiestnikiem doszedł był już do punktu kulminacyjnego, więc téż jeden z nich musiał ustąpić. Gdy przyszło do ostatecznego starcia, utrzymał się ten, który mocniéj w siodle siedział. Tym był namiestnik Zaleski, podtrzymywany gorliwie przez ministra Ziemiałkowskiego i rodzinę hr. Alfreda Potockiego, bardzo wpływową tak w Galicyi, jak w Wiedniu. Walka między temi dwiema osobistościami była natury więcéj prywatnéj niż publicznéj. Dr. Zyblikiewicz, znany powszechnie z gwałtownego temperamentu i szorstkiego obejścia, wyrażał się przy każdéj sposobności w sposób lekceważący o namiestniku, któremu przedewszystkiém to zarzucał, że stara się o protekcyą dam wpływowych; namiestnik ze swéj strony był zdania, iż człowiek niehołdujący zasadzie Talleyranda, iż na to język mamy, byśmy tém lepiéj ukrywali nasze myśli, nie powinien zasiadać na równie wpływowém jak zaszczytném krześle marszałkowskiém. Smutném następstwem tego antagonizmu, który trwał cztery lata, a z każdym dniem się zaostrzał, było, że tak się wyrażę, kawęczenie naszéj autonomii, namiestnictwo bowiem, jako władza wykonawcza, nie raz rozmyślnie stawiało trudności wydziałowi kraj., co

na pożytek kraju wyjść nie mogło. Sprawa rachunków funduszu szkolnego, w któréj Zyblikiewicz zajął stanowisko zupełnie legalne, była tą kroplą ostatnią, która czarę przelała. Gdy Zyblikiewicz zażądał dymisyi, cały kraj zaczął go szczerze żałować. I żałowało go nietylko stronnictwo krakowskie, które go z dawien dawna za swego poczytywało, ale także mieszczanie i demokraci, choć do pierwszych, mimo iż z ich grona wyszedł, dr. Zyblikiewicz wcale się nie przyznaje, drugich zaś z całéj duszy nienawidzi, nazywając ich „warcholami“, „ulicą“, Bóg wié jak jeszcze. Wprawdzie zabawnie to wygląda, gdy człowiek, urodzony i wychowany w ubogiéj chacie małomiasteczkowego baraniarza, chce koniecznie grać rolę arystokraty, ale już to samo, że nasze żywioły demokratyczne przebaczyły mu tę jego fanfaronadę i na dawném stanowisku chciały go koniecznie utrzymać, jak z jednéj strony świadczy dobrze o ich zmyśle politycznym, któremu przedewszystkiém idzie o treść rzeczy, nie zaś o formę, tak z drugiéj strony daje także dobre świadectwo pożytecznéj działalności byłego marszałka. Gdyby Zyblikiewicz nie był się dobrym okazał na swojém stanowisku, nikt by go z pewnością nie żałował; jako człowiekowi, możemy mu bardzo wiele zarzucać, ale jako naczelnikowi naszéj autonomii chyba to jedno, że nie umiał dla dobra kraju zaprzéć się swego ja, i z rządem dobréj harmonii utrzymać. Wszyscy jego poprzednicy w ciągu lat dwudziestu tyle nie zrobili, co on w ciągu pięciu lat. Ci, co koniecznie chcieliby zmniejszyć jego zasługi, utrzymują, że gdyby był chciał, mógł jeszcze więcéj dokonać; lecz czy było to możliwe w ciągu pięciu lat, nad tém się oni nie zastanawiają. W tak krótkim przeciągu czasu prowincyi sześciomilionowéj nikt nie potrafiłby odrodzić, u nas bowiem wszelkiéj pracy około podźwignienia kraju z nędzy materyalnéj, nie tylko brak pieniędzy stoi na zawadzie, lecz także nasz nieszczęsny stosunek do innych prowincyi monarchii, które z Galicyi żyją. Jakim cudem np. podźwigniesz rolnictwo i chów bydła, jeżeli rząd dla dobra fabrykantów wiedeńskich, którzy wschód swoją tandetą zarzucają, otwiera ci granice południowe dla pszenicy rumuńskiéj i wołów stepowych, które prócz niskich cen przynoszą nam także zarazę; a jakim sposobem rozkrzewić przemysł, skoro Galicya nie ma i nigdy nie będzie miała ceł ochronnych? Ktoby się chciał dowiedzieć, z jakiemi trudnościami od lat stu walczymy na polu przemysłowém, tego odsyłam do mego artykułu poświęconego téj sprawie, a umieszczonego w „Ateneum“ w r. 1885. Zyblikiewicz zrobił tedy tyle, ile mógł. Najpiérw przekonał on nasze społeczeństwo, że bez podstawy materyalnéj nie ma ani cywilizacyi, ani postępu, ani prawdziwéj wolności; następnie on pierwszy założył przynajmniéj jakie takie podwaliny

pod gmach naszego materyalnego odrodzenia. Nie powiem, by droga, którą do tego celu wybrał, była *najlepszą*; w każdym jednak razie, wśród stosunków, w jakich jesteśmy żyć zmuszeni, była ona *jedynie możliwą*. Ponieważ wielkiego przemysłu fabrycznego geniusz nawet nie potrafiłby u nas stworzyć, gdyż państwo było temu zawsze przeciwne, a i dziś, mimo konstytucyi i autonomii, nie wspiera naszych usiłowań w tym kierunku, przeto nie pozostało nic, jak tylko dźwigać, o ile to się da, upadający przemysł domowy, a równocześnie forytować zdrowy handel i rękodzieła przez racyonalne opiekowanie się zdrowemi spółkami. Galicya ma dziś 43 szkoły przemysłowe, do których uczęszcza blisko 5,000 uczniów, 13 niższych szkół rolniczych, kilkadziesiąt spółek szewckich, garbarskich, powroźniczych i innych, fundusz melioracyjny dla rolników, bank krajowy, którego samo istnienie przyczynia się w wysokim stopniu do zniżenia stopy procentowéj, i wiele innych rzeczy pożytecznych. Wszystkie one zawdzięczają swoje istnienie inicyatywie Zyblikiewicza. Czy to nic? O ile ta praca okazała się korzystną, niech następujące fakta udowodnią. Koleje galicyjskie zaopatrywały się dotąd we wszystko bądź w Wiedniu, bądź w innych miastach niemieckich. Spółka kuśnierska w Starym Sączu, istniejąca tylko dzięki poparciu Zyblikiewicza, zaopatruje już od kilku lat w wyroby kuśnierskie kolej Karola Ludwika i Czerniowiecką, teraz zaś otrzymała dostawę kożuchów dla zachodnich linii kolei państwowych w Galicyi, a prócz tego spodziewa się uzyskać takąż dostawę dla dyrekcyi ruchu kolei państwowych we Lwowie i w Lińcu na trzy lata. Fakt drugi: świeżo zawiązane w Komarnie towarzystwo tkackie, otrzymało zawiadomienie od dyrekcyi monopolu tytoniowego w Wiedniu, że cała dostawa płótna, w ilości 35,000 metrów, zostanie oddana temuż towarzystwu na r. 1887, a jeżeli jakość wyrobu okaże się dobra, dostawa będzie przedłużona na lata następne. Fakt trzeci: w Zakopaném istnieje od lat kilku szkoła koronkarstwa, któréj założycielką była pani Helena Chłapowska (Modrzejewska), ponieważ przeznaczyła na nią 1200 guldenów. Późniéj szkoła przeszla na fundusz krajowy. W pierwszym roku uczennic było ledwie 14, w roku ubiegłym chodziło ich już do szkoły 96, a czysty dochód ze sprzedanych koronek, po odtrąceniu materyału wynosił 1150 guldenów. Zysk ten został między uczennice rozdzielony. Fakt czwarty: mimo spławności naszego Dniestru, nie mogliśmy się na nim doczekać żeglugi parowéj. Wprawdzie w Stanisławowie od lat blisko dziesięciu istnieje spółka, mająca dwa małe okręciki, lecz ta, dla braku funduszów, nie mogła się rozwinąć. Dopiero teraz sejm przeznaczył dla niéj subwencyą roczną w wysokości 3000 guldenów, a prócz tego postanowił porę-

czyć jéj 5% od kwoty 125,000 guldenów rocznie. Znając dobrze stosunki, nie wątpię, że teraz spółka żeglugi parowéj na Dniestrze znakomicie się rozwinie. Wybrałem cztery fakta na chybił trafił z długiego rejestru innych, i śmiem zapytać, czy one nie ilustrują dostatecznie pożytecznéj działalności Zyblikiewicza? Wiem ja dobrze, że to, co jego inicyatywie zawdzięczamy, kraju nie wzbogaci, w stuleciu bowiem pary praca ręczna nie może wytrzymać współzawodnictwa z wielkiemi machinami, lecz w każdym razie przyczyni się do zmniejszenia nędzy, wyrobi siły fachowe, i co może najważniejsze, obudzi w nas wiarę w siebie, którą straciliśmy już oddawna, a bez czego nie ma przyszłości.

Ciekawy był pojedynek, jaki po ustąpieniu Zyblikiewicza toczył się między stronnictwem krakowskiém a ks. Adamem Sapiehą, który już od roku spodziewał się zostać marszałkiem i w tym celu nawet w Wiedniu bawił. Książę ma wiele przymiotów, które mu jednają serca panów braci. Mówi pięknie i najczęściéj z tonu demokratycznego; ilekroć potrzeba, nie szczędzi grosza na cele publiczne, w pamiętnych latach zawieruchy odgrywał rolę wybitną, nawet w kozie siedział; słowem, ma w sobie wiele rzeczy chwytających za serce. Lecz z drugiéj strony, książę jest człowiekiem w wysokim stopniu nerwowym, fantastą, zapominającym dziś o tém, co wczoraj poczytywał za rzecz niezbędną, podobniusieńkim jak jedna kropla wody do drugiéj, do ks. Skirgiełły w „Dziwnych karjerach“ Jana Lama. Dzięki swoim przymiotom, książe jest w Galicyi, zwłaszcza wśród szlachty, osobistością wielce popularną; z drugiéj wszakże strony, jego wady, między niemi głównie kapryśność i wstręt do pracy wytrwałéj, nie pozwoliły mu dotąd odegrać roli wybitniejszéj. Ponieważ w roku ubiegłym otrzymał on od cesarza tytuł ekscelencyi, przeto po upadku Zyblikiewicza wszyscy byli pewni, że nikt inny, tylko on, zostanie marszałkiem. Tymczasem stało się inaczéj. Stronnictwo krakowskie, które w radzie korony ma swego rzecznika w osobie ministra Dunajewskiego, a między wpływową arystokracyą hr. Ludwika Wodzickiego, który jako osobisty przyjaciel hr. Taaffego, umié lepiéj niż ktokolwiek inny ważne rzeczy przeprowadzać, tak się zręcznie zawinęło, że prawie w ostatniéj chwili korona ks. Sapiehę pominęła, a hr. Janowi Tarnowskiemu oddała laskę marszałkowską. Krzyk z tego powodu był z początku wielki, dziennikarstwo bowiem galicyjskie, lękając się przewagi stańczyków, jak mogło i umiało, popierało księcia, upadek więc jego poczytywało za klęskę dla kraju. Nie trwało to jednak długo. Ledwie nowy marszałek w sejmie się pojawił, wnet wystąpieniem swojém, pełném taktu, zjednał sobie wszystkich serca, i dziś ci nawet, którzy jeszcze nie-

dawno najgłośniéj krzyczeli, mówią: „kto wié, czy Tarnowski nie jest lepszym od Sapiehy.“ O ile ja znam stosunki, pod tym względem nie ma najmniejszéj wątpliwości. Sapieha byłby pięknie kraj reprezentował i wygłosiłby nie jednę mówkę ognistą, lecz z drugiéj strony jego autokratyzm, kapryśność i brak zamiłowania do żmudnéj pracy, byłyby się w wysokim stopniu przyczyniły do zdezorganizowania całéj autonomii. Tarnowski przeciwnie—nie będzie olśniewał, ale za to w miarę swych zdolności będzie gorliwie pracował, a tego głównie potrzeba. Zresztą trzeba i to wziąć na uwagę, że Tarnowski pójdzie daléj drogą wytkniętą przez swego poprzednika, gdy przeciwnie Sapieha byłby chciał wszystko sam stworzyć, i — wypowiedzmy to szczerze—byłby w końcu nic nie zrobił. Takie jest głębokie przekonanie znakomitéj większości ludzi trzeźwych w Galicyi, i dlatego wolą oni widziéć teraz na krześle marszałkowskiém stańczyka niż „czerwonego“ księcia.

II.

Tegoroczna sesya sejmowa nie była ani długa, ani w ważne uchwały obfita. Posiedzeń odbyło się tylko dwadzieścia, a i z tych nie wszystkie były doniosłym sprawom poświęcone. Gdy w myśli przebiegam sesye ubiegłe, nie widzę między niemi ani jednéj tak jałowéj. Lecz mimo to nie rzucam kamieniem na naszych wybrańców. Nie oni winni, że sesya była krótka, tylko rząd, który zwołał sejm pod sam koniec r. 1886, i w dodatku odroczył go w środku sesyi na kilka tygodni; to zaś, że posłowie nasi nie mogli tym razem zajmować się ważnemi sprawami, poszło głównie ztąd, że nowy marszałek objąwszy urzędowanie w ostatniéj godzinie, nie miał czasu rozpatrzéć się należycie w rozmaitych projektach, więc też nie mógł ich wnieść przed *plenum* izby. Zaraz w początkach sesyi ks. Sapieha spełnił czyn, który mu niemało zaszkodził w opinii jego własnych przyjaciół. Ledwie posłowie się zjechali, zaczął on natychmiast formować koalicyą przeciw stronnictwu krakowskiemu, aby się na niém za to zemścić, że go ominęła laska marszałkowska. Wszystko zdawało mu się sprzyjać: prócz centrum sejmowego, przyrzekli mu poparcie nawet opozycyoniści polscy i Rusini. Zwycięstwo było tedy zapewnione. Cóż się jednak okazało? Oto gdy przyszło do głosowania na członków jednéj z licznych komisyi sejmowych, lecz zarazem najważniejszéj, tak zwanéj „komisyi matki“, która na bieg spraw sejmowych stanowczy wpływ wywiera. książę idąc za popędem swojéj nerwowości postawił niespodziewanie taki wniosek, który zamiast zaszkodzić, raczéj pomógł stańczykom. Rzecz prosta, że po tym

czynie ludzie najbardziéj nawet księciu życzliwi, przestali weń wierzyć i dziś nie tają przekonania, że choćby nie wiedziéć jak gorąco pragnął, nie potrafiłby on nigdy dobrze rządzić. W żadnym téż sejmie nie uformuje książę wpływowego stronnictwa, gdyż rzadko kto mógłby podporządkować swoję osobę jego kapryśnéj naturze. Jakby w zamiarze zatarcia złego wrażenia, spowodowanego tém pierwszém wystąpieniem, książę w pięknéni przemówieniu zażądał wkrótce od reprezentacyi kraju, aby w naszych szkołach średnich język niemiecki był lepiéj udzielany. Jednych ucieszyło to wystąpienie, drugich rozgniewało, a wszystkich zdziwiło. — Co to ma znaczyć?—pytali ci ostatni. — Czy książę, odkąd został tajnym radcą i otrzymał tytuł ekscelencyi, chce być bardziéj austryackim niż sam rząd? Zdaniem mojém w tém posądzeniu nie ma ani krzty słuszności, gdyż książę tylko to uczynił, co oddawna było niezbędném. Galicya przez długie lata walczyła z germanizmem, nie dziw więc, że gdy nareszcie powiodło jéj się pokonać tę hydrę, i odkąd w naszych szkołach został zaprowadzony język polski jako wykładowy, że od tego czasu język niemiecki poszedł w zaniedbanie. Patryotyzm żądał, by wystrzegano się mowy teutońskiéj, a myślano, mówiono i pisano tylko po polsku. Wkrótce jednak okazało się, że ostateczność, w jaką kraj popadł, nie jest dla niego korzystną. Wszak mimo autonomii nie przestaliśmy być poddanymi dynastyi niemieckiéj, armia jest dotąd niemiecka, poczty i telegrafy są niemieckie, wreszcie nawet na kolejach państwowych cała administracya jest niemiecką. Chociaż język niemiecki nie został *de jure* uznany za państwowy, jednakowoż jest takim *de facto*. Zresztą należy i to wziąć na uwagę, że z językiem polskim można znaleść kawałek chleba w jednéj tylko Galicyi, i że język Goethego jest silnym łącznikiem z zachodem i jego cywilizacyą. Ci, którzy to wszystko mieli na uwadze, nie od dziś przemawiali za potrzebą lepszego nauczania po niemiecku w szkołach średnich, a piszący te słowa umieścił w r. 1875, a więc dwanaście lat temu w „Tygodniu“ lwowskim artykuł, poświęcony téj ważnéj sprawie. I musiał już wtedy trafić w sedno złego, skoro nikt się nań za to nie oburzył, nikt go nie posądził o zapędy germanizacyjne, a minister Ziemiałkowski w uprzejmym liście przyznając słuszność jego wywodom, równocześnie donosił, że na tę kwestyą zwrócił swoję uwagę. Dziś, po kilkunastu leciech, z szumem i patosem poruszył ją w sejmie ks. Adam Sapieha, a kraj jednogłośnie mu przyklasnął. Dowód to chyba uderzający, żeśmy w ostatnich latach znacznie wytrzeźwieli, skoro dobrowolnie chcemy się lepiéj uczyć po niemiecku. Sejm postąpił z wnioskiem ks. Sapiehy bardzo roztropnie. Bojąc się otworzyć wrota germanizmowi, który tylko na to czyha, by znów

zalać naszą prowincyą, nie poczynił językowi niemieckiemu żadnych ustępstw, tylko polecił, by go lepiéj nauczano w zakresie teraźniejszego ustawodawstwa szkolnego. Znaczy to innemi słowy, że wszystkie przedmioty będą jak dotąd wykładane po polsku, a dla języka niemieckiego, jako jednego z przedmiotów, o tyle więcéj się zrobi, że go profesorowie będą dokładniéj uczyli. Prócz strony czysto praktycznéj, wniosek ks. Sapiehy ma jeszcze drugą, polityczną. Wiedeńscy centraliści, którym autonomia krajów koronnych jest solą w oku, już oddawna o to się starają, by rada państwa uznała język niemiecki za państwowy. Na razie nie można nawet przewidzieć, jak smutne takiéj uchwały byłyby następstwa. Niemcy otrzymawszy raz język państwowy, narzucali by znów innym narodowościom austryackim swoję wolę, i eksperymentom germanizacyjnym końca by nie było. Wniosek ks. Sapiehy wytrąca im broń z ręki. Bo czy potrzeba uchwalać, że język niemiecki jest państwowym, skoro Polacy chcą go się uczyć dobrowolnie? Takie téż wrażenie zrobiło w Wiedniu wystąpienie księcia, a cała prasa półurzędowa nie miała dlań dość pochwał.

Skorom dotknął spraw językowych, muszę więc jeszcze powiedzieć, cośmy na téj sesyi dali Rusinom i jaki los spotkał utrakwistyczny wniosek Małeckiego. Ustępstwa językowe, które w roku ubiegłym nasza reprezentacya Rusinom poczyniła, a o czém swego czasu na tém miejscu obszernie pisałem, nie otrzymały sankcyi cesarskiéj. Tak więc rzecz, o któréj tyle mówiono, i nad którą w sejmie tak długo się kłócono, poszła do kosza. Jest to los wszystkich naszych prac i projektów, gdy te nie mają szczęścia w Wiedniu się podobać. Jest to także odwrotna i nader smutna strona naszego konstytucyjno-autonomicznego medalu. Mimo szumnie zapowiedzianéj wolności, nam wolno tylko projektować, inni zaś decydują co dla nas, a właściwie dla nich, może być korzystne.... Zeszłoroczne uchwały nie zostały tedy wysłuchane, a jaki los spotka tegoroczne, dopiero przyszłość to okaże. Poseł rusiński, Romańczuk, zażądał od sejmu utworzenia w Przemyślu drugiego gimnazyum z wykładowym językiem rusińskim. Gdy komisarza rządowego o zdanie w téj materyi zapytano, tenże odpowiedział, że rząd nie ma nic przeciw temu. To oświadczenie wszystkich uderzyło, wiemy bowiem dobrze, że teraźniejszy minister oświaty, Gautsch, z obawy, by proletaryat inteligentny daléj się nie zwiększał, jest raczéj za zwijaniem gimnazyów, niż za zakładaniem nowych. Zkąd więc zebrało mu się na taką miłość dla Rusinów, że aż im chce nowe gimnazyum w Przemyślu utworzyć? Odpowiedzi nie trzeba daleko szukać. Wszak od wschodu burza nadciąga, a ponieważ nie można przewidzieć dokąd

ona Austryę zaprowadzi, możeby zatém nie źle było już teraz pozyskać Rusinów dla jéj polityki.... Oto proste i nie mniéj jasne rozwiązanie zagadki. Mimo tak stanowczego oświadczenia rządu, sejm nasz podzielił się w téj sprawie na trzy obozy. Jedni byli zdania, żeby dać całe gimnazyum; drudzy utrzymywali, że wystarczy, jeśli w istniejącém już w Przemyślu gimnazyum polskiém będą utworzone klasy równoległe (paralelne) z wykładowym językiem rusińskim; inni nareszcie, jak jowialny hr. Golejewski i jego przyjaciele podolscy wręcz oświadczyli, że Rusinom nie potrzeba nic dawać, gdyż oni i tak mają za wiele. Gdy sprawa stanęła na porządku dziennym w izbie, byliśmy świadkami niebywałego dotąd widowiska. Hr. Stanisław Tarnowski, jak wiadomo jeden z koryfeuszów partyi krakowskiéj, w imieniu komisyi, która się zastanawiała nad wnioskiem posła Romańczuka, był za utworzeniem osobnego gimnazyum; tymczasem drugi koryfeusz tegoż stronnictwa, prof. M. Bobrzyński zażądał jedynie rusińskich klas paralelnych. Podczas głosowania zwyciężył Bobrzyński acz bardzo słabą większością. Po spełnionym fakcie mimowoli każdy pytał: Co się stało? Stańczycy, owi *par excellence* karni i zawsze zgodnie idący szermierze parlamentarni, w sprawie rusińskiéj, zasadniczéj i ważnéj jak żadna inna, rozbili się zupełnie, i gdy jeden ciągnął do sasa, drugi hejże do lasa! Jest tu coś, czego nasz umysł pojąć nie może, a że tajemnice wielkiéj polityki nie dla każdego są dostępne, przeto my, prostaczkowie, przypuszczamy tylko jedno, mianowicie, że partya krakowska przez wzgląd może na swoich sojuszników, podolaków, którzy z dawien dawna Ruś negują, nie chciała właściwie Rusinom nic dać, a że jawna odmowa byłaby niepolityczną, przeto odegrała komedyą, by się zdawało, że nie była im przeciwną.... Komedyą zaś dla tego to nazywam, ponieważ uchwalenie paralelek, przeciw którym komisarz rządowy oświadczył się ze względów pedagogicznych, nie pociągnie za sobą następstw praktycznych. Nie trudno przewidziéć, że cesarz odnośnéj uchwale nie udzieli sankcyi. A gdy jéj odmówi, Rusini odejdą z próżnemi rękami, i wtedy ukryty cel głębokich polityków zostanie w zupełności osiągnięty. Lecz czy w rzeczy saméj była to głęboka polityka? Wszyscy na to się godzą, że spór polsko-ruski szkodzi nam w wysokim stopniu, a więc jako rzecz zła, powinien ustać. Godzimy się i na to, że słusznym żądaniom reprezentantów narodowości ruskiéj powinno się zadość czynić, tymczasem ilekroć nadarzy się po temu sposobność, nie możemy dobrych zamiarów przeprowadzić, i zapowiadana nasza miłość dla Rusinów kończy się zwykle kilkoma pustemi frazesami, po których tylko niesmak zostaje. Takie postępowanie jeszcze bardziéj jątrzy Rusinów i jest wodą na

młyn jedynie naszych nieprzyjaciół, którzy z dawien dawna hołdują zasadzie *divide et impera.* Że rząd znów skorzysta z naszego niepolitycznego postępowania, to prawie wątpliwości nie ulega. Aby Rusinów pozyskać, gotów sam w Przemyślu gimnazyum ruskie założyć, co gdy nastąpi, my z naszą miłością platoniczną, osiądziem na koszu. Oto dokąd wiedzie polityka krótkowidząca. W smutnéj téj sprawie najbardziéj jednak to mnie zastanawia, że stronnictwo krakowskie, które dotąd na sprawę ruską zapatrywało się trzeźwiéj niż każde inne, a którego dawny przewódca, ś. p. Adam Potocki, był nawet jawnym zwolennikiem Rusinów, że to stronnictwo tak niefortunną odegrało tu rolę. Skoro partya miała być koniecznie przegraną, należało przynajmniéj wetknąć karty komu innemu w ręce, np. pp. Golejewskiemu i Torosiewiczowi, ale nigdy nie powinni ich byli trzymać pp. Tarnowski z Bobrzyńskim, ponieważ gra w ten sposób prowadzona nie świadczy korzystnie o ich zmyśle politycznym, o którym dotąd mieliśmy wcale dobre wyobrażenie.

Utrakwizm, proponowany w roku ubiegłym przez dra Małeckiego należy uważać za rzecz pogrzebioną. Wszystkie instytucye i korporacye, które wydział krajowy zapytywał o opinię w tym przedmiocie, odpowiedziały nieprzychylnie. Opinia rządu jest także przeciwna temu projektowi. Rząd zwraca najwpierw na to uwagę, że utrakwistyczne urządzenie szkół średnich, sprzeciwiałoby się art. 19 ustawy zasadniczéj państwa o ogólnych prawach obywateli. Artykuł ten wyklucza przymus uczenia się drugiego języka krajowego, a bez przymusu projekt nie miałby racyi bytu. Wprawdzie między pierwotnym wnioskiem Małeckiego, który utrakwizm całkowity ujął w formę ustawy, a uchwałą sejmową, zalecającą wydziałowi krajowemu niejako akademickie zbadanie kwestyi tylko co do niektórych gimnazyów wschodnio-galicyjskich, zachodzi różnica wielka, ale mimo to myśl sama tak w jednym jak w drugim wypadku sprzeciwia się artykułowi 19 ustawy zasadniczéj, i z tego powodu szkopuł prawny pozostaje w całéj swojéj mocy. W dalszym ciągu rząd opiera się na tych objekcyach, które ze stanowiska dydaktyczno-pedagogicznego podniosła krajowa rada szkolna, idąc w téj mierze za elaboratem i wnioskami swego członka, Stan. hr. Tarnowskiego. Na czele opinii rady szkolnéj podniesiona jest powszechnie uznana zasada, że udzielanie nauki w tym języku, w którym uczeń myśli i mówi z natury, a więc w języku ojczystym, stanowi jeden z głównych wymogów skutecznego nauczania i wychowania. Jeżeliby uczeń musiał tracić czas i trud na łamaniu się z formami i na walce z trudnościami około przyswojenia sobie biegłości w obcym języku, to niewątpliwie stracić by na tém musiał jego postęp w nauce, a więc i jego wiedza.

Rada szkolna krajowa nie zaprzecza bynajmniéj pokrewieństwa, istniejącego między językiem polskim i ruskim, ale to pokrewieństwo może tylko łagodzić trudności, połączone z przyswojeniem sobie innego obcego języka, nie uchyla zaś zupełnie tych trudności, więc też nie uchyla obawy jaka ztąd wypływa co do szkodliwych następstw pod względem postępu w nauce. Żeby uczeń nie doznał ujmy w postępie, trzebaby chyba tworzyć klasy przygotowawcze, skutkiem czego nauka w gimnazyach przedłużyłaby się o jeden rok. Rada szkolna podnosi daléj, że wniosek Małeckiego nie wskazuje, które przedmioty miały by być wykładane w ruskim, a które w polskim języku. Trudno rzecz tę pozostawić decyzyi przypadku, tj. każdoczesnemu składowi ciała nauczycielskiego w pewném gimnazyum. Trzebaby więc przyjąć pewien stały podział przedmiotów według istoty nauki. W takim razie byłyby dwie główne grupy: 1) *humaniora*, tj. języki starożytne, historya i religia; 2) *realia*, tj. matematyka, fizyka i historya naturalna. Pierwsza grupa jednak, kształcąca i wyrabiająca najdzielniéj nie same tylko pojęcia, lecz uczucia i zasady, wymaga przedewszystkiém wykładu w języku ojczystym. Filologia wymaga nadto z natury rzeczy języka ile możności wyrobionego i giętkiego. To samo można powiedzieć o drugiéj grupie przedmiotów, których nie można się nauczyć bez łatwego przyswojenia sobie bogatéj terminologii, a nadto, jak matematyka, mają sposobić młody umysł do logicznego i wyostrzonego myślenia, w czém znowu ojczysty język ważną odgrywa rolę. Rada szkolna wyraża powątpiewanie, czy język ruski, który nie przebył jeszcze okresu kształcenia się i wyrabiania, jest tak zasobnym, żeby uczeń, zmuszony do pobierania nauki w tym języku, nie miał doznawać uszczerbku pod powyższemi względami. Rada szkolna podnosi także naturalne i faktami stwierdzone oddziaływanie języka wykładowego na język literacki i towarzyski. Arbitralne i sztuczne zmieszanie języków nie mogłoby wypaść korzystnie dla ich czystości. W końcu nie pomija rada szkolna i tego względu pedagogicznego, że przymus językowy, jak wogóle każdy przymus, nie usuwałby uprzedzeń i niechęci narodowych, lecz prędzej by je zaostrzał.

Podałem dość obszerne streszczenie memoryału rady szkolnéj ponieważ utrakwizm, jako rzecz na wskróś oryginalna, i mogąca na pozór łatwiéj niż cokolwiek innego zażegnać spór polsko-ruski, tak wielkie w roku ubiegłym zrobił wrażenie, iż zdawało się, że po za nim nie ma zbawienia. Słuszna tedy jest rzecz, by jego wielbiciele, dowiedzieli się teraz, co przeciw niemu przemawia, i czemu z dziedziny pięknych marzeń nie może on, niestety, zstąpić na pole praktycznéj rzeczywistości.

Budżet nasz krajowy nie przedstawia się bardzo ponętnie. Jak przeciętny szlachcic galicyjski ma nierównie większe wydatki niż dochody, tak samo dzieje się z naszą autonomią. Dochody wydziału kr. płynące z rozmaitych źródeł, wynoszą mało więcéj niż pół miliona, wydatki zaś na reprezentacyą i na rozmaite cele publiczne wraz z odsetkami i amortyzacyą zaciągniętych długów, przekraczają kwotę półczwarta miliona guldenów; roczny nasz niedobór wynosi zatém wzwyż trzech milionów. Aby go pokryć sejm ustanawia dodatki do podatków, które po koniec roku 1886 wynosiły 30%. Jeźli to przetłómaczę na język całkiem jasny, wtedy ta rzecz tak się przedstawi: kto rządowi płaci np. 100 guldenów podatków, ten na cele autonomii uiszcza jeszcze dodatkowo 30 guldenów. Jest to ciężar znaczny, zwłaszcza gdy się zważy, jak przykre są u nas stosunki materyalne. Sejm, aby ludności nie uciskać, chwytał się pokilkakroć innego środka i pożyczki zaciągał, lecz ta droga okazała się najgorszą. Wydatki przez to bynajmniéj się nie zmniejszały, dług był długiem, a prócz tego trzeba jeszcze było odsetki od niego uiszczać. Dziś suma długów krajowych wynosi 6,560,454 guldeny. Po namyśle postanowiono wziąć raz na zawsze rozbrat z pożyczkami, a trzymać się tylko dodatków do podatków. Lecz i ten sposób nie może złemu zaradzić. Wydatki naszéj prowincyi, jako kraju cywilizowanego, który chce się rozwijać prawidłowo i iść z postępem, zwiększają się z każdym rokiem. Lecz z drugiéj strony, czy jest rzeczą możliwą rok rocznie podwyższać dodatki do podatków? Ponieważ tego rodzaju gospodarstwo musiałoby z czasem doprowadzić do ogólnego bankructwa, przeto niektórzy posłowie zaczęli przemyśliwać nad wyszukaniem nowych źródeł dochodów krajowych. W ten sposób powstał projekt zaprowadzenia opłat konsumcyjnych od gorących napojów. Po dokładném obliczeniu okazało się, że dochód ztąd płynący wynosiłby rocznie około 500,000 guldenów. Gdyby wydział kraj. otrzymał tę kwotę, w takim razie w budżecie jego zapanowałaby równowaga, i przez długi szereg lat nie potrzeba by więcéj pobierać niż 30% w dodatkach do podatków. Zdawałoby się na oko, że uczciwéj téj operacyi, skoro ona wszelkie trudności usuwa, nie powinnoby nic stać na przeszkodzie, tymczasem tak nie jest. Jak w każdéj rzeczy, tak i w téj, rząd ma głos decydujący. I on też oświadczył poufnie, przez usta namiestnika, członkom komisyi budżetowéj, że w zasadzie nie sprzeciwia się zaprowadzeniu krajowych opłat konsumcyjnych od gorących napojów, wszelako nie w téj wysokości, w jakiéj je komisya proponuje, a prócz tego wynurza on życzenie, aby w razie ich uchwalenia, nastąpiła redukcya dodatków do podatków. Znaczy to innemi słowy, że rząd na nic nie pozwala. Bo jeźli np.

opłaty konsumcyjne mają przynieść tylko ćwierć miliona, a równocześnie dodatki do podatków zostaną zniżone także o ćwierć miliona, natenczas fundusz krajowy właściwie ani grosza więcéj nie dostanie, a na sejm spadnie tylko *odium*, że zaprowadził nowy rodzaj opłat. Być może, że po długich korowodach a usilnych staraniach, komisyi powiedzie się skłonić rząd do ustępstw, w każdym jednak razie nie będą one takie, jakich byśmy potrzebowali, aby w naszym budżecie autonomicznym równowagę zaprowadzić. Ponieważ sprawa opłat konsumcyjnych nie mogła być załatwiona przez sejm tegoroczny, przeto na pokrycie dalszego niedoboru musiano znów o 1% podwyższyć dodatek do podatków, skutkiem czego w r. 1887, będziemy płacili na potrzeby kraju nie jak dotąd 30, ale 31 centów od każdego guldena podatków bezpośrednich.

III.

Dużo mówiono w roku ubiegłym o imponującéj kwocie 115 milionów guldenów, o którą już od dłuższego czasu toczy się spór między Galicyą a rządem centralnym. Ponieważ nie jednemu mogłoby się wydawać, że musimy być bardzo bogaci, skoro spieramy się o tak wielkie sumy, przeto ciekawą tę sprawę rozjaśnię na tém miejscu.

Dnia 17 kwietnia r. 1848 cesarz austryacki wydał patent, znoszący raz na zawsze pańszczyznę w Galicyi. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że wielkie to dobrodziejstwo spłynęło na chłopa z inicyatywy samego rządu. Bynajmniéj! Obywatelstwo galicyjskie nosiło się oddawna z tą myślą, czego dowody znajdują się w uchwałach sejmu postulacyjnego i w historyi z przed r. 1848, która mówi o licznych deputacyach wysyłanych z prośbą do Wiednia, aby właścicielom ziemskim wolno było w Galicyi pańszczyznę darować. Rząd jednak był wtedy temu przeciwny, gdyż jemu szło o to, by chłop *zawdzięczał wszystko Austryi*. Faktem też jest historycznie stwierdzonym, że gdziekolwiek obywatel sam pańszczyznę darował, starostowie wieśniakom surowo zakazywali darowiznę przyjmować, szlachciców zaś za czyn nielegalny pociągano nawet do odpowiedzialności. W patencie cesarskim, znoszącym pańszczyznę, znajdowało się uroczyste zapewnienie, że stanie się to *kosztem skarbu*. Ponieważ właścicieli ziemskich, uprawnionych do żądania pańszczyzny, trzeba było wynagrodzić, przeto zaciągnięto pożyczki, które należało oprocentować i umarzać. Na ten cel potrzeba rocznie blisko 6 milionów złotych reń. Zaraz w pierwszych latach okazało się, że kraj nie jest w możności opłacania całéj téj sumy i dla tego po uzpełnienie po-

trzebnéj kwoty musiano udawać się do skarbu państwa. Gdy zaś do r. 1857, tenże skarb wydał na to uzupełnienie blisko 10 milionów, więc 13-go października r. 1857 wyszło rozporządzenie cesarskie, aby odtąd skarb państwa dopłacał corocznie 2,625,000 guld. wszelako z zastrzeżeniem zwrotu téj sumy z funduszów galicyjskich. Otóż tytułem tych zaliczeń, dał skarb państwa galicyjskiemu funduszowi indemnizacyjnemu do końca r. 1880 około 70 milionów, gdy zaś amortyzacya kończy się dopiero w połowie r. 1898, przeto zapłacił by do tego czasu jeszcze blisko 46 milionów, skutkiem czego cały dług Galicyi wyniósłby przeszło 115 milionów guldenów. Sejm nasz przeczy temu, iżby kraj nasz do zwrotu téj kwoty był obowiązany, a nawet ze swéj strony zastrzega sobie pretensyą, aby skarb państwa zwrócił Galicyi wszelkie sumy, jakie kraj włożył na cele oprocentowania i umorzenia kapitałów indemnizacyjnych. Stanowisko naszéj reprezentacyi jest zupełnie prawne. W patencie cesarskim, znoszącym pańszczyznę, cztery razy jest z naciskiem powtórzone, że indemnizacyą będzie płacił *skarb*, nie zaś *kraj*. I zgodnie z tą zapowiedzią, aby chłopa jeszcze bardziéj dla swéj polityki pozyskać, uwolniono go zupełnie *od opłat na fundusz indemnizacyjny*. Stało się to w jednéj tylko Galicyi. Na tém uwolnieniu chłopa od wszelkiej daniny kraj ekonomicznie zamiast zyskać, stracił. Darowizna ta, zwłaszcza że chłopu pozostawiono równocześnie służebności na gruntach dworskich, zdemoralizowała włościan do tego stopnia, że zamiast pracować jeno wyglądali, rychłoli rząd daruje im także te grunta, na których używali służebności. Dwór tymczasem nie tylko stracił pańszczyznę, a na wynagrodzenie za nią długie lata musiał czekać, lecz gdy chłopi żadnych nie mieli ciężarów, nie mógł także znaleźć robotnika, skutkiem czego gospodarstwa coraz bardziéj upadały. Na te fatalne stosunki Waleryan Kalinka zwracał uwagę już w r. 1853 w znakomitém swojém dziele: „Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiém.“ Gdy po niejakim czasie rząd przekonał się, że z samych obywateli i miast nie można ściągnąć sumy potrzebnéj na fundusz indemnizacyjny, minister Bach zwołał do Wiednia komisyą, która miała obmyśléć sposób uregulowania téj sprawy. Ówczesny przewódzca Rusinów, biskup Litwinowicz, oświadczył w tejże komisyi „że obarczenie chłopów jakimkolwiek podatkiem do zebrania funduszu indemnizacyjnego, przy ich ubóstwie, *i po otrzymaném przyrzeczeniu NPana, że wynagrodzenie dziedziców nastąpi ze skarbu państwa*, doprowadziłoby ich do krwawéj rewolucyi, któréj cała armia austryacka nie zdołałaby poskromić.“ Po tém oświadczeniu nie żądano i nadal żadnych opłat od chłopów. Z tego, com dotąd przytoczył, jasno wypływa, że skoro w patencie cesarskim ogłoszo-

no, iż zniesienie wszelkiéj robocizny dzieje się kosztem skarbu państwa, skarb ten ma obowiązek ponieść koszta i zwrócić Galicyi to, co ona dotąd na fundusz indemnizacyjny wpłaciła. Rząd jednak jest innego zdania i domaga się od nas nawet wrzekomych swoich zaliczek. I o to spór się toczy. Pomimo że słuszność jest po naszéj stronie, sejm galicyjski okazał się skłonnym do zgody i zaproponował skarbowi państwa układ, mocą którego swoje prestacye roczne chce nieco powiększyć, a natomiast żąda, by skarb, który ze swéj strony cały ciężar indemnizacyi chce złożyć na Galicyą, zrzekł się pretensyi swoich do zwrotu owych kwot, które zaliczkami nazywa, i nadal, aż do amortyzacyi, żeby nieco mniejszą niż dotychczas kwotę opłacał. W ważnéj téj sprawie, sejm tegoroczny powziął następujące uchwały:

I. Sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi, wraz z w. ks. Krakowskiém oświadcza, że tak teraz, jak zawsze dotychczas, nie uznaje żadnego obowiązku kraju do zwracania skarbowi państwa dopłat, zaliczek lub zasiłków dawanych funduszom indemnizacyjnym galicyjskim ze skarbu państwa; że, zdaniem sejmu, skarb państwa, dając te zaliczki lub dopłaty, wypełniał tylko swój obowiązek Wogóle sejm oświadcza, że nie schodzi bynajmniéj ze stanowiska prawnego, zajmowanego w sprawie indemnizacyjnéj, przez kraj i jego reprezentacyą od początku téj sprawy i stanowisko to na wszelką ewentualność niniejszém oświadczeniem wyraźnie sobie zastrzega.

II. Sejm pragnąc usunąć spór o stosunek państwa do funduszów indemnizacyjnych galicyjskich, i tę oddawna toczącą się sprawę załatwić ostatecznie nawet ze znaczną ofiarą. upoważnił uchwałą swoją z dnia 20 października 1882 r. wydział krajowy do zawarcia ugody z administracyą państwa, pod warunkami wówczas uchwalonemi. Teraz zaś sejm wzywa rząd, aby dopełniając zobowiązania, które zaciągnął przez początkowanie téj ugody przedłożeniem swojem z d. 2 września 1882 r., przeprowadził na drodze konstytucyjnéj ugodę, regulującą stosunek państwa do funduszów indemnizacyjnych wschodniéj i zachodniéj Galicyi, a to w myśl swego pr[illegible]łożenia z d. 9 września i uchwały sejmowéj z 20 października 1882 roku.

Teraz punkt ciężkości sprawy indemnizacyjnéj zostanie przeniesiony do rady państwa. Oto jak wygląda spór o 115 milionów. W każdym razie nie ma nam czego zazdrościć.

Wskutek otwarcia przed czterema laty przez papieża Leona XIII archiwów watykańskich dla badań historycznych, wszystkie prawie narody ustanowiły w Rzymie instytucye, w celu prowadzenia systematycznych i umiejętnych poszukiwań w archiwum watykańskiém za dokumentami i wiadomościami, mogącemi rozjaśnić ich

dzieje. Za ich przykładem poszedł u nas profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stanisław Smolka, gdy z początkiem roku zeszłego powziął myśl urządzenia wyprawy naukowéj do Rzymu, w celu wzbogacenia naszych dziejów ojczystych. Zebrawszy częścią od osób prywatnych, a częścią od Akademii umiejętności kilka tysięcy guldenów, wyjechał z początkiem października roku zeszłego do Rzymu, a wraz z nim udało się tam także pięciu byłych uczniów uniwersytetu Jagiell., pracujących na polu nauk historycznych. Sejm uznawszy pożyteczność téj wyprawy, powziął na żądanie jéj kierownika następujące uchwały: I. sejm wyznacza przez lat 3 po 1,500 guldenów rocznie na prace naukowe w archiwum watykańskiém; II. zasiłek na ten cel 1500 guld. na r. 1887 wypłaci wydział kr. do rąk profesora dra S. Smolki, na utrzymanie do końca roku bieżącego wyprawy naukowéj, pracującéj w archiwum watykańskiém; III. co do wypłaty w następnych dwóch latach zasiłku po 1.500 guld. rocznie, porozumiewać się będzie wydział kr. z polską Akademią umiejętności w Krakowie, a względnie z jéj komisyą historyczną. IV. Wzywa się rząd, ażeby udzielił subwencyi odpowiedniéj, organizującemu się oddziałowi polskiemu przy Instytucie historycznym austryackim w archiwum watykańskiém.

Ważna ta sprawa została tedy załatwiona przez sejm po myśli prof. Smolki i całego kraju. Teraz z upragnieniem będziemy wyglądali owoców wyprawy. Ciekawiśmy również dowiedzieć się, czy rząd uczyni zadość wezwaniu naszéj reprezentacyi i da stałą subwencyą polskim historykom, mnie się zdaje, że będzie to głos wołającego na puszczy, ponieważ pan minister gotów odpowiedzieć, że Austrya, jako państwo, ma obowiązek wspierać tylko tych uczonych, którzy badają historyą austryacką. Zresztą czekajmy. Może tym razem wypadnie lepiéj niż przypuszczamy.

Skoro mowa o rzeczach odnoszących się do nauki, nie zaszkodzi, jeżli tu nadmienię, że między funduszami, któremi opiekuje się wydział kr. znajduje się zapis Fr. Kochmana dla literatów polskich, opiewający na sumę 24,305 guldenów. Odsetki od téj kwoty mają być obracane na nagrody dla dwóch dzieł, uznanych przez komisyą za najlepsze. Pierwsza nagroda wynosi 1,000 guld., druga 500. O nagrodę może ubiegać się każdy utwór drukiem ogłoszony w ciągu ostatnich lat 10-ciu, bez względu na to, jakiéj jest treści. Wykluczone są jednak dzieła teologiczne i prawnicze. Fundacya Kochmana weszła w życie niedawno, pierwsze zaś nagrody zostaną przyznane i wypłacone dopiero w r. 1888. Na czele komisyi, która będzie wartość dzieł oceniała, stoi znany uczony, dr. Antoni Małecki.

IV.

Dr. Tadeusz Rutowski, urzędnik wydziału krajowego w biurze statystycznêm i prezes lwowskiego Koła literackiego, wydał książkę niezmiernie cenną, p. t. „Rocznik statystyki Galicyi za r. 1886“ (zeszyt I). Z ciekawéj téj publikacyi wyjmę rozmaite daty, rzucające jasne światło na nasze stosunki.

Obszar Galicyi wynosi 78,497 kilometrów kwadr. Prowincya nasza stanowi blisko trzecią część, bo 26 procent całego obszaru Austryi, nie licząc w to Węgier. Po koniec roku 1885 w Galicyi było 6,253,311 mieszkańców, t. j. 27% ludności Przedlitawii. Na jeden kilometr przypadało 76 mieszkańców, na jedną gminę 918, a na jeden obszar dworski 50 mieszkańców. Ostatnie obliczenie ludności odbywało się w Austryi 31-go grudnia 1880 r. i wtedy miała Galicya 5,958,907 mieszkańców. W téj liczbie było: katolików rzymskiego obrządku 2,714,977, czyli 45,5 procent; unitów wschodniego obrządku 2,510,408, czyli 42 proc.; żydów 686,596, czyli 11.5 proc.; ewangelików 40,190, czyli 0,7 proc. i t. d.

Według języka towarzyskiego, było używających w potocznéj mowie języka polskiego 3,058,400, czyli 51 proc.; rusińskiego 2,549,707, czyli 43 proc.; niemieckiego 324,336, czyli 5,5 proc. Do niemców zapisało się 40,000 prawdziwych germanów, osiadłych w kilkudziesięciu koloniach i 280,000 żydów. Reszta żydów oświadczyła, że w mowie potocznéj używa języka polskiego.

Najwyższy stan oświaty wykazuje miasto Kraków, gdzie liczba umiejących czytać i pisać dochodzi do 58 proc. We Lwowie jest już tylko 53 proc.. Zresztą w kraju piśmiennych mamy w przecięciu tylko 25 proc., w niektórych zaś górskich powiatach spada ona nawet poniżéj 5 proc. ogólnéj cyfry ludności.

Pod względem organizacyi wyznań, przedstawiał się stan rzeczy z końcem roku 1880 jak następuje.

Cała prowincya jest podzielona na 4 dyecezye rzymsko-katolickie, mianowicie: lwowską, krakowską, przemyślską i tarnowską, z których największa co do obszaru jest lwowska, obejmuje bowiem 51,728 kilometrów kwadr. Pod względem liczby wiernych, najludniejszą jest przemyślska, licząca 885,062 dusz, najmniejszą jest zaś dyecezya krakowska: 4131 kil. kw. i 487,777 dusz. Łacińskich dekanatów jest w całym kraju 106 z 803 parafiami i 1722 dusz-pasterzami. Jeden duchowny wypada na 1625 wiernych.

Grecko katolickich dyecezyi jest 3: lwowska, przemyślska i stanisławowska, z 88 dekanatami, 1737 parafiami i 2121 dusz-pasterzami. Jeden duchowny przypada na 1266 wiernych.

Ormian (katolików) jest w Galicyi 2724. Mają oni własnego arcybiskupa we Lwowie, a w trzech dekanatach i 9 parafiach, znajduje się razem 14 dusz-pasterzy. Jeden duchowny przypada na 194 wiernych, czyli mniéj więcéj na 40 rodzin, licząc 5 głów na jednę rodzinę.

Po rozbiorze Polski, w r. 1782 było w Galicyi klasztorów 219. Cesarz Józef II zniósł 15 zakonów, skutkiem czego liczba klasztorów w ciągu dwóch lat zeszła do 104. W r. 1880 było znów 162 klasztorów, w nich 2069 zakonników i zakonnic. W pięćdziesięcioleciu od 1830—1880 r. zwiększyła się liczba zakonników o 105%, zakonnic o 693%, klasztorów zaś przybyło 87.

Uniwersytetów mamy dwa: Jagieloński w Krakowie, z czterema fakultetami: teologicznym, filozoficznym, prawniczym i medycznym, i we Lwowie z trzema wydziałami, bez lekarskiego. Uniwersytet Jagielloński miał w roku szkolnym 1885/6 109 sił nauczycielskich, w téj liczbie 57 profosorów zwyczajnych i nadzwyczajnych, a w półroczu zimowém 1066 słuchaczów. Skarb państwa wydaje na jego utrzymanie 367,670 guldenów. Uniwersytet lwowski miał 61 sił nauczycielskich (w tém 35 profesorów) i 1030 słuchaczów, a kosztował 177,200 guld. W Krakowie jest najliczniejszy wydział medyczny, na który uczęszcza przeszło 400 słuchaczów, we Lwowie prawniczy, który liczy stale od 500—600 słuchaczów. Szkoła politechniczna we Lwowie z czterema wydziałami: inżynieryi, budownictwa, mechaniki i technologii chemicznéj, posiadała w ubiegłym roku szkolnym 42 siły nauczycielskie, między niemi tylko 15 z rangą profesorów, a słuchaczów ledwie 200. Budżet zakładu wynosił 96,250 guld. Najwięcéj słuchaczów poświęca się naukom inżynierskim, najmniéj mechanice, gdyż w kraju nie mającym przemysłu, najzdolniejszy nawet mechanik nie ma się gdzie pomieścić. Na innych uniwersytetach austryackich przebywa rocznie blisko 600 słuchaczów z Galicyi, w akademiach technicznych 180, w Akademii sztuk pięknych w Wiedniu 13, w Akademii handlowéj 23. Stosunek narodowości w trzech naszych szkołach akademickich przedstawiał się w r. 1883/4 jak następuje (w procentach):

	Polacy	Rusini	Niemcy
Uniwersytet w Krakowie . . .	97,3 proc. —	2,0 proc. —	0,5 proc.
Uniwersytet we Lwowie. . . .	64,6 „ —	35, „ —	0,1 „
Szkoła politechniczna we Lwowie	95,9 „ —	2,9 „ —	0,6 „

Jak się z tego zestawienia okazuje, ruskiéj młodzieży w wyższych zakładach naukowych jest bardzo mało. Najwięcéj jeszcze uczęszcza jéj we Lwowie, ponieważ w tém mieście znajduje się wydział teologiczny.

Szkół średnich mamy 33, w téj liczbie 27 gimnazyów i 6 szkół realnych. Jedno gimnazyum przypada na 3000 kil. kwadratow. i na 226,000 mieszkańców. Jedna szkoła realna na milion mieszkańców. Do gimnazyów uczęszcza 12,000 uczniów, a do wszystkich szkół realnych niespełna 1000 uczniów. Lat temu kilkanaście rząd, wychodząc z najfałszywszéj w świecie zasady, że szkoły realne przemysł stwarzają, założył ich w Galicyi stosunkowo bardzo wiele, lecz w ostatnich czasach musiał je na gimnazya pozamieniać, ponieważ nie szkoła stwarza przemysł, lecz przemysł szkołę. Według wyznań było w szkołach średnich: katolików 7180, unitów 1939, żydów 2142. Szkoły specyalne posiadamy następujące:

	Liczba zakładów		Liczba naucz.		Frekwencya
Seminaryów nauczycielskich	9	—	149	—	1155
Szkół gospodarczych.	13	—	86	—	317
Akademia sztuk pięknych w Krakowie	1	—	12	—	105
Szkół przemysłowych.	47	—	236	—	4666
Szkół muzycznych.	7	—	31	—	662
Szkoła weterynaryi i kucia koni . . .	1	—	9	—	65
Szkół akuszeryi.	2	—	2	—	64
Innych szkół specyalnych	41	—	482	—	2748

Szkół ludowych mieliśmy w Galicyi w r. 1884 razem 3,387, które służyły 3855 gminom, z 4,448,716 mieszkańców; do nich uczęszcza 414,000 dzieci. Dotąd nie posiada szkół 2376 gmin z 1,349,692 mieszkańców. Utrzymanie szkół ludowych kosztuje rocznie 1,696,998 guldenów. Szkół ludowych z polskim językiem wykładowym jest 1212=45%, z ruskim 1376=51%, z niemieckim 86=3%. Szkół talmudycznych, tak zwanych chajderów, o ile są znane urzędom, jest przeszło 1000.

Dziennikarstwo nasze, w oświetleniu statystyki p. Rutowskiego, tak się przedstawia:

		Ilość	Przyrost
Pism polskich:	1875 . . .	52	96%
	1884 . . .	102	
Pism ruskich:	1875 . . .	8	260%
	1884 . . .	21	
Pism niemieckich:	1875 . . .	2	—
	1884 . . .	2	
Pism hebrajskich:	1875 . . .	6	100%
	1884 . . .	12	

Podczas gdy liczba pism polskich w ostatniém dziesięcioleciu wzrosła w dwójnasób, ruskich w tym samym czasie prawie się potroiła. W każdym razie świadczy to o wielkiéj ruchliwości Rusinów

i jest dowodem, że poziom inteligencyi ich narodowości z każdym rokiem się podnosi. W r. 1875 rozesłano pism krajowych peryodycznych 1,164,589 egzemplarzy, a w r. 1884 5,922,000 egz.

Według zajęcia licząc, wynosi ludność rolnicza 4,419,636, czyli 74%; drobnych przemysłowców i rękodzielników 456,502 = 7,7%; kupców 216,864 = 3,6%; urzędników tak państwowych jak prywatnych 192,814 = 3%; właścicieli domów i kapitalistów utrzymujących się z renty 99,302 = 1,7%; wyrobników ze zmiennem zajęciem 495,954, czyli 8,32%.

Z ogólnego obszaru 7,849,699 hektarów gruntów przypada na własność państwa 3%, na majoraty 0,37%, na wielką własność ziemską 37,45%, na wspólną własność gmin 4,76%, na drobną własność ziemską 54,36%. Na podstawie szacunku katastralnego, czysta wartość gruntów wynosi w Galicyi 490,402,813 guldenów,
wartość budynków. . . . . 315,234,805 „
Cała wartość włas. nieruch. 805,637,618 guldenów.

Od roku 1867, odkąd włościanom przyznano wolność dzielenia gruntów, do r. 1883 zwiększyła się liczba samoistnych posiadaczy gruntów z 584,675 do 1,569,844, i gdy dawniéj na jednę posiadłość przypadało 13,4 hektarów, teraz liczy się na jednę rodzinę włościańską 3,9 hektara. Przy téj sposobności muszę nadmienić, że ponieważ rozdrobnienie małéj posiadłości ziemskiéj postępuje z nadzwyczajną szybkością, co już w niedalekiéj przyszłości może wytworzyć stosunki anormalne, przeto konserwatyści krakowscy noszą się z zamiarem postawienia w sejmie wniosku, ograniczającego wolność dzielenia chłopskich gruntów. Ważna ta sprawa nie pojawiła się dla braku czasu na sesyi tegoroczném, lecz jest nadzieja, że w następnéj znajdzie się na porządku dziennym.

Na zakończenie tych cyfr wielce pouczających, przytoczę jeszcze zmiany, zaszłe w stanie posiadłości tabularnéj, czyli tak zwanéj większéj. Zmian takich między r. 1868 a 1884 było razem 4561. Największa przeciętna cyfra zmian przypada na lata 1880—1884, mianowicie po 317 rocznie. Najwięcéj majątków sprzedano w r. 1875, bo 398, jednakże obszar ziemi sprzedanéj był największy w r. 1873, a suma zań osiągnięta przenosiła 29 milionów guldenów. Zdaje się, że wielkie to przesilenie spowodował ówczesny krach wiedeński. Dóbr państwowych (królewszczyzn) sprzedano od r. 1800 do 1870 ogółem 485,142 hektarów, za sumę 12,501,388 guldenów, czyli przeciętnie po 25 guld. 76 centów za hektar. Pieniądze ztąd nabyte przelano do skarbu państwa, Galicyę zaś zubożono o kilkadziesiąt milionów, gdyż istotna wartość sprzedanych majątków była bez porównania większą.

Józef Rogosz.



DROBNA UMIEJĘTNOŚĆ

W NIEMCZECH, FRANCYI I ANGLII.

I.

Nazywam drobną umiejętnością te nieambitne prace akademickie z tematem zazwyczaj bardzo szczupłym i specyalnym, z wartością rzadko tylko trwałą a najczęściéj efemeryczną, noszące w Niemczech nazwę dysertacyi doktorskich, we Francyi tez, w Anglii zaś prac konkursowych, i służące autorowi do pozyskania bądź doktoratu, bądź wcgóle wyższego stopnia w hierarchii akademickiéj. Zasadnicza różnica ich układu i treści tłómaczy się warunkami, w jakich powstały, celami, do jakich są przeznaczone. Niemiecka rozprawa doktorska, o objętości ograniczonéj przepisami i przenoszącéj rzadko 6—8 arkuszy druku, jest wykwitem umysłu niezbyt jeszcze dojrzałego, surowym systemem niemieckiéj umiejętności ścieśnionego w porywach szerszego frazesu i swobodniejszego stylu, pohamowanego przeciw polotom ogarniającym rozleglejsze przestrzenie wiedzy; maszynową tkaniną zestawionych w danéj kwestyi sądów i hipotez—jeżeli jest rozbiorem krytycznym; szarpią wyskubaną ze szmatki ile można najmniejszéj, aby najcieńsze nitki jeszcze dały się rozkręcić i w ściśle zaznaczonych granicach w sumiennym ułożyć porządku, —jeżeli jest roztrząśnieniem tematu oryginalném. Ponieważ rozpraw takich piszą się w Niemczech corocznie seciny, bo—pominąwszy fakultety prawny i medyczny, gdzie doktorski egzamin jest obowiązkowy, student filozofii uważa tradycyjnie za punkt honoru przedstawić ojcu doktorowi i dziadowi doktorowi po wyjściu z uniwersytetu tenże sam banalny tytuł; ponieważ nie ma naukowego pola, którego by umiejętność germańska wielokrotnie nie przekopała;

ponieważ skutkiem tego, badania dzisiejsze muszą się ograniczyć do przetrząśnienia grządek już przetrząśnionych i o tyle drobnych o ile reszta ma wystarczyć dla innych badaczy i dla innych pokoleń; ponieważ wybór podnioślejszego i bardziéj pociągającego tematu, zatrzymanie oczu na postaci Goethego lub Schillera uważane byłoby za świętokradztwo, przeto dysertacye niemieckie odstręczają swą małodusznością, swym krecim horyzontem, swą mrówczą budową, w któréj niedziw, że każdy polotniejszy duch postać się lęka. Przytém względna ich wartość przedstawia się równie nikle. Gdyby te skromne badania dokonywały się na podstawie podziału pracy, gdyby te szczupłe a mozolnie zdobywane przyczynki skierowane były ku pewnemu, z góry określonemu celowi i służyły za posiłek badaczom układającym wielkie dzieła, jak się rzecz miała ze słownikiem Littré'go i ze wszystkiemi dykcyonarzami, każda z tych dysertacyi miała by racyą bytu. Tymczasem, jak już zauważył Taine, uczony niemiecki stanowi dla siebie świat odrębny; sobie znosi cegiełki i sobie stawia budowy, czy to tworząc nowe teorye filozoficzne, czy estetyczne, czy filologiczne. Stąd, jeżeli między tytułami dysertacyi owych spotykamy takie jak: *De interrogationibus obliquis apud Ciceronem*, albo: *Vollständiges Rimarium Henri d'Andelli's*, to wnosimy, przypuszczając w autorze nieco zdrowego rozsądku, że pierwsza ma posłużyć do wymarzonego już w kolebce dzieła o Cycerońskiéj, a może—(choć to myśl zuchwała)—rzymskiéj retoryce, druga zaś do obszernego studyum o wierszowaniu francuskich truwerów. Kto inny z nich korzystać nie będzie, chyba synowie i wnucy, którym uczony badacz dostojne te zadania zostawi w spuściźnie; a jeżeli już on sam ocknie się nad grobem, wołając jak Faust dyabła, aby mu wrócił straconą dla zawiędłéj kochanki wiedzy młodość, to i tak znów marnie przepadną. (Mówię straconą młodość, bo zdanie, że niemiecki student umié pracować i używać życia, zjawi się paradoksem dla każdego, kto się owemu używaniu przypatrywał z bliska). Często nawet takiego przypuszczalnego celu dopatrzyć w nich trudno, do czegoż bowiem może służyć rozprawa: *De futuri exacti usu Plautino*?

Inaczéj tezy francuskie. Zasadnicza różnica ustroju francuskich szkół wyższych. Od reorganizacyi Napoleona I, Uniwersytet, *l'Université* obejmuje całą instytucyą szkół publicznych: szkoły elementarne, średnie i wyższe, *l'enseignement primaire*, *sécondaire*, *superieure*; szkoły wyższe składają się z fakultetów, nie zawsze w pełnéj liczbie. Są to: fakultet teologiczny, prawny, medyczny, fakultet umiejętności ścisłych, *faculté des sciences* i literacki *f. des lettres*. Wskutek tego ustroju, nie czyniącego z uniwersytetów ciał samorządnych jak

w Niemczech, ale podporządkującego je wspólnéj instytucyi; w skutek braku prywatnych docentur a za nim braku, że się tak wyrażę, kasty uczonych; nareszcie z powodu drobnéj liczby poświęcających się wyłącznie naukowéj karyerze—stał się tytuł doktora zbytkiem; zbytkiem dla nauczycielstwa szkół średnich, nie dobijającego się katedry, poprzestającego co najwięcéj na „agregacyi,“ zbytkiem równie dla dyletantów, nie uważających, co się znów tłómaczy narodowym charakterem francuskim,—tytułu tego za ostatni wyraz doskonałości człowieczego jestestwa, jak w Niemczech. Doktorat służy na jednych fakultetach (jak medycznym) do otrzymania agregacyi; na drugich (jak literackim) do pozyskania katedry. Rzadkość i dostojność tych posad sprawiają, że tezy muszą wykazać wartość istotną, są one pracą umysłów dojrzałych, wypróbowanych już w umiejętnych badaniach, skierowanych specyalnie ku naukowéj karyerze, zwykle wróżbą prawdziwych talentów, a nieraz cennymi skarbami, jak sławna teza Gastona Paris'a: *Histoire poétique de Charlemagne*, stanowiąca epokę dla dzisiejszych badań starofrancuskiego i starowłoskiego eposu. Właściwie więc tez niemieckich z francuskiemi zestawiać-by nie należało, bo pierwsze mają przeciętnie zaledwo wartość tych prac zadawanych przez komisyą egzaminacyjną we Francyi, które są ćwiczeniami próbnemi licencyi lub agregacyjnego konkursu. Ale: z historycznego stanowiska dysertacye i tezy mają pochodzenie wspólne i godność tę samę—(jeszcze jeden przyczynek do spencerowskiéj teoryi o wyradzaniu się tytułów); następnie, służą zawsze do pozyskania tegoż samego akademickiego stopnia; nakoniec, choć niemieckie ograniczone są w swéj objętości, francuskie zaś nie, nic nie przeszkadza niemieckim w wolności stania się równie ważnemi, równie epokowemi, jak teza profesora paryskiego.

Równorzędne nakoniec prace studentów angielskich są ćwiczeniami konkursowemi noszącemi nazwę według nagród. (Gaisford Prize, Newdigate Prize itd.),—i przynoszące autorom w skomplikowanéj akademickiéj hierachii stopnie bakałarzy sztuk, pomocników (*fellows*) mistrzów etc. Charakter ich tłómaczy się znów odrębnością angielskich uniwersytetów, tych zapleśniałych gmachów, trącących średniowieczczyzną, niedostrojonych do dzisiejszych wyników wiedzy, nie wyszłych ani na krok po za scholastycyzm, nie cierpiących w murach swych ni medycyny, ni historyi, ni nauk przyrodniczych a jedynie prawie teologią, filologią, pedagogią; z profesorami, którzy dają rocznie ledwo 12 lekcyj, z uczniami ugrupowanymi w samorządne, choć niby zależne od uniwersytetu kolegia, przystępne wyłącznie dla bardzo zamożnych, bo są nie przybytkiem wiedzy ale rozrywek, szkołą dżentelmenów, niedającą nic nad duchową i cielesną gimna-

stykę, wiedzę ogólną, nie specyalną. Temat tych prac zawarowany jest konkursem, ale treść ich i wykonanie dowolne; zasługują zaś o tyle na zestawienie z francuskiemi i niemieckiemi, że wychodzą z pod pióra studentów i oryginalnym swym wyglądem stanowią z nimi kontrast nader ciekawy.

II.

Wielokrotnie zwracano uwagę na niebezpieczeństwa zagrażające młodzieży polskiéj ze strony niemieckiego pedantyzmu, wykradającego soki żywotne głów i serc na robotę niepłodną, nieużyteczną dla postępu i zadań narodowych; zbyt mało podawano jaskrawych i odstraszających takiego niebezpieczeństwa dowodów. Niemiecki system traktowania badań wkradł się nietylko do nas; opanował on Włochy i zaczyna, jak się wykaże, bruździć we Francyi na wielką szkodę charakterystycznego francuskiego stylu i metody; przemycił się zaś wszędzie wabnym pozorem doskonałości, która że taką nie jest, okazuje się najłacniéj z jego owoców. Owoce systemu niemieckiego ocenić się dadzą najdotykalniéj z doktorskich dysertacyi; przedstawi się w nich wynik owych wiekowych skłonności tak uczących jak nauczanych, który się zwie pedantyzmem, owo zeszczuplenie horyzontu młodych pracowników, które się zwie zespecyalizowaniem umiejętności, owo wysuszenie i onieśmielenie myśli, które się nazywa surowością badań,—co wszystko zresztą godności i wysokiego znaczenia cywilizacyjnego wiedzy niemieckiéj nie neguje.

Przejrzałem 280 dysertacyi niemieckich, ograniczając się do wydziału filozoficznego, wyłączając zeń nawet umiejętności ścisłe, jak matematykę, fizykę, chemią, oraz umiejętności przyrodnicze, a obserwując jedynie prace z dziedziny filologii klasycznéj i nowożytnéj, lingwistykę, filozofią, historyą i estetykę; ograniczając się następnie do roku 1885 i uniwersytetów najwybitniejszych: w Berlinie, Bonn, Erlangen, Fryburgu, Giessen, Gettyndze, Greifswaldzie, Halli, Heidelbergu, Jenie, Królewcu, Lipsku, Marburgu, Monachium, Monastyrze, Rostocku. Liczniejsze nagromadzenie dokumentów,—(których pewne braki usprawiedliwiam niedostatecznością środków)—nie odmieniło by, sądzę, rezultatu uwag, które z nich wyciągnąć się dadzą w postaci, jak następuje.

Z liczby owéj przepada na filologią klasyczną 40%, na filologią francuską 20%, angielską 6½%, wschodnią (sanskryt i grupa semicka) 4%, niemiecką 3%, filozofią 5½%, historyą i geografią 16½%;—reszta na filologią włoską, na literaturę powszechną, lingwistykę porównawczą, historyą sztuki, pedagogią etc.

Potrzeba wtajemniczyć się i wżyć w niemieckie uniwersyteckie stosunki, aby zrozumiéć niektóre zjawiska; jak nadzwyczajną szczupłość rospraw berlińskich (23) w stosunku do lipskich (58); pierwsza tłómaczy się uciążliwemi wymaganiami formalnemi oraz bezwzględnością profesorów, prawie odstręczającą; (Grimm, Scherer), czego nie doznaje się w Lipsku, nęcącym zwłaszcza filologią klasyczną i lingwistyką. Studenci estetyki uciekają do Monachium, do łagodnego Carriera; historycy do Halli; Królewiec i Marburg wykazują zadziwiającą przewagę prac z zakresu filologii klasycznéj i francuskiéj (Królewiec na 25 dysertacyi: 8 z fil. klas., 12 z fil. fran.; Marburg na 24 dysertacyi: 6 z fil. klas., 15 z fil. fran.),—Halla najwyższą cyfrę rozpraw historycznych (11); niektóre większe uniwersytety, jak monachijski, przedstawiają cyfrę nieproporcyonalnie małą doktoratów (5;—złośliwi tłómaczą to mnogością miejskich browarów); a znowu niska wartość dysertacyi z Rostocku lub Jeny znajduje wytłómaczenie w upadku tych uniwersytetów, zniżających z tego względu poziom swoich wymagań.

We wszystkich da się zaznaczyć, w przeciwieństwie do francuskich i angielskich, zupełne zaniedbanie stylu dla treści; te które pisane są w języku łacińskim (obowiązkowym dla tez filologicznych), posługują się utartym frazesem, mającym naśladować cycerońską prozę; od tych zresztą oryginalności stylu się nie wymaga, bo jéj martwy język dać nie zdolny. Równie jednak maszynowo i banalnie rozwija się tam frazes niemiecki; ani śladu owego pieszczenia się z słowem, które czyni styl ciepłym i pociągającym nawet mimo najsuchszy temat; peryody za peryodami, ustawione jak żołnierze, zbite, i szczupłém zadawalniające się słownictwem—oto reguła prawie nie znajdująca wyjątku.

Przedewszystkiém uderza niepomierny stosunek rozpraw z filologii klasycznéj, zatrudniającéj, jak świadczą cyfry, blisko połowę niemieckich głów uczonych, boć liczbę uczonych z zawodu można śmiało wywnioskować z liczby doktoratów. Przyczyna leży nie ze wszystkiém w zamiłowaniu do klasycyzmu, jakie nas zachwyca w wieku Odrodzenia; raczéj w prozaicznéj potrzebie zdobycia pod protekcyą doktoratu posady nauczycielskiéj w średnim zakładzie naukowym; ważę się nawet przypuścić, że ta chorobliwa skłonność jest naturalną spuścizną pierwszych bakałarzy, którzy uczynili z obowiązku zamiłowanie, pulsujące w krwi niemieckiéj od tych pór. Płytka inteligencya i skromne zdolności tych kandydatów nauczycielskich tłómaczą małocenność większéj części rozpraw, które cierpiane być powinny co najwięcéj jako seminaryjne ćwiczenia, ale nigdy, jako próby dojrzałości umysłowéj do tytułu doktora. Są to

przeważnie prace ściśle gramatyczne, bo temata literackie już zostały wyczerpane, układ ich zawsze ten sam. Na czele bibliografia badanego przedmiotu, dochodząca nieraz do kilkudziesięciu tomów. Następnie zaczepienie któregoś z poprzednich badaczy, lub złożenie hołdu dotyczącym profesorom; następnie postawienie tezy—tę sprawiedliwość oddać należy — przejrzyście i zwięźle, wreszcie udowodnienie jéj albo ilustrowanie ułożonemi wedle systematycznéj modły przykładami. Weźmy np. rozprawę: *De hiatu Plautino* (Berlin). Autor stawia pytanie, czy zachowane w plautyńskich kodeksach rozziewy należy zachować czyli lekcyą odmienić, co znów rozstrzygnie się zbadaniem, czyli Plautus dopuszczał się hiatu czy nie. W swych formach ludowych oczywiście dopuszczał się. Tu następuje przedstawienie owych wypadków według naturalnego, fonetycznego podziału i poszczególnych rodzajów wiersza i stopy; a więc monosylaby z wygłosowem *e*, *i*, *u*, *oi*, *am*, *em*, *om*, *um*; hiatus w cezurach; polysyllaby z wygłosowem *e*,.... Na tém rozprawa się kończy; rzecz, która zdawała by się nieprawdopodobną, a która powtarza się nader często; lekceważenie zewnętrznéj strony tak przez profesora jak ucznia, skoro wykazał już znajomość i zdolność dzierżenia naukowéj metody. Niekiedy urywa autor pracę, tłómacząc, iż obawia się, aby nie przeniosła żądanéj objętości! Wiadomo, że rzucono się od niedawna na dyalekty greckie; na tém polu spotykamy prace nieco oryginalniejsze: *De dialecto Thessalica* (Berlin), w któréj autor tłómaczy swój wybór cytatą z Goethego: *Homeride zu sein, auch nur als letzter, ist schoen*; lub *De dialectis aeolicis* (Aug. Brand. Berlin), godna roztrząśnienia dla nowości przedmiotu.

Sprawa ma się tak. Dyalekty eolskie dzielą się na dwie grupy: lesbijski, tessalski, beocki z jednéj, eleocki, arkadyjski, cypryjski z drugiéj strony. Wszystkie posiadały niegdyś wspólną siedzibę i wspólny język. Dotychczasowe badania Ahrensa, Curtiusa, Kuehnera skończyły się hypotezami, że eleocki i arkadyjski należą albo do dyalektu doryckiego, albo powstały z eolsko-doryckiego. Autor więc rozkłada pracę swą na dwie części: jaki był stan tych dyalektów, które stworzyły dyal. lesbijski, tessalski, beocki, — następnie: czy eleocki i arkadyjski należy liczyć między dyalekty eolskie. Piękněj téj rozprawy czytamy tylko część pierwszą i to znów w ułamku: Ekspozycyą fonetyki owego pierwotnego dyalektu eolskiego.

Podobne jéj są rzadkością; do wyliczanych powyżéj tematów dodaję jeszcze jeden: *O imiesłowach u Tucydydesa.*

Wyjątkowo między lipskiemi spotyka się napisaną po grecku (jest to zapewne folga dla autora, Greka z Itaki), równie jak inne lipskie dysertacye, pisane przez Anglików po angielsku.

Najwyższy procent po filologicznych przedstawia kategorya rozpraw z gramatyki i literatury francuskiéj i prowensalskiéj, zjawisko dające się znów wytłómaczyć obowiązkowością języka francuskiego w szkołach średnich. Ponieważ studya romańskie, począwszy od Herdera, Schlegla i Grimmów, aż do ostatnich lat 30 były prawie monopolem umiejętności niemieckiéj, która wydobyła z kurzu najważniejsze manuskrypty; ponieważ wskutek konkurencyi wybór oryginalnego tematu z téj dziedziny stał się niemal niepodobieństwem; ponieważ wreszcie umysły, ścieśnione w prasie formuły filologicznéj, nie potrafią już nawet oryginalnego tematu z oryginalnéj traktować strony, rozprawy te przedstawiają z poprzedzającemi analogią najzupełniejszą.

Są, którym wartości odmówić nie można, np. habilitacyjna rozprawa d-ra H. Koertinga w Lipsku: *Historya romansu francuskiego w XVII w.* Traktuje tu autor romans idealistyczny, poczynając od wpływu rycerskiéj książki: *Amadis* z *Galii*, od wpływu romansu greckiego i hiszpańskiego; przedstawiając daléj w swym rozwoju romans pasterski, polityczny, alegoryczny, religijny, heroiczny, kawalerski (galant), aż do pani *Scudéry*, kończąc psychologicznym romansem pani *Maryi de Lafayette* i przywracając rodzajowi temu należne w literaturze stanowisko.

Druga rozprawa: *Pieśni kasztelana de Coucy* (Fr. Fath. Heidelberg) zajmuje się wykryciem osobistości tego truwera i wydaniem krytycznêm 11 jego pieśni. Ale najpiękniejsze temata psują się opracowaniem. Rozbiór rymów w Mistrza Wace: *Roman de Rou* (Bonn) mógłby, jak sobie zakłada autor, „przedstawić językowe stosunki poety“; temat jest zupełnie nowy, bo wersyą normandzką M. Wace'a wydał Andresen dopiero w 1877—81. Niestety, część, którą nam podaje, jest rozpaczliwie sucha; ogranicza się na roztrząśnieniu liczby zgłosek, hiatów, elizyi, wokalizmu, rymów; rezultaty pozostawione zapewne do przyszłego dzieła, ale czyż tym sposobem cel rozprawy osiągnięty?

Najciekawiéj przedstawia się Marburg; tam widocznie badanie rymów jest chorobą odnośnego profesora, bo stanowi przeważne zadanie rozpraw w liczbie 15. Mówiłem już o truwerze Henryku d'Andelli. Podobnie traktowany jest trubadur Wilhelm z Tuluzy; podobnie *Miracles de Saint-Eloi*, praca najstraszniejsza ze wszystkich. Podział jéj: rimarium, o wokalizmie, o konsonantyzmie, o fleksyi. W całéj broszurze nie ma prawie jednego wyrazu: podziały, podpodziały, cyfry i znaki. Ma to być statystyczny przyczynek do językowych badań według metody *par excellence* niemieckiéj; może i przydać się

na co, tylko sądzę, że ze stu wierszy przeczytanego poematu można o jego języku lepsze sobie wyrobić pojęcie, niżli z całego arsenału podobnych przyczynków. Tak przedstawia się gramatyka; równie budujące są dysertacye „literackie": *Strój kobiety według starofrancuskich Chansons de Geste*, jeszcze nie bez wartości, może być cenna dla malarza; *Zatrudnienia dzienne w starofrancuskim karolowym eposie*; szkic oparty na 56 poematach z podziałami, które wypisują dosłownie, by nie uronić nic z ich wdzięku: 1) *Schlafengehen und Nachtruhe*, 2) *Aufstehen am Morgen*; 3) *Messen und religiöse Gebraüche*; 4) *Essen und dabei vorkommende Gebraüche*; 5) *Belustigungen und Vergnügungen.*

Podobne szkice, odtwarzające ludzi i obyczaj odnośnéj epoki, są u pisarzy francuskich prawdziwemi cackami stylu, choć dlań filologicznéj ścisłości nie poświęcają; dość czytać Leona Gautier'a: *Epopeja francuska.* Uczony niemiecki gromadzi dokumenta; jest-to jak muzeum systematycznie ułożonych okruchów, z których tylko artysta miłą dla oka ułoży budowę. Ktoby zaś wątpił jeszcze o przesadzie téj bezcelowéj ścisłości, temu radzimy przejrzéć rozprawę: *Die Tiere im Altfranzösischen Epos* (Marburg).

Autor cytuje ni mniéj ni więcéj, jak wszystkie — bez wyjątku wszystkie miejsca, gdzie w *Chansons de Geste* wspomniane są zwierzęta. Do tego kolosalnego zadania potrzeba mu 72 poematów i fragmentów. Wiadomo, że niektóre *Chansons de Geste* dochodzą objętości 20 tysięcy wierszy; proszę zważyć ogromną zasługę autora. Dysertacya jest widocznie odkrawkiem wielkiego dzieła; tu zadawalnia się wyrazem *koń.* Wielu słów w niéj nie szukać; podziały i cyfry; surowo, sumiennie; wieje z niéj egzaltacya pracownika, kreślącego światu nowe drogi: Napoleon nie liczył tak pod Austerlitz nieprzyjacielskich pułków. Naprzód więc koń wyrażony ogólnie przez wyraz: zwierzę, *beste.* Następnie rycerskie nazwy rumaka: *destrier*, *palefroi*, *roncin* etc.; koń różnych maści: *aubain*, *fauvel*, *grisel* etc. Nakoniec imiona sławnych koni, od *Baiarta* począwszy. Broszura obejmuje 8 arkuszy druku, co się tłómaczy częstą oczywiście wzmianką koni w owych rycerskich eposach; reszta fauny, jeżeli dzieło ukaże się kiedykolwiek, zapewne także pokrzywdzona nie będzie. Zaciekawia niezawodnie czytelnika fizyonomia autora; znamy ją z autobiografii, która, jak wiadomo, jest obowiązkowa na końcu każdéj dysertacyi. P. Fritz Bangert liczy lat 36. W 17 roku życia był już nauczycielem; na uniwersytet nigdy nie uczęszczał; samouctwem dobił się pozwolenia na złożenie doktoratu; w szkołach średnich wykładał język francuski, angielski i... geografią. Z prac dotychczasowych wymienia kilka przyczynków (*beiträge*) i sprawo-

zdań. Oto obraz człowieka posiadającego zapewne żonę i dzieci, pędzącego desperacko na Rolandowym biegunie po nieśmiertelny tytuł doktora!

Co zadziwia, niecierpliwi, a często oburza, to zagarnianie pod niemiecki pytel najczarowniejszych dziedzin; każdy wdzięczny temat wychodzi z pod tych zapluskanych piór, jak piękna kobieta z pod brutalnych dotknięć cyrulika; płaskie stopy niejednego nie postały nigdy we Włoszech i Prowancyi, a o ich niebie, o ich pieśni i ludziach pisze z pyszałkostwem wszędobylca — zawsze na podstawie dokumentów. Charakterystyczna pod tym względem jest rozprawa: *Syntaktyczne właściwości mowy mniéj oświeconych Paryżan* (Berlin). Autor nie widział francuskiego przedmieścia i bulwaru; studyum swoje oparł na książce H. Monniera: *Scènes populaires dessinées à la plume. Paris 1846.* Arsenał posiłkowy składa się z czternastu gramatyk i dykcyonarzy. Przeciw układowi saméj roboty protestu zakładać nie można; w przedmowie wyłożono bardzo trafnie sposób powstawania ulicznych żargonów: przez archaizmy, w mowie oświeconych zatracone, przez nowotwory urobione ludową fantazyą i humorem, przez swobodę składni nie przygiętéj dla okrągłości frazesu, dla logicznéj ścisłości. Nie uważa jednak autor, że ten język uliczny, a zwłaszcza gwara paryskiego gamena jest jego osobistym tworem i własnością, że tych zjawisk pochwycić i podpatrzyć nie można, a tém mniéj wykreślić ich prawideł, bo w ustach każdego zmieniają się jak w kalejdoskopie. Obserwując więc nieregularność składni rzeczownika w frazesie: *J'veux savoir quel état qu'il est*, tłómaczy ją autor fałszywie analogią z angielskim: *But what trade art tou* (Shakespeare: *Jul. Caes.*); zaznaczając niezgodę rodzaju w imiesłowie: *tiens! l'opera déja finite*, ostrzega zbytecznie przed nieprzypuszczalną hypotezą, jakoby był to wpływ innych języków romańskich; cytując przykłady etycznego datywu: *Qu'est-ce qu'elle te lui a fait?... Un beau matin elle te lui a renvérsé toute une cafetière*, odnosi tę naturalną skłonność mowy do starofrancuszczyzny wcale niepotrzebnie, zważywszy, że ją wszystkie wykazują języki i w każdéj swéj epoce. A już karykaturalnie wyglądają sztywne gramatyczne prawidła i obserwacye, obok tryskających humorem zwrotów,—niby ksiądz z popielnicą nad zamączoną głową pierrota: *Bisweilen stehen die persönlichen Prononima in prägnanter Bedeutung auf Personen hinweisend, deren genaueres Bezeichnung dem Sprechenden unnötig erscheint: Y z'en changent, à present de vicaires, comme de chemises*; albo téj skargi biedaka, że przez jego ciało zégar na kościele obaczy: *J'allons dev'ni à rien, qui pourriont voir l'heure au cadran d'l'église au travers ed' mon corps!*

Jak daleko wiedzie autora krótkowidztwo i nieznajomość potocznéj mowy francuskiéj, dowód na to jeden. Wiadomo, że do rozprawy dołącza się kilka tez, których doktorant (tradycya tego zwyczaju dziś ginie) bronić ma publicznie w akcie inauguracyi; między tezami niniejszéj czytamy jednę p. t.: Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby francuski język ludowy (t. j. owa uliczna gwara) wywarł kiedykolwiek pod względem składni wpływ na język oświeconych. Otóż w tém autor się myli. Nikt nie powie oczywiście: *I'l'ons dit que j'la j'terions par la croisée, je n'l'ons point fait*; ale bulwarowy wyga, ale artysta używa ciągle w kapryśnych swych zwrotach anakolutów, nadużywa przysłówkéw *en*, *y*, lekceważy prawa składni zaimka. Dość otworzyć książkę Zoli lub Goncourtów: *Manette Salomon*,—świat paryskich malarzy: „*Quel homme du monde ça fait, ce Coriolis*"; albo: „*Ce gueux de Paris, c'est si charmant*"; albo: „*Eh! bien! il lui en est arrivé, figure toi! D'abord un héritage de trente mille francs, qui lui est tombé.*" — „*Vrai? Tiens, il n'avait pas une tête à ça.*"

O dysertacyach z filologii angielskiéj i niemieckiéj chwalebnego da się powiedzieć tyle, że wychodzą z pod piór inteligentniejszych, bo mniéj pospolitych, które usiłują przynajmniéj wartość im nadać wyborem. Takiemi są np. *Studya do anglosaskiéj Księgi Rodzaju* (Lipsk), lub: *Język anglonormandzkiéj legendy Brandana* (Halle), zawierająca krytykę ich tekstu i ekspozycyą własności gramatycznych. Pedantyzm jednak węszy i tutaj; bezbarwną i jałową pracą są *Spostrzeżenia nad metrum Ben Jonsona* (Halle).

Szacunek dla tematów niemieckich wpłynął równocześnie na ich rzadkość i cenność. Cytujemy tu dzielną, pracę erudycyjną: *Najstarsze północne napisy runowe* (Berlin), w któréj autor wykazuje naprzód w polemice z Buggem i Wimmerem, że język najstarszych napisów jest już samodzielnym, wybitnym, różnym od spółczesnych gockich i germańskich dyalektów idyomem, następnie odczytuje napisy na złotym rogu z Gallehus, tarczy z Torsbjerg etc.

Jeżeli filologia włoska i hiszpańska traktowane są po macoszemu, za to języki wschodnie dostarczają rozprawom ogromnego kontyngensu tematów; studya te kwitną przedewszystkiém w Lipsku, ale przeważna liczba uniwersytetów niemieckich posiada równie katedry filologii oryentalnéj; stąd w dysertacyach spotykamy się z literaturą, filozofią, historyą, paleografią: indyjską, asyryjską, babilońską, egipską, arabską, hebrajską etc. Określać je bliżéj rzecz zbyteczna.

Literatura porównawcza podaje szerokie pole erudycyi, lecz styl w nich zaniedbany a strona psychiczna lekceważona nawet w tych, które do szczególnéj obserwacyi tego punktu zdałyby się mieć prawo, jak temat: *Psychologiczne warunki zmiany znaczenia słów.*

W filozofii zawsze jeszcze na pierwszym planie są transcedentaliści; temata historyczne zeszczupliły się do drobnych przyczynków, jak: o stosunku poszczególnych miast do cesarstwa, biografii hercogów i mężów stanu, i t. p.

Za to estetyka i historya sztuki uprawiane w Niemczech tak namiętnie, wydające owoce studyów tak szlachetne mimo cały brak artyzmu w charakterze narodowym, znajdują równie wdzięczne odbicie w tych drobnych badaniach; sama wierzchnia szata niektórych, jak lipskiéj: *Kleinmeister als Ornamentisten*, ozdobionéj drzeworytami arcydzieł Behoina lub Aldegrevera, świadczy o wysokim pietyzmie autora dla ponętnego tematu..

III.

Tezy francuskie są zjawiskiem tak rzadkiém (mówię jedynie o tezach fakultetu literackiego), że dla wyrobienia sobie pojęcia o charakterze tych robót we Francyi trzeba mi było rozpatrzéć roczniki z lat kilku (1882—1885) z fakultetów w Aix, Bordeaux, Clermont, Lyonie i Paryżu (ostatnie z r. 1884—1885). Z sumy 60 prac przypada na sam Paryż 49, rozkładają się zaś tak, że na filologią klasyczną przypada 22, filologią francuską 9. wschodnią 3, angielską 2, włoską 1; na filozofią 13, historyą 8, pedagogią 1, estetykę 1. O Paryżu da się jeszcze zauważyć to, że odtrąciwszy od filologicznych tezy z tematem filozoficznym czy teozoficznym, jak: *Zenonis Eleatici argumenta*, lub *Quid de Deo Seneca senserit*, lub *O dziełach filozoficznych Cycerona*, lub *Historya kultu Serapisa, Izydy etc.... w Aleksandryi*, wyrównamy prawie cyfrę obu. Tłómaczy się to tradycyami Sorbony, wrogiéj pozytywizmowi, pielęgnującéj troskliwie metafizykę. Nie jest ona już, czém była dawniéj, kiedy rzucała klątwy na papieży, dopatrzywszy w nich herezyi; kiedy dla przywdziania togi poddawała swych słuchaczy-obywateli, po dziesięcioletnim najmniéj pobycie w dostojnych murach, próbie „wielkiéj Sorboniki“, w któréj kandydat musiał bez jadła, napoju, bez opuszczenia nawet na krok celi wytrzymać kwestye dwudziestu przeciwników, zmieniających się kolejno przez 12 godzin. Mimo to, kto już zdecydował się żądać doktoratu, śpieszy zwykle na fakultet paryski; doktorat prowincyonalny, wskutek anormalnéj centralizacyi, któréj szczęściem dla siebie zdołały ujść uniwersytety niemieckie, a która umiejętności francuskiéj nieobliczone wyrządza szkody, utracił prawie wartość i staje w poprzek karyerze nawet utalentowanych.

Rozmiary tez nie są ograniczone, dochodzą téż niektóre objętości 25—30 arkuszy druku; już to samo świadczy o poważnéj war-

tości doktorskiego tytułu, a warunki ubiegania się oń powiększają się jeszcze tą trudnością, że tezie w języku francuskim musi być przyłączona druga, w łacińskim, której temat brany bywa zazwyczaj z tego samego dzieła; tak spotykamy po parze filozoficzne, historyczne, lingwistyczne, etc. Rozumie się, że ta przymusowość języka łacińskiego wpływa niekiedy niezbyt korzystnie na jego poprawność; czasem składnia przypomina przedrenesansową „średnią łacinę“; barwny, gadatliwy styl francuski przebija przez nią wyraźnie i mimo niepoprawność umila ten sztuczny pedantyzm, bo jest to przynajmniéj język, w którym czuć pulsujące życie.

Aby dać czytelnikowi pojęcie o charakterze tych rozpraw, podaję treść niektórych cenniejszych:

O użyciu składni rodzaju nijakiego w języku francuskim. (A. Aubert, Aix, 1884). Duch języka łacińskiego nałożył dyscyplinę gramatykalną na język francuski i nagiął jego mechanizm w modelu swéj składni tak, że rodzaj nijaki, który formalnie zaginął, a w rzeczywistości zawsze istnieje, rekonstruował się w elementach równorzędnego znaczenia, jest zaś nie tylko spadkiem historycznym łaciny, ale służy jeszcze dziś do logicznego odróżnienia znaczeń idei i rzeczy. Następuje wyliczenie neutralnych funkcyi zaimków, przymiotników, rzeczowników. Praca oparta na systemie porównawczym posiłkuje się idyomami całéj familii romańskiéj, nie przestając na starofrancusczyźnie, ale czerpiąc przykłady z najnowszych nawet autorów: V. Hugo, Richepina, Daudeta, rzecz, która by w Niemczech uchodziła za beletrystyczny, a przeto nienaukowy wybryk.

Studyum języka angielskiego w wieku XIV. (Adr. Baret. Bordeaux, 1885) przedstawia historycznie rozwój dyalektu anglo-normandzkiego, z którego wykształcił się klasyczny język angielski, *King's English*, język Chaucera.

Przegląd retoryk sanskryckich (P. Regnault. Paryż, 1885) rozbiera bardzo starannie i subtelnie te dzieła sanskryckie o sztuce pisania, które noszą nazwę: Źwierciadło poezyi, Wykład poezyi, Źwierciadło kompozycyi, etc.

Z łacińskich przedstawiam przynajmniéj tytuły: *Quid anglica lingua latinae debeat* (Bordeaux); *De unitate religionis homericae in Iliade* (Paryż); ale już i tu wdarło się bezcelowe specyalizowanie niemieckie: *De usu participiorum praesentium in sermone gallico* (Aix), francuskiego stylu przecież w zupełności przygnębić nie mogąc.

Obok tez filozoficznych, hołdujących znowu niemczyźnie, jak: *Krytyka teoryi Kanta w estetyce transcedentalnéj* (Paryż 1884) lub: *De logica Spinozae* (Paryż, 1884) stoją prawdziwie oryginalne, jak: *Podstawy wiedzy.* (P. Lesbareilles, Paryż 1884), w której autor anali-

zując trzy fundamentalne systemy: spirytualizm, materyalizm, panteizm,—objaśnia naprzód, że spirytualizm i materyalizm prowadzą do takiéj koncepcyi objektywnego bytu, która go czyni nieprzydatnym wiedzy, jużto pozbawiając go wszelkiéj pochwytnéj jedności, jużto odmawiając realnego istnienia po za umysłem;—a w dalszym ciągu dochodzi do wniosku, że panteizm jest identyczny z głównemi zasadami wiedzy i da się wyprowadzić wprost z analizy tych zasad, a więc, że jest jedynym systemem zapewniającym poznaniu fundament obiektywny i rzetelny.

Studyum: *O sądzie estetycznym* (C. E. Adam, Paryż 1885) podaje za rezultat roztrząśnienia zdanie, że sądy estetyczne są możebne nie przeto, że człowiek jest istotą posiadającą czucie i rozum, ale przeto, że jest istotą wolną.

Fakultety literacki w Besançon, Dijon, Douai, Grenobli, Montpellier, Nansy, Poitiers, Rennes, Tuluzie nie oglądały od dawna aktu doktoryzacyi; jak poważnie w ogóle traktuje się dostojeństwo togi, z jakim pietyzmem gotuje się do przyjęcia jéj francuski licencyat, przykład na to mam w Montpellier, gdzie obecnie p. Dubouchet, wielki erudyt bibliograf i bodaj czy nie jeden z najlepszych znawców Rabelais'go, drukuje pracę, któréj część napisana językiem XV w. i nosi tytuł: *La Vray Cronicque de ce que fist à Montpellier Maistre François Rabelois, Chinonois, Docteur en Médicine, naguieres escripte et composée. Par A. Dubouchet, Bourbonnoys, Maistre es Arts en la docte Eschole de la dicte ville.*

Słowem, Francuz rozumie godność doktoratu; żywi dla umiejętności to poszanowanie, które każe mu stroić ją w szaty świeże, oryginalne, często zalotne i czuwając jak nad kochanką, trzymać zdala od pospolitości; jeżeli od sąsiada przejął co, to jedno : sumienność, a te dwa czynniki: styl i metoda złożyły się na każdéj tezy francuskiéj wartość często skromną, lecz zawsze istotną.

IV.

Anglia posiada uniwersytety z utrojem jak w Niemczech, średniowiecznym, a to w Oxfordzie, Cambridge, Saint-Andrews, Dublinie i Londynie (ostatni uniwersytet najmłodszy, bo założony w 1828 r.). Co odróżnia je od innych europejskich, to kolegia, samodzielne związki studentów, każdy zostający pod władzą swego kanclerza. O ich postaci, celach i działaniu pisać tu nie pora: chcę przedstawić jedynie charakter studenckich prac, analogicznych do niemieckich dysertacyi i mających nad nimi pierwszeństwo swą wartością prak-

tyczną, jeśli nie naukową donioslością. Kto dziwił się niemieckiéj erudycyi, zdumieje się angielskiéj; niektóre gałęzie umiejętności, jak filologia, lingwistyka, literatura angielska, szczycą się tam znawcami, którzy w pewności siebie, mocni resztę świata wyzwać na dysputę. Tylko u nich traktowanie wiedzy dla wiedzy nie mroczy już nigdy swéj czystości ubocznymi celami a nawet pedantyzm nosi jakąś milszą cechę tą odrobiną duchowego pierwiastku, który najsuchszy uszlachetnia temat. Przedewszystkiém nie bije on w oczy, nie lubi jaskrawo i pysznie wyskakiwać naprzód; cała posiłkowa praca kryje się z bibliograficznym swym balastem tak, że z rezultatów jedynie domyślić się można olbrzymiego mozołu, jaki jéj towarzyszył, a czy w dziełach naukowych, czy w drobnych broszurach, o jakich mam mówić, metoda ta jest jednakowa.

Poprzestaję na tezach uniwersytetu Oxfordzkiego; kilkanaście broszur z lat 1882—1885 wystarczy na wyrobienie sobie sądu o całym ich rodzaju. Z jednéj strony filologia i lingwistyka, z drugiéj utwory oryginalne: poeye, przekłady, ćwiczenia retoryczne,—oto przeważna ich dziedzina; pedagogia, etnografia liczą téż, choć nielicznych, przedstawicieli.

Praca E. Nicholsona z Trinity College, nosząca tytuł *New Homeric Reserches*, ma na celu zbicie pedantycznego przesądu, że u Homera wiersze daktyliczne idą w parze z żywością akcyi; bo akcya żywa opisana bywa często spondejami i odwrotnie; dla dowiedzenia swego sądu autor obliczył wszystkie daktyle w Iliadzie i Odyssei. *The characteristics of Primitive poetry* (W. Bartlett) jest bardzo wdzięczném studyum o charakterze pierwotnéj poezyi, opartém głównie na dokumentach greckich, hebrajskich, oryentalnych, z przybraniem świadectw celtyckich, słowiańskich, germańskich, choć nie w téj mierze, ile by żądała równowaga, czego przyczyną niezmierna skłonność uczonych angielskich do filologii oryentalnéj.

Jedna praca nosi tytuł *Teorya starożytnéj edukacyi*, druga jest monografią Czarnogóry etc.

Najciekawiéj wyglądają utwory oryginalne, składające się nieraz z 3 lub 4 kart jedynie, papierem, drukiem i oprawą świadczące o zbytkownych kaprysach autorów. Wiersz *The Sea of Galilea* jest utworem religijnym na temat: Galilaee vicistil; wiersz *The Thames* uwielbieniem Anglii, zowiącém entuzyastycznie Tamizę, „rzeką srebrną i kryształową"; grecka proza: *The athenian state* podaje nam specymen dyalogu platońskiego, w którym własnym językiem wiodą dysputę Sokrates, Alcybiades i Arystofanes; *Quae marmoreo fert monstra sub aequore pontus*, jest sielankowym poematem łacińskim

w któréj wergiliuszowym tonem opowiada rybak pasterzowi o dzisiejszych cudach morza aż do elektryczności i pary; jeden utwór jest greckim przekładem Shelleyowego *Adonais*, (strofy 39—46), drugi przekładem Szekspira. *Król Henryk IV*, (Cz. 2, A. 1, Sc. 1), z poprzemienianemi nazwiskami angielskiemi na klasyczne: Worcester = Αρσάμης, Lancaster = Αρχτεὺς; nazwisko Hotspur wdzięcznie opisane, imię Kaina przedzierzgnięto w Iksyona. Nie są to wszystko roboty, mogące się mierzyć z tezami francuskiemi; ale jeżeli akademickie prace mają za jeden ze swych celów przedstawienie stanu intelektualnego młodzieży uniwersyteckiéj, to swą trzeźwością, swobodą wyboru, wykazującą zdolności autorów z najwłaściwszéj strony, angielskie trzymają z pewnością prym przed niemieckiemi.

Nasze uniwersytety pielęgnują, jak wiadomo, metodę niemiecką. Względy pietyzmu nie pozwalają mi roztrząsać doktorskich tez pierwszego z nich, krakowskiego; pragnąłem jedynie rozbiorem niniejszym wykazać, że po za systemem niemieckim istnieją inne, bardziéj może z duchem i narodową pracą naszą harmonizujące; zwłaszcza, że umiejętność niemiecka, zagarnąwszy monopol niektórych dziedzin, nic nam już prawie do dopełnienia nie pozostawiła a byłoby szaleństwem kształcić całe pokolenia, by doróśłszy wysokości Niemiec, uczyniły dopiero po wielu przedwstępnych studyach jakieś drobne odkrycie np. w dziale filologii. Obok Apulejusa i Seneki potrzeba nam znać Dantego i Szekspira; wyzyskiwanie tak ogromnéj liczby rąk i głów na owe badania, jest to puszczanie wszystkiéj wody na jeden młyn, a wody téj, okazuje się, coraz większa potrzebna ilość, bo filologia wraca do powijaków.

Weźmy np. kwestyą homerycką. Naprzód kwestya autorstwa, potém krytyka i ustalenie tekstu, potém ortografia połączona z całą kwestyą fonologii i dyalektologii a zakończona przywróceniem digammy (ϝ). Dziś na widnokręgu jawi się nowe zadanie: rekonstrukcya eolskiego tekstu Iliady i Odyssei (1), która może sprowadzi znowu rewolucyą w ustaleniu tekstu. Homerowego tekstu zatém dotąd nie mamy; nie mamy równie ostatecznie przyjętego tekstu tragików,—dość obserwować ustawiczne projekta do poprawek w czasopismach niemieckich i angielskich, bo uczoność owa zacietrzewiła się tak, że gdyby nawet Sofokles wstał z grobu i błagał o spokój, tłómacząc: „Ależ, ja tak napisałem“,—odpowiedziano by mu: „Nie mogłeś tak napisać,—jesteś za wielki!“

(1) *Die homerische Ilias*. A. Tick. 2 vol. Göttingen, 1886.

Studentowi niemieckiemu pedantyzm nie szkodzi, jak nie szkodzi bagnisko roślinom i zwierzętom, które w niém mieszkają, ale naszym, entuzyastycznym zawsze w pierwszych uniwersyteckich chwilach, młodym pracownikom może widmem przepaści bez dna złamać od razu odwagę. Jest jedna rada: zwrócić prąd bezcelowo miotającéj się wody na literaturę powszechną i studya porównawcze; byłaby to jednak rewolucya, któréj bliskości przeceniać nie śmiem a prosić o nią nie mam prawa.

Edward Porębowicz.





ZE SŁOWACYI.

Brzegami wartkiego Wagu wracałem z zamku orawskiego w roku 1884 w towarzystwie jednego ze znajomych rodaków, którego zaciekawiała ta czasowa niegdyś siedziba Kostków i Komorowskich. Na stacyi Ruttka, przy kolei Koszycko-Bogumińskiéj mieliśmy się rozstać, korzystając z dłuższego przestanku. Towarzysza mego nagłe sprawy powoływały na Szlązk, ja postanowiłem się udać do Słowacyi południowéj. Była wiosna. Zaledwo kilkadziesiąt godzin oddzielało nas od miesiąca zakochanych i poetów. Po parutygodniowéj słocie kwietniowéj, wyjrzało z za obłoków poraz pierwszy słońce, kąpiąc w wiosennych promieniach całą tę podtatrzańską krainę, a uśmiechem szczęścia i nadziei rozpogadzając twarze jéj mieszkańców. Pod ożywczém, wesołém światłem tych złotych promieni piękny ów kraj stawał się ponętniejszym: zapomniało się o posępnych ołowianych chmurach, niedawno rozwieszonych nad niém, a serce lgnęło do ziemi, ogrzewanéj oparem opadającéj mgły.

Na dworcu kolei żelaznéj panował ruch niezwykły. Oprócz podróżnych ze stron dalekich, którzy tu cisnęli się na krzyżujących się liniach północnych i środkowych Węgier, widzieliśmy gęste gromady wędrownych druciarzy i kramarzy słowackich, wracających z całego świata na wiosnę do zagonów rodzinnych, i rolników, pragnących, jak nam się zdawało, skorzystać z pogody wiosennéj i śpieszących do robót polnych. Pomiędzy nimi była znaczna ilość kobiét. Uderzył nas jednak widok licznych pakunków i węzełków, jakiemi one były obciążone. Zbliżyliśmy się do jednéj grupy. Zdala od innych stała samotnie nad kilku dużemi zawiniątkami młoda dziewczyna z czarnemi kruczemi włosami i ciemniejszemi może oczyma, które w téj chwili były spuszczone na dół i błądziły po zawiniątkach.

Ubogie jéj wiejskie ubranie, skromna postawa i zaduma ładnéj twarzyczki pociągnęły nas mimo woli ku niéj.

— Povedz mi, dievčatko, čo sa mi to stalo,
Ked-sa moje očko v twoje zadivalo? —

pomyślałem sobie, a postąpiwszy parę kroków naprzód, zwróciłem się do towarzysza — tak aby ona słyszała—ze znaną ludową piosnką słowacką:

De-že si ty, lastarienko, letala,
ej, de-že sis'ty krýdelenká zlaté zlámala?

Żadnéj odpowiedzi nie było. Dziewczyna spuszczoną głowę odwróciła nieco od nas.

— Prozą nas lepiéj zrozumieją — podszepnął mi towarzysz.

— Powiedz mi, moja miła — zapytałem tedy, zwracając się wprost ku niéj — czego tak stoisz sama? może ci brak czego? może zgubiłaś kogo?...

— Czekam na siostrę, poszła kupować bilety.

— Daleko jedziecie?

— Do Ameryki — odrzekła obojętnie.

— Jakto, do Ameryki? Tak daleko! same kobiety!

— A ino.

— I nie żal wam opuszczać kraju rodzinnego, téj ziemi ojczystéj?

— Ba, ked' jej nie mamy! — odrzekła lakonicznie, podnosząc długie rzęsy i wodząc kolejno po nas wzrokiem zdziwionym.

I pojechały za ocean. Przeprowadzałem je spojrzeniem aż ostatnie wagony pociągu, unoszącego je na obczyznę, zniknęły mi z oczu. Ale długo jeszcze potém dźwięczały mi w uszach te smutne słowa tak uroczéj a młodéj dziewczyny: *kiedy jéj niema!* W tych paru wyrazach skrystalizował się mimowolnie obraz losu tego narodu, którego dzieci o łagodném wejrzeniu a smętnéj twarzy, z króbką na plecach lub wiązką drutów za pasem, spotkacie z taką samą łatwością nad Wisłą jak nad Amurem, w Berlinie i Teheranie. I skarga dziewczęca żałosném echem odezwała się w duszy mojéj: są Słowacy, a gdzież Słowacya?

. . . .

Nitro! miła Nitro! ty Nitro wysoka!
Gdy spojrzę na ciebie, łza mi płynie z oka;
Ty matko słowiańska, oj Nitro ty miła,
Odkądeś ty kwitła, upłynęło lat siła.
Oj byłaś ty grodem, w ziemi pełnéj sławy.
Około Dunaju, Wisły i Morawy!
Króla Światopełka tyś była dziedziną,

Nitra mila, Nitra, ty vysoka Nitra!
Kde že sú tie časy, v których si ty kvitla?
Nitra mila, Nitra, ty slovenská mati!
Čo pozrem na teba, musim zaplakati.
Ty si bola nekdy všetkých krajin hlava,
V ktorých tečie Dunaj, Visla i Morava.
Ty si bola sidlo krála Svatopluka,

Zkąd władał potężnie szeroką krainą;
Oj ty byłaś świętem miastem Metodowem,
Gdzie ojców nawracał niegdyś Bożem słowem.
Czemuż dziś twa sława w toni skryta leży?
Tak czasy się mienią! oj tak to świat bieży!

Ked' tu panovala jeho mocná ruka,
Ty si bola sväte mesto Methodovo,
Ked' tu našim otcom kázal božie slovo.
Teraz tvoja sláva v tôni skrytá leži:
Tak sa časy menia, tak tento svet beži!

Hymny państwowe różnych ludów tak w muzyce jak słowie noszą zwykle cechę uroczystéj powagi, majestatu i tryumfu. W narodowych zaś przebija się energia, zapał i gorące tchnienie wolności. Taką jest... np. Marsylianka francuska. Slowacy mają na wzór pieśni polskiéj, utworzoną przez Tomaszyka „Héj Słovaci, ešte naša Slovenska reč žije“, ale po za tą pieśnią natchnionego pieśniarza, noszącą znamiona zapału narodowego, właściwym ich hymnem ludowo-państwowym czerpanym z charakteru i motywów ludowych, a wysnutym ze wspomnień dziejowych jest „*Nitro! mila Nitro! ty Nitro wysoka!*“, która uroczystą powagą i skargą przypomina naszą pieśń Felińskiego a jeszcze bardziéj znany chorał Kornela Ujejskiego. Ale gdy ten ostatni trzymany jest od początku do końca w tonie męzkiéj, groźnéj skargi, wołającéj o pomstę do nieba, słowacki hymn z archanielskich wzniosłych tonów przelewa się odrazu w niewieście, łzawe, rzewne a tęskne skargi, w nucie wciąż zmiennéj, wbrew charakterowi jednostajnemu innych pieśni; motywa epizodyczne zmieniają się co chwila, oplatając dokoła jeden minorowy żałośny ton. Ilustracya téj muzyki słowem mimo narzuconych obrazów plastycznych, gubi się tak w mglistéj a dalekiéj pomroce dziejowéj, że widoczna, iż sama plastyka nie wyłoniła się z duszy pieśniarza, nie była naturalném zwierciadłem jego załzawionego serca, lecz dziełem refleksyi, która potrzebowała znaleść jakąś osłonę dla złamanéj a dźwięczącéj harfy uczucia narodowego, jakiegoś sklepienia świątyni, o które oparły by się skargi zbolałego serca. I tak być musiało, jeśli się miało szukać wyrazów z przeszłości dla uczuć dzisiejszych. Jakże mglisto musiała się przedstawić ta przeszłość skoro po strunach tych żalów chorału słowackiego potrzeba aż przebiedz przestwór tysiąca lat, aby po za niemi szukać tradycyi dziejowéj i kanwy dla tego chorału, skoro po nici téj przerwanéj tysiącletnią robotą innego plemienia, trzeba cofnąć się aż pod mury Brzetysławy, gdzie przed 10-ciu wiekami zagrzebaną została samoistność państwowa Słowacyi, czyli tak zwanego Wielkomorawskiego państwa Świętopełka.

. . . .

Jeden z posłów węgierskich na sejmie Peszteńskim, zagadnięty o to, jak się zapatruje na literaturę słowacką, odrzekł: jutro ją wam pokażę. Nazajutrz zjawił się w sali sejmowéj, niosąc coś w węzełku,

zrobionym z chustki od nosa, a rozwiązawszy ją, wyrzucił na stół kilka książek słowackich, wołając z uśmiechem: oto jest cała literatura słowacka! Jeśli to naigrawanie się było nie na miejscu i nieuzasadnione faktami, jak niżéj zobaczymy, to natomiast polityczne dzieje niezawisłego państwa Słowaków dadzą się naprawdę zamknąć w kilku słowach. Podług ich własnych źródeł, przybyli oni pod ojczyste góry Tatr (1) w czasach przedhistorycznych; podług zas innych źródeł — w V po Chrystusie wieku, po ustąpieniu Herulów i Gepidów. Spokojny i łagodny, jak dzisiaj, lud ten, oddany rolnictwu i pasterstwu, a rozdzielony starosłowiańskim zwyczajem na plemiona i żupy, został trzykrotnie najechany przez hordy wojowniczego szczepu fińskiego, po raz pierwszy przez Hunów pod Attylą w końcu IV-go wieku; po raz drugi przez Awarów pod Kahanem w końcu VI-go wieku i nareszcie przez Madiarów pod siedmiu wodzami przy końcu IX wieku. Pierwsi zdobywcy wskutek własnych niesnasek sami ustąpili; drugich wyparł Karol Wielki łącznie ze Słowakami, którzy oparłszy się potędze cesarstwa zachodniego, potrafili pod grozą zewnętrznych nieprzyjaciół połączyć rozdzielone żupy i księstwa w jedno ciało polityczne i nadać mu organizacyą państwową w granicach tak zwanéj Wielkiéj Morawii, pod wodzą takich monarchów, jak Mojmir, Rościsław i Świętopełk. Większą jeszcze spójnię i siłę nowemu państwu dał kościół narodowy słowiański, niezawisły od hierarchów niemieckich, a założony nieśmiertelną pracą braci soluńskich, Cyryla i Metodego. Cesarz Arnulf nie mógł podołać téj sile i w zapasach z nią stracił nawet własną Panonię, ale wezwał na pomoc zbliżające się od wschodu Europy nomadyczne zastępy Madiarów. Kilkunastoletnie boje zahartowanego w walkach ludu potrafiły wstrząsnąć podwalinami młodego państwa, które też po śmierci Świętopełka, rozdzielone w siłach swoich pomiędzy jego synów, legło u stóp zdobywców. Bitwa pod Brzetysławą (Pressburg) 907 roku zakończyła istnienie państwa wielkomorawskiego. Od téj pory powtórzyły się parę razy słabe tylko echa téj niezawisłości. W połowie X wieku Słowacyą zdobył na Madiarach Bolesław czeski, a 999 roku Bolesłach Wielki polski. Za panowania jego syna Mieszka II zdobył ją na Polakach Stefan węgierski i od téj pory do dnia dzisiejszego Słowacya, stanowiąc część Węgier, wchodzi w skład korony Ś-go Stefana. Po wygaśnięciu węgierskiéj dynastyi Arpadów, Maciéj trenczyński zawładnąwszy częścią Słowacyi, założył na początku XIV wieku niezawisłe księstwo, które istniało lat 11-cie. Słabszy jeszcze oddźwięk niezawisłości narodowéj ale za to większą łą-

(1) Tata—hora, w późniejszym skróceniu Tatra.

czność plemienną z Czecho-morawianami i nieco nawet Polakami spowodował w Tatrach słowackich ruch husycki za powodem Iskry z Brandysa, który w ciągu 20 lat rządził prawie niezawiśle jedną częścią Słowacyi, gdy drugą — różni magnaci słowaccy.

Oto jest cały wątek niezawisłego politycznego bytu Słowaków—krótki ale wymowny, bo z głębi jego wynurzają się dwa wielkie fakta dziejowe mające ogromną, niepospolitą doniosłość nietylko dla Słowaków, ale i dla całéj Słowiańszczyzny a nawet Europy. Temi wszechdziejowemi faktami były: usadowienie się Węgrów nad dolnym Dunajem na gruzach państwa Świętopełkowego i losy apostolstwa Metodowego. Pierwszy błyskawiczny tylko rzut oka na mapę pouczy nas o wielkiém znaczeniu Słowaków i dzierżaw Świętopełkowych dla zamiany idei cywilizacyjnych między Wschodem a Zachodem, tudzież dla przetwarzania się pojęć plemiennych w narodowe i państwowe wśród Słowiańszczyzny, Plemię słowackie jak dziś tak i przed 1000 lat stykało się z polskiém w Tatrach, a jeśli dziś oddzielnemi tylko posterunkami sięga jeziora Błotnego (Platensee), to wówczas tak gęstą masą przypierało do niego, że mogło nad brzegami jego utrzymać stolicę jednego ze swych książąt Kotela (gdzie téż jakiś czas przebywał biskup Metody). Tuż na zachód od téj rezydencyi zaczynały się plemiona Słowieńców, a na południe i południowy wschód, po nad Drawą i Dunajem — serbskie. Na północnym wschodzie jak i dziś stykały się one z plemieniem ruskiém; na północnym zachodzie granica ich nie była dzisiejszą lecz sięgała znacznie wgłąb Morawii. Pas ziemi leżący między Czechami a Styryą, a tworzący górne Rakuzy, tworzył podówczas tak wązki klin niemieckich posiadłości że nie byłby w stanie rozsadzić północnéj od południowéj Słowiańszczyzny. Rozszerzyć go tylko mogło zawładnięcie średnim Dunajem. I tego dzieła dokonali wezwani przez Niemców na pomoc Madiarzy. Już Palacki (a zanim jeszcze dosadniéj Hilferding) patrząc na tę konfiguracyę ziem słowiańskich, ujawnili z saméj natury rzeczy nasuwający się pogląd, że zawładnięcie przez Węgrów średnim Dunajem rozszerzając ostrze owego górno rakuzkiego klinu, rozszczepiło Słowiańszczyznę na dwa odłamy i zerwało organiczną łączność między północnemi a południowemi i południowo-zachodniemi plemionami. Jeśli Hilferding zadaleko posuwa swą unifikacyjną hipotezę powiadając, że bez tego obcego nowotworu oddzielne plemiona z nad Wisły, Odry i Dunaju scaliłyby się w jeden organizm państwowy, a nawet narodowy, jak to się stało u wschodnich plemion, które późniéj utworzyły jednę Rossyą, to w każdym razie zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że wtargnięcie Węgrów na długie wieki opóźniło wzajemność duchową i polityczną

między temi ludami, przyśpieszyło osłabienie każdego z nich i jak z jednéj strony odroczyło udział Słowiańszczyzny w cywilizacyjnéj pracy ludzkości, tak z drugiéj wyrób ich rodzinnéj kultury. Do wspólnych węzłów, łączących podówczas jeszcze całą Słowiańszczyznę tak przez bliższe poczucie pokrewieństwa jak większą jednostajność form społecznych i obyczajowość, przybywał łącznik potężny w jednym kościele narodowym, a zanim w jednostajności form piśmiennictwa w apostolstwie braci Soluńskich. Obcy duchem, organizacyą społeczną i językiem, nie mającym nic wspólnego z ustrojem wszystkich indoeuropejskich języków, Madiarzy wcisnąwszy się w serce Słowiańszczyzny, rozparłszy i odcisnąwszy obie jéj połowy ku dwóm przeciwległym punktom atrakcyjnym ówczesnéj cywilizacyi, Zachodowi i Wschodowi, spowodowali wyłączne oddziaływanie każdego z tych czynników na odciśniętą ku niemu cząstkę. W tén sposób lechickie plemiona, czeskie i zachodnio-serbskie poddały się parciu i wpływowi latynizmu i germanizmu, pozbawione dobroczynnéj kultury apostołów słowiańskich, natomiast wschodnio-serbskie, bułgarskie i ruskie poszły na łup gnijącego Byzancyum, pozbawione dobroczynnych czynników kultury zachodniéj. Od téj pory nastąpił nietylko przełom i rozdwojenie istniejące dotychczas między obu zbliżonemi do siebie częściami Słowiańszczyzny, ale każda z nich, przyparta odtąd do obcego organizmu zachodniego i wschodniego, zaczęła żyć ich życiem, stała się tylko biernym ich dodatkiem, przejmującym chętnie lub niechętnie ich wyrób cywilizacyjny, a pozbawiona możności wytworzenia z łona swego rodzimych sił żywotnich. Od téj pory powiada Europa, że cywilizacya jej, to cywilizacya pod sztandarem ludów romańskich i germańskich, Słowiańszczyznę zaprzągnięto do ich rydwanów, praca jej ducha skazaną została na bierność, na przyjmowanie inicyatywy i wrażeń zachodnich, a rola jej w dziejach ludzkości ograniczyła się do biernego oddawania téjże ludzkości wyrobów ducha, przetworzonych za tąż obcą łacińsko-germańską inicyatywą. I gdzieś w Rzymie lub w Akwizgranie jako centrach owéj cywilizacyi germańsko-romańskiéj można byłoby postawić pytanie: jaka szkoda wynikłaby dla ludzkości gdyby Słowiańszczyzny nie było? Na to pytanie już dziś odpowiedzieć można i my tę odpowiedź sformułujemy.

Takie to powszechne znaczenie miało rozbicie przez Madiarów słowackiego państwa Świętopełkowego i w spółce z Germanami obalenie apostolstwa Metodowego.

I.

DRAMAT LUDOWY

Z TÉJ I TAMTÉJ STRONY TATR.

(Jasełka—szopki w Słowacyi i Polsce).

Badać dzieje dramatu ludowego lub przedstawiać objawy jego ze stanowiska czy to historyi sztuki, czy historyi literatury, nie wchodzi w zakres niniejszéj pracy i nie może być przedmiotem studyów poświęconych poznaniu kraju ze stanowiska bardziéj ogólnego. Rzecz to oddzielnych monografii, których opracowanie pozostawić należy miejscowym siłom każdego narodu. Nas nęci przedewszystkiém chęć stwierdzenia samego faktu istnienia śladów dramatu ludowego w Słowacyi, chęć poznania twórczości w nim ludowéj, a następnie zestawienia go z takim-że samym objawem u naszego ludu, przeprowadzenia paraleli między jedną a drugą twórczością, a jeśli okaże się możność, to i analogii między niemi.

Jakoż znaleźliśmy się w tém szczęśliwém położeniu, że możemy zupełnie identyczny zestawić materyał z jednéj i drugiéj strony. Z literatury słowackiéj mamy pod ręką t. z. „*Chodenie s Betlehemem na Vianoce*“; z literatury polskiéj „*kolędę*“ krakowską, spisaną w okolicach Kalwaryi przez p. Karola Matyasa, młodego, zdolnego i wielce zamiłowanego w badaniu zwyczajów ludu naszego pisarza, pozostającą jesze w manuskrypcie, a przeto mogącą obudzić tém żywszą ciekawość, że nieznaną dotąd w literaturze naszéj.

Mamy więc przed sobą tu i tam szopkę czyli jasełka, znane dyalogi ludowe, występujące tu jednak w nowéj i bardziéj wykończonéj formie z ekspozycyą sceniczną, o wiele doskonalszą i zupełniejszą, niż w miejskiéj szopce krakowskiéj. Przedstawienia jasełkowe zaczynają się, jak wiadomo, w pierwszych dniach po Bożém narodzeniu i trwają aż do Trzech króli. Przedmiotem głównym i wątkiem, około którego snuje się cała akcya wszystkich jasełkowych przedstawień, a więc i obu powyższych utworów, jest narodzenie Chrystusa. Fakt ten uplastyczniony bywa nie akcyą sceniczną, ale pomocniczą w przygotowanéj już szopce, w któréj umieszczone bywa dzieciątko Jezus, zrobione bądź z papieru, bądź w formie lalki. Ale gdy w słowackiéj szopce oprócz Chrystusa widzimy obok Maryą i Józefa, w polskiéj już ich tam nie ma: ożyły one w prawdziwych, poruszających się ludziach: role obu tych postaci odgrywają żywe osoby, wchodzące w skład całego personelu jasełkowego, — dowód

to już większego wyemancypowania się z pierwotnych ograniczonych warunków szopki, a zbliżania się do istotnych wymagań dramatu. Ztąd i sama akcya staje się bardziéj ożywioną, zamiast niemych dwóch tak ważnych postaci, występują żywe, wypowiadające własnemi słowy i gestykulacyą uczucia i pogląd na świat.

Dzięki temu, cała akcya jest zupełniejszą i wcześniéj się rozpoczyna w polskim niż w słowackim dramacie. W tym ostatnim początek i pierwszą scenę tworzy śpiew anioła, zwiastującego światu narodzenie Zbawiciela; w polskim rzecz się rozpoczyna od popisu ludności za czasów cesarza Augusta, z prologiem na wzór starogrecki, wypowiadającym przez usta jednéj z osób dramatu, a mianowicie sędziego — motywa głównéj akcyi — konieczność narodzenia Odkupiciela za grzechy Adamowe (w słowackim prolog ten zastępuje chóralny śpiew dwuwierszem: „Pan Boh daj večer dobry“....). Właściwy dramat (polski) rozpoczyna się z chwilą, kiedy sędzia cesarski usiadłszy za stołem każe woźnemu przywoływać z kolei różnych popisowych i zbadawszy każdego zajęcie i stan majątku, wciąga do rejestrów i każe płacić podatek. W liczbie innych popisowych zjawia się też i stary Józef z drzącą i stroskaną Maryą, którzy uczyniwszy zadość obowiązkowi cesarskiemu, zaczynają szukać schronienia i noclegu. Noc nadchodzi, zimno się wzmaga, a biednych ludzi wszędzie spotyka odmowa: nikt nie chce ich przyjąć do gospody, któréj nie mają czém opłacić. Po długich poszukiwaniach i wzmagającym się niepokoju Maryi, po słowach pociechy nie mniéj zafrasowanego Józefa, który sam przejęty obawą, z ojcowską troskliwością stara się czuwać nad skarbem swoim — przyszłą matką Chrystusa,—dostrzegają nareszcie pustą szopkę, gdzie z rezygnacyą znajdują upragniony spoczynek.

Akt drugi (pierwszy w słowackim tekście) wprowadza nas pod otwarte niebo, zapewne niedaleko pastwiska, gdzie pastuszkowie, znużeni dziennem czuwaniem i pracą, układają się na ziemi do spoczynku. Zaledwo otulili się w płaszcze góralskie i zaczęli przymykać powieki do snu, zjawia się w białych szatach jasny anioł, z pochodnią w ręku i śpiewem:

w słowackim:

Sem, sem, kresťané, k jasličkam Pane,
Sem pośpiechajte, krála vitajte;
Neb sa narodil, który žiadan byl,
V meste Betleme, v tom tmavom chlieve.

w polskim:

Gloria summa Deo in excelsis
et in terra pax bonae voluntatis.

budzi pasterzy, ogłaszając im wielką nowinę—przyjście i narodzenie się Zbawiciela. Od téj chwili już dalsza akcya jednakowo się rozwija w obu dramatach. Pastuszkowie zbudzeni ze snu, pytają wzajem

siebie, czy który z nich śpiewał, czy głos słyszany pochodził z zewnątrz, czy też od jednego z nich. A gdy każdy się zapiera, wszczyna się między nimi dłuższa rozmowa, powstają z ziemi, żartują wzajem z siebie, piją gorzałkę dla orzeźwienia się i dobrego humoru, lub dodania odwagi, spłoszonéj nocném przywidzeniem. Jakoż spokój i dobry humor wraca, zaczynają żartować z siebie i z pozostałéj w domu rodziny, gdy daje się znów słyszéć po raz wtóry głos anioła:

w słowackim:

Gloria, glorla in excelsis Deo

w polskim:

Glorla summa Deo i t. d. jak wyżéj.

A następnie po raz trzeci:

Vzhúru, pastúši, Kuba, Matuši i Šimo
. . . .
Prečo tak spite a neslyšite zpivani?
Vidzte s pilnosti svetlo radosti nad vami.
(daléj mówi):
Čo sa ma bojite a trápite seba?
Hl'a, velikú radost' prinášam vám z neba
Lebo sa narodil sveta Vykupitel',
Buducich národov od Boha učitel.

Gloria summa Deo i t. d.
(a następnie śpiewa):
Chwała bądź Bogu na wysokiém Niebie,
A ludziom pokój na niskim padole!
Bóg się w człowieczéj narodził osobie,
W Betlejem mieście tam leży w żłobie.

Nareszcie anioł w całéj wspaniałości otoczony światłem promiennêm, zjawia się przed nimi, wzywając, aby natychmiast udali się do sąsiedniego miasteczka Betleem, gdzie w pustéj szopie znajdą w żłobku nowonarodzonego Zbawiciela świata.

Pastuszkowie usłuchali wezwania i w trzecim akcie widzimy już ich w Betleemie, stojących przy żłobku, podziwiających wprawdzie ubóstwo Chrystusa, ale uważających przecie za obowiązek swój odpowiednio przywitać tak wielkiego Pana. Ztąd pewne zafrasowanie, bo chcieliby zwyczajem słowiańskim przywitać go suto i gościnnie, a tu ubóstwo ich samych nie bardzo pozwala być szczodrym. Dobry humor jednak przeważa nad zaambarasowaniem i każdy po kolei przystępując do żłobka, kłania się, całuje dziecinę i po odpowiedniéj oracyi składa mu w ofierze co ma przy sobie, ten chleb, ów sér, trzeci kiełbasę. Nie obeszło się i bez wesołych dodatków. Jak przy pierwszém przebudzeniu się śpiewem anioła, muzyką starali się pastuszkowie rozweselić i wlać w serca otuchę przed rzekomym strachem, tak tembardziéj teraz zobaczywszy zapowiedzianego Chrystusa, zagrali mu wesołego góralskiego tańca i nawet przetańcowali przy nim.

Uszczęśliwiony Józef i Marya tak niespodzianą a wesołą wizytą, dziękują poczciwym ludziom za odwiedziny i obiecują im za to, że Chrystus będzie na nich łaskawy:

Marya.

O szczęśliwi pasterze i nader szczęśliwi,
Coście nas nawiedzili w tym ubogim chlewie,
Szczęśliwie witaliście syna mego,
Którego mieć będziecie na się łaskawego.

Józef.

Z przywitania waszego wielce się cieszymy
I za podarunki wasze także dziękujemy.
Już się nie starajcie o dobytki wasze,
Będą zachowane bez (przez) przyczyny nasze.

Gdyby więc nie te dodatkowe przemawiające postaci Józefa i Maryi, gdyby nie odmienny początek polskiego dramatu — można byłoby oba utwory uważać za zupełnie analogicze, a nawet identyczne, a słowacki za fragment takiéj saméj całości, jakby tylko nadwerężonéj i gdzieś w pewnéj części zagubionéj. I być bardzo może, że jak teraźniejszy polski tekst dopiero teraz się odszukał jako zupełniejszy od dotychczas znanych, tak téż i w Słowacyi istnieją jakie nieznane zbieraczom fragmenta, mogące uzupełnić podany powyżéj. Tak jak jest obecnie, przy zestawieniu go z polskim, wybornie charakteryzuje stopniowe rozwijanie się i możliwość dalszego rozwoju dramatu ludowego. Ten początek o popisie ludności i sceny dalsze z dyalogów Józefa i Maryi są wtrętami tak jednak dającemi się usunąć lub włączyć do całości, że akcya sama nic nie traci na organiczności, na myśli przewodniéj, jeno się bardziéj wypełnia, zaokrągla, rozwija, więcéj nabiera żywiołu scenicznego i dramatycznego.

Podobieństwo w pozostałych waryantach między obu utworami jest tak wielkie, że nie tylko tu i tam wchodzą takie same prawie osoby, nie tylko niektóre z nich mają wspólne i jednakie nazwy, ale nawet przy jednakim układzie i następstwie sceny posługują się analogicznemi obrazami w swych przemowach i nawet wyrażeń jednakowych dobierają.

Gdyby nawet nie treść biblijna i sam obchód szopek przypadający w święto katolickie, to wyrażenia tu i owdzie, jak np. łaciński śpiew anioła, zdradzają nie tylko pierwotne pochodzenie kościelne i to kościoła katolickiego téj misteryi, ale wskazują, że pierwotne opracowanie, albo przynajmniéj znaczna część współpracownictwa była pochodzenia refektarzowego, albo z pod pióra jakiego organisty. To téż i budowa dramatyczna obu utworów — bardzo pierwotna — zastosowaną być musiała do gotowéj już fabuły biblijnéj; chociaż znać tu i samodzielną twórczość w usiłowaniu wydobycia efektów, nie zupełnie w duchu wulgaty, lecz w stosunku do niéj charakteru bardziéj apokryficznego, więcéj dającego swobody fantazyi

twórczéj. Dość tu przytoczyć swobodną pogadankę pastuszków między sobą, ich raczenie się, muzykę, albo np. następujący w tekście polskim dyalog między Dametą, odmawiającym noclegu, a Maryą ubolewającą nad tą odmową:

DAMETA.

Miejsca tu u nas niema, bo mi zakazano,
Aby tu podróżnych nie noclegowano,
Bo widzę bracie (*do Józefa*) po tobie, żeś w latach dojrzały,
Chodzis z taką młodą, jak sam co młodego,—
Nie będę was noclegować, daléj ztąd wędrujcie,
A tam sobie za miastem zgoła nocnik opatrujcie.

MARYA.

A mój miły Józefie, cóż teraz poczniemy
I gdzież my się ubodzy ludzie podziejemy?
I jak surowo postąpił i z jaką furyą!
Natenczas ja rozumiała, że nas już ubije,
Że nas bezbożni ludzie nie chcą przenocować,
A ten to srogi mróz już przyjdzie skosztować.

Mniéj w tym dyalogu już rygoryzmu kościelnego, a więcéj świeckiego wylewu uczuć ludzkich, obrachowanych widocznie na efekt, poruszających te struny uczucia ludzkiego, które dostępne są każdemu człowiekowi codziennie.

Toż samo ludzkie, poufałe traktowanie postaci religijnych widzimy w zachowaniu się pastuszków w Betleemie przy żłobie, dokąd idąc — w słowackim tekście — pastuszkowie nie pod wrażeniem suchego strachu lub etykiety religijnéj, lecz kierowani uczuciem litości i miłości dla dziecka przestrzegają siebie wzajemnie:

Nuž my tedy, pastuškovia, do Betlema pod'me,
pomalučky, po tichučky Ježiska ne zbud'me.

A przyszedłszy tam, jeden z nich (Kuba)—w polskim tekście—zwraca się bez ceremonii do Józefa i z litośném zadziwieniem a naiwnością woła:

Owo li go tu macie w ty carny odziezy!

a następnie wprost poufale pyta tegoż Józefa:

Pytam się was, Panocku, gdzie syn Bozy lezy?

a gdy Józef wskazuje:

Oto leży w żłobie,—

Kuba nie dowierza:

Bie jacy, Panocku, a któż go tam położył?

Oryginalność i samodzielność widzimy—jak już nadmieniliśmy—w użyciu muzyki i tańców, które zgoła wyklucza fabuła biblijna, oraz wprowadzenia do akcyi oprócz trzech pasterzy (w polskim tek-

ście Dameta, Matys, Kuba; w słowackim: Bača, Stacho, Fedor) jeszcze czwartą istotę, która jako Kuba występuje w tekście słowackim, jako coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem w rodzaju satyra greckiego. Nazywają go starym psem (1), a on sam o sobie powiada, że ma głowę po wszystkich szkołach wyćwiczoną i samym papierem napchaną; przemawia grubym głosem, rej wodzi w śpiewie, ma długi na wywrót włosami kożuch, starą wywróconą czapkę na głowie, brodę długą, a twarz poczernioną.

Postacią i zachowaniem się swojem przypomina on kozła z kolend ukraińskich i w ogóle małoruskich, albo też samą istotę z „Gwiazdy“ krakowskiéj, ale dźwięk i charakter śpiewu jego zostaje w pewnéj analogii ze śpiewem Matysa z polskiego niniejszego tekstu, Matysa, który w braku oddzielnéj istoty satyrycznego pierwiastka, jaki w słowackim tekście wyobraża Kuba, widocznie część (2) roli jego przyjął na siebie, jest tak samo starym (3), wié o wszystkiém, bo się ocierał po świecie, skory do wszystkiego, ma tenże humor i ten sam gust do napojów, a podchmieliwszy sobie (dla nabrania fantazyi po strachu, wywołanym pieśnią budzącego pasterzy anioła), śpiewa:

Zonko moja, zonko! zebyś ty wiedziała,
Ze ja piuł gozałke, tobyś ty łajała!
Taditąm! taditąm! taditąm!

Kuba w słowackim tekście z tegoż samego powodu podchmieliwszy, śpiewa jowialnie:

Na husličkach jujuju,
A na gajdách dududu:
Hajdom, haj dom, tidlidom,
hajdom, hajdom, tidlidom.

Przygrywka w obu pieśniach widocznie ta sama gardłowo-nosowa, nieco nadwątlona w słowackiéj pieśni utratą dźwięków nosowych, ale nosząca ten sam, a nawet w wyższym stopniu niż w polskim tekście charakter pastoralny fujarki pastuszéj.

Dla przeprowadzenia dalszéj analogii i różnicy między Kubą słowackim, a Matysem polskim, tudzież dla mocniejszego zarysowa-

---

(1) „Či ho znaš ty, *stary* pes?“—pyta Bacza Kubę o anioła.

(2) Drugą część roli tj. doświadczenie i mądrość astrologiczną ma w polskim tekście także Kuba, którego Matys nazywa *prandykazem*, tj. praktykarzem, znającym się na niebie i zjawiskach natury (Matyas).

(3) Matys polski, ganiąc ociężałość młodszych kolegów, wzdragających się tańczyć przed Jezusem, sam siebie nazywa starym i tak powiada:

„Ej cyt, cyt, prostaku! a widzis mnie najbardzi *starego*,
A kto wié, jeśli nie wyskocę lá pana takiego.“

nia charakteru narodowego w obu utworach, przytoczę pieśni i słowa. wypowiedziane przez jednych i drugich pastuszków przy żłobku podczas składania przez nich podarków Jezusowi. W słowackim tekście przy téj sposobności Kuba mityguje wszystkich, a sam przy składaniu darów trzyma się na uboczu tak, że go trzeba skłaniać ku temu; w polskim tekście Matys także mityguje, wypycha naprzód do grania i tańców, a w końcu także mimo ociągania się i sam składa dary. Wszyscy tak przemawiają:

W słowackim.

FEDOR podchodzi do szopki i klęka na jedno kolano:

Nu, ja Fedorik, bystrý paholik,
Oferujem tebe také jabl̆čko,
ako tvoje srdiečko:
Vezmi si a hryz!
STACHO to samo czyni:
A ja tebe oferujem hrozna za košíček,
ešte k tomu mādu hrnčiček,
ešte k tomu takú klbásu,
čo tá trikrát' nou opášu:
Vezmi si a hryz!
BAČA to samo czyni:
A ja tebe oferujem takého barana,
čo ho nezješ od večera do rana,
k temu ešte jednu hrudu syra,
aby teba vychovala tvoja matka mila
Vezmi si a hryz!

W polskim.

Kiedy Józef na zapytanie—kto dzieciątko Jezusa położył w tak ubogim żłobie, odpowiada, że sam się tak uniżył.

DAMETA.
Toć go tsa psywitać, tsa było co darować
Tsa było sie nam, jacy dobze psygotować,
a myśmy wybiegli jak z lasu jakiego,
nimamy nic w kobieli lá Pana takiego!
MATYS.
Nie taki on to Pan, jak nasi byli psodkowie
aby miał co potsebować,
Jest on Bogiem: co das to das, tem się
będzie kontentować
(klęka przed szopką, w której leży dzieciątko Jezus)
Ach witajze, psewitajze Paniątecko! zbawicielu świata
A cegoz się docekały moje siwe lata,
Gdy patsemy na Boga nowo zrodzonego,
Który nas ma wybawić z mocy carta złego
Ale słys! słys! mam tu watecek syra, mam
tyz i spyrecke
A bądź na mnie łaskawy, ba i na tsodecke
Od wilków leśnych, aby mi nie cyniły skody-nijakie
niek ik tam wezmie niescęscie wselakie.
Mój dziadek nieboscyk—Boże mu tam bądź miłościwy!
to się i dziewięciu wilków nie bał,
choć był stary i siwy.
DAMETA: Twardy był...
MATYS: Ale ty takim nie będzies...
Psyniesę ci tyż co więcy, jak po drugi raz psyde,
bo ja nie rad do Pana s próznom rękom ide
Tylko zaźre do swoje, co się to s niom dzieje
Chora mi była, mała ji nadzieja.

Radże mi je uzdrowić, prose Cię jak Pana,
a jak po drugi ras psyde, psyniese ci tlustego
[barana.

Dameta (*klęka*):

Ja ubogi Dameta, najlichsa chłopina,
Abym miał, tobym dał choć samego wina,
Ale my ta nieboze o niem nie slychamy,
Tylko sie po kapecce gozałecki napijamy.
Mam sam jesce kapitek, cośmy nie wypili,
cośmy sie na halu psy tsodzie bawili;
aleć ten kapitek, nic to na młodego,
tylko pocestuję ś nią tego starego.

(*do Józefa*)

Ráccie sie tem pocestować, abo se schowajcie
a jak po drugi rás psyde, flaske mi oddajcie.
Mám tyz jesce kiełbasę i kasę—kiełbasę to
[sami zjédźcie
a kasę to małemu schowajcie,
bo to Panu memu! byście to kędy nie podzieli!
Nie wymawiám, com dál, tom dál—a bądź na
[mnie łaskawy,
a psyjmij mnie do nieba, bo ja prostak cały!

Kuba (*klęka*) (trzymając ochtabkę czyli skrzypki pasterskie w ręku):

Ja ubogi pastusek, ze wszyćkich najmizer-
[niejsy,
opuściłem owiecki psy dolinie ksewisty,
atoli zeby cie, dziecino, w ty sopie uciesyć,

(*śpiewa*)

Pásál já se owiecki psy dolinie, psy dolinie,
ozleciały mi sie po ksewinie, po ksewinie—
taditąm! taditąm! taditąm!
Darować ci ik tseba jako ubogiemu.
ale mnie tyz bida dojmuje samemu,
weźnico który gras za nic, dzicie ulubiane
ale wpsód lá zwycaju smyka nasmaruję,
a jak po drugi rás psyde— zywnoć ci daruję

Jak wieje tu na wskróś ten sam charakter kantyczkowy, znany nam skądinąd, którego wdzięk, swojskość i prostota nasza rodzima mogła się tak serdecznie zarysować na tle tradycyi religijnej, że jak z jednéj strony stanowi czar dla ludu samego, tak téż zdołała zachwycać takich ludzi jak Mickiewicz, upatrujących w nich niezrównane piękno i ten charakter odrębny, którego nie zobaczycie po za obrębem chaty polskiéj, chaty słowiańskiéj.

Nie wiadomo, co tu więcéj podziwiać—czy prostotę i naiwność, czy rzewność i serdeczność, czy uczucie i realizm, czy naresz-

cie udatne połączenie tendencyi kościelnéj z apokryfizmem i charakterem starogreckim, nadającym własności ludzkie bogom.

W tekście słowackim widzę delikatną poetyckim urokiem owianą obrazowość z iście słowiańskim jowializmem. Gdy Fedor ofiaruje Jezusowi takie piękne jabłuszka, jako dzieciny (1) serduszko, a Bacza, cieplejszém, ojcowskiém uczuciem przejęty, troska się o to tylko, aby Chrystus dobrze się wychował i ofiaruje mu oszczepek séra, aby nim Chrystusa wychowała matka miła,—to zamożniejszy i zadowolony z siebie Stacho nie zadawalnia się koszyczkiem winogrona, garnuszkiem miodu, ale mu daje nad to tak wielką kiełbasę, że się nią Chrystus może trzykrotnie opasać. Jakbym widział przy tych słowach wesoły uśmiech zadowolenia na twarzy ofiarującego, że tak potrafił zakasować swych towarzyszy i zadowolnić samego Pana Boga: vezmi si a hryz—powiada—masz co jeść.

W teście polskim również sporo poetyckiego nastroju w obrazach, dość wdzięku i takiż skok gwałtowny do jowialności, a rzewność i serdeczność przepysznie przeplata się humorem i poufałością krakowską, ciepło uczucia rozwagą i szczerością. Matys wié już—kto jest Pan Bóg i jak mu ksiądz przykazał—zaczyna się zachwycać dzieciną i niemal już utonął cały w téj kontemplacyi religijnéj, ale będąc zarazem praktycznym, wié, że to nie wiele pomoże głodnemu Chrystusowi, przypomina więc sobie, że ma gdzieś kawałek séra i szpérkę,—chętnie więc to składa w ofierze, ale teraz chce pamiętać i o sobie, targuje się z Chrystusem i napomina go, aby zato nie zapomniał o nim, był na niego łaskawy i baczył na to, aby mu wilki nie czyniły szkody w trzodzie; a jak po raz wtóry przyjdzie, to już więcéj darów przyniesie.

Bogaty Stacho słowacki, mając z tamtéj strony Tatr winnice, mógł Chrystusowi ofiarować winogrona, ale Dameta polski nie ma wina, jeno gorzałkę, a gorzałka szkodzi dzieciom, częstuje więc nią starego a ziębniętego Józefa, ale również praktyczny jak Matys, napomina go, aby flaszki nie zapomniał mu oddać, a tymczasem daje mu po wódce zakąsić kiełbasą, która również może szkodzić dziecku Chrystusowi i za to pozwala mu zjeść kaszę, pilnując aby nią Józef nakarmił dziecinę w rzeczy saméj, a sam nie zjadł. Daje to dość serdecznie, nawet nie wypomina co dał, to dał, ale także poleca się, względom Chrystusa.

Kuba to już nic nie ma, bo jemu samemu biéda dojmuje. Czyżby jednak miał pozostać w tyle za innymi? Gdzie tam. Wszak ma

---

(1) Podług innych waryantów, porównywa je do własnego serca: „jako *mé* srdiečko.“

skrzypce. A kiedy biéda, to hoc. Dalejże po krakowsku Chrystusowi zagra od ucha.

Ten ton, że tak powiem fujarkowy, pasterski. połączony z tą niehamowaną niczém swobodą kantyczkową, która potrafiła ożywić suchą legendę biblijną i w zupełności nad nią zapanować, stanowi cały urok, świeżość i wdzięk tych kreacyi ludowych, nie wyczerpuje jednak w zupełności ich znaczenia. Byłaby to tylko wielka zaleta artystyczna, świadcząca o bujnéj fantazyi autorów, a względnie ludu naszego. Co jednak nadaje im znaczenie głębsze, społeczne. wybiegające po za ramy artyzmu, znaczenie niemal polityczne, a w każdym razie narodowe, to ten koloryt miejscowy szopki, który nie tylko zabarwia cały ten obraz jasełkowy, ale przenika go na wskroś, każdéj postaci nadaje wyraźnie piętno rodzime i całą scenerye otacza tak głęboką atmosferą swojską, że ona pochłania w zupełności tło i fabułę obcą, które w niéj toną i przetwarzają się całkowicie na nasze własne typy, charaktery, sytuacye, podług naszych pojęć, uczuć, wyobrażeń. Szopka polska wcale się nie troszczy o to, jak wyglądali pastuszkowie palestyńscy, ona wié tylko, że istnieją górale tatrzańscy, będący pastuchami specyalnymi, przebiera więc ich po góralsku i każe im mówić, żyć i poruszać się po góralsku. Szopka słowacka nawet tego nie potrzebowała. Powstała ona widocznie na południowym stoku Tatr, w sercu kraju pasterskiego,—pastuchów słowackich nie potrzebowała ich przyodziewać w strój odrębny; stanęli oni w tych strojach, w jakich chodzą, i już są gotowymi aktorami, ale oczywiście na zakrój i w duchu rodzimym. O tak, przedewszystkiém rodzimym. Stoją oni w koło i trzymając toporki czyli „osekance“ nad głowami, tańczą swój „odzemak“ zupełnie tak samo jak polscy górale swego „zbójeckiego“. A jak w każdym ich ruchu, tak też i w każdém słowie widać tu Słowaka lub naszego podhalanina, albo krakowiaka. Co więcéj—nawet w tych scenach i postaciach, które są zaledwo z lekka naszkicowane, widać charakter swojski i to nawet w głębszém znaczeniu, bo narodowy, jak np. ów rys delikatności i skromności natury słowackiéj, przejawiający się w tém ostrożném, cichem stąpaniu, kiedy zbliżają się do żłobka, aby Jezusa nie zbudzić; albo ów żałośny lament Maryi, pozbawionéj dachu i w omdleniu spuszczającéj się całkiem na opiekę mężką; to jéj podziękowanie pełne uprzejmości, rzewnego uczucia, a jednocześnie protekcyjności, właściwéj niewieście polskiéj.

Otóż ten to kolory miejscowy, ta siła pochłaniania obcych żywiołów i zdolność zupełnego, organicznego przetwarzania ich na własne, swojskie żywioły jest właśnie ową siłą asymilującą w życiu polityczném, którą w wysokim stopniu posiadamy w szczególności, a i po-

siada ją każde plemię słowiańskie jako naród, siłą, która zapewnia im żywotność, wzmaga opór obcym, choćby nawet wyższym co do kultury nad niemi narodom, bo je nagina do siebie i asymiluje je ze swoją naturą.

Właściwość ta rasy słowiańskiéj, czyniąc ją twardą do przyjmowania obcych pojęć, utrudniała zarazem wszelkie zaszczepianie idei cywilizacyjnych Zachodu, wskutek czego powierzchowni badacze nazwali i nazywają nas barbarzyńcami. Powiadam — powierzchowni, nie znający warunków rzetelnéj kultury. Bo owa zdolność utrudnia wnikanie obcych pojęć, ale nie uniemożliwia. Wręcz przeciwnie — właściwość powyższa poucza nas, że jesteśmy przystępni wszelkim pojęciom, ale potrzeba, aby one wciskały się do nas nie w obcéj, ale swojskiéj formie, zgodnie z naszemi obyczajami i warunkami naszego życia; poucza nas, że nie jesteśmy ślepymi naśladowcami, że jeśli surowa masa ludowa zdoła abstrakcyjne nawet pojęcia religijne i nauki kościoła powszechnego przyswoić sobie i tak je sprzęgnąć z warunkami własnego życia, tak oblać atmosferą własną, jak to czyni w kantyczkach i w jasełkach (1), to témbardziéj naród, jako siła wyższa, zdolny jest nie tylko sobie przyswoić obce pojęcia, ale i zapanować nad niemi, własną twórczością przetworzyć je w niemal oryginalne i odpowiadające własnym pojęciom lub warunkom życia.

Wracając do artystycznego znaczenia mocnych barw kolorytu miejscowego, jużci o wiele łatwiéj spotkać się z zarzutem, że taki koloryt przeczy ścisłéj przedmiotowości pierwotnéj barwy dramatu. Betleem szopki słowackiéj i polskiéj wcale nie jest Betleemem palestyńskim, a jéj bohaterowie nie mają nic wspólnego z bohaterami hebrajskimi. Ale zarzut taki, w niczém nie uwłacza sile dramatycznéj i właściwościom dramatu. Czyż Juliusz Szekspira jest cezarem rzymskim, a Marya Stuart Schillera lub Słowackiego—istotnie kobietą szkocką? A mimo to, są to utwory genialne i w wysokim stopniu dramatyczne. Historya i etnografia nie są czynnikami pierwszego planu w dramacie. I gdyby to miał być istotnie zarzut, zasługujący na uwagę, to go sowicie opłaciły obie szopki jedną zaletą o wiele wyższą od owego warunku, o wiele głębszą i bardziéj życiową,— a mianowicie realizmem, tą prawdą psychiczną, życiową, która czy

(1) W słowackim tekście jasełek widać niekiedy mniejsze, to znów większe jeszcze wyemancypowanie się żywiołów miejscowych z pod legendy biblijnéj i nauki kościoła katolickiego niż w polskim, jak np. skromniejsze użycie łaciny, silnie zamarkowane charaktery góralskie—mimo skąpstwa tekstu w porównaniu z bogactwem polskiego, gdzie większą w ten sposób miano możność rozwinąć indywidualizm każdéj postaci.

to w troskliwości Słowaka o wychowaniu dziecka („...oferujem k tomu ešte jednu hrudu syra, aby teba vychovala tvoja matka mila“); czy w chlubie Polaka z odwagi przodków („Mój dziadek nieboszczyk—Boże mu tam bądź miłościwy! — to się i dziewięciu wilków nie bał, choć był stary i siwy“); czy nareszcie wogóle w tém zmodernizowaniu i zlokalizowaniu akcyi na terenie ojczystym wszędzie występuje, potęgując się z niezrównaną siłą w akcyi przynoszenia ofiar dzieciątku w żłobie, ofiar, przy których warunki życia codziennego, pojęte realnie a z ciepłem uczucia, pozostawiają daleko za sobą wszelką mglistość i ckliwą sentymentalność legendy kościelnéj (1). Realizm ten o wiele bardziéj nabiera interesu, że nie jest bezbarwnym i monotonnym, lecz pełnym rozmaitości, naginającym się do wymagań indywidualizmu każdéj z osobna występującéj postaci w jasełkach. Chociaż bez wykończenia artystycznego, widać tu choć szkicowo zarysowaną rozmaitość osób. Matys jest innym niż Dameta i Kuba, tak samo jak dostrzedz można pewną różnicę w usposobieniu i charakterach między Fedorem i Stachem, a Baczą lub Kubą.

Ja inny zarzut podniosę — o wiele istotniejszy — zarzut co do pierwiastku tragicznego. By jednak ocenić ten zarzut, popatrzmy jeszcze na jednę właściwość tych szopek, właściwość rodzimą naszéj twórczości — humor i jowialność. Przejawiają się one nie tylko w ogólnym tonie wesołym, w radośnych śpiewach i w tańcu, bo to leży i w zakresie saméj fabuły biblijnéj, zalecającéj wesołość przy akcie radośnym narodzenia Zbawiciela świata, chociaż w samym charakterze téj wesołości widać przedewszystkiém koloryt miejscowy: wszędzie śpiewy słowackie lub polskie trzymane są w tonie czysto miejscowym tak co do słów jak melodyi, a taniec góralski wyłącznie typowy — nosi znamie lokalne. Ale humorem tym, i to czysto rodzimym, przejęte są na wskróś charaktery osób pojedyńczych. To obdarowanie małego Chrystusa kiełbasą takiéj długości, że się nią trzykrotnie opasze, albo baranem, którego nie zje od wieczora do rana — ma w sobie ten jowialny, rubaszny, iście słowiański charakter, którego gdzie indziéj nie spotkać, a który w pewnych ustę-

(1) Kuba dla pociechy dzieciny śpiewa: „Pásał já se owiecki psy dolinie, psy dolinie“ i t. d. Zdawałoby się, że utonie w zapomnieniu téj pieśni. Ale nie—przypomina sobie, że samą pieśnią nie ucieszy, nie utuli, nie nakarmi dzieciątka, że wszak przybył do niego, aby mu jaki dar złożyć, więc przerywa piosnkę i w dobroci serca wola serdecznie, spozierając zapewne na skrzypce: „Darować ci ik tseba jako ubogiemu.“ Wnet jednak i ten wylew uczucia, uczuwszy własne ubóstwo, zniża ton jego o kilka skali i rzuca jakby przypadkową skargę: „ale mnie tyz bida dojmuje samemu“—i znów wraca do spółczucia dla dzieciny: „weźnies który gros za nie, dzicie ulubione.“

pach, zwłaszcza polskiego tekstu, dochodzi do przepysznych wybuchów krakowskiego humoru, jak np. w następującym ustępie, kiedy Matys zagrzewa Kubę do grania Chrystusowi, a Dametę do tańca.

DAMETA.

Ej, s kiemze? cy sam bede skakał?
Dyćby ja sie wpsód, nizli to dzicie, rozpłakał.
Choćbym wzlon Matuchne Paniątecka, boję się, dam ji spokój,
[bo widze, ze schozała,
Skocmyz, Matysku, społem by nas nie złajała.

Mało więc brakowało, aby góral polski nie wziął do obertasa Matkę Boską. Na to się zdobędzie tylko krakowiak.

Co więcéj, ton ten wesoły, żartobliwy nawet, występuje epizodycznie wśród momentów dość poważnych, a tak znienacka ucinkowo i docinkowo, że zgorszyłby estetyka niemieckiego.

Kiedy Fedor w tekście słowackim wyśpiewuje znużenie swoje przy pasaniu i przyznaje się, że wobec tego znużenia, gotów choćby zostać zbójem, a Stacho namawia go do przygotowania się ku temu, Fedor pyta dokąd ma się udać, czy do powiatu: „Azda na stolicu?“ Stacho: „Nie! ale na vysoku šibenicu.“

Albo w tekście polskim, kiedy Matys w rozczuleniu poleca się łasce dzieciątka Bożego i prosi je o opiekę nad swojém stadem od wilków, a przy téj sposobności przypomina odwagę dziadka, który się nie bał i dziewięciu wilków, Dameta z uroczystą powagą przerywa mu: „Twardy był!...“ Matys wnet mu się odcina: „Ale ty takim nie będzies....“

To są niemal szekspirowskie rysy, rozsiane jak perły po całéj téj kreacyi ludowéj i takie też istotnie miałyby znaczenie, gdyby budowa dramatu była bardziéj wykończona i gdyby architektonika jego była konsekwentnie przeprowadzona w stylu poważnego dramatu, gdyby momenta wysoce dramatyczne rozwinięte były w sytuacyi i w charakterach do wysokości wymaganéj od tego rodzaju utworów. Tak jednak nie jest. Twórczość ludowa słowiańska wogóle, a jak w tym wypadku słowacka i polska, nie wykazała ani materyału, ani zdolności opracowania go w stylu tragicznym lub dramatycznym. Natomiast ogromna przewaga pierwiastku komicznego uprawnia do mniemania, że twórczość ludowa słowiańska z wielką korzyścią zużytkowana być może dla komedyi i ten rodzaj dramatu mógłby się rozwinąć w szérszych rozmiarach wśród mas ludowych; a w każdym razie zasoby w téj mierze nagromadzone wśród ludu mogłyby, jak w swoim czasie pieśni ludowe odrodziły poezyę liryczną i epiczną --- odrodzić dramat nasz.

Jan Grzegorzewski.





PODOLE STAROŻYTNE.

PRZED WCIELENIEM ONEGO DO BYŁÉJ RZECZYPOSPOLITÉJ.

Oczerk izwiestij o Podolskoj ziemle do 1434 goda. N. Mołczanowskaho. Kijów 1885.

W zakresie prac historyograficznych nad zamierzchłą przeszłością staréj Rzpltéj przechodzimy dziś dobę rozjaśnienia źródeł i układania zaledwie monografii. Na szérokie wyczerpujące uogólnienia jeszcze czas nie przyszedł—daleko nam jeszcze do tego! Wśród monografii zaś niepoślednie muszą zajmować miejsce i dzieje pojedynczych krain oraz ludów wchodzących w skład Rzpltéj. Badania w tym kierunku bardzo ożywione: każdy rok prawie przynosi nam sporą wiązankę z tego pola pracy.

Od pewnego czasu stają w obec nas coraz poważniéj, szczególnie w dziedzinie przeszłości południowych ziem ruskich, i badacze kijowscy po rosyjsku piszący. Jako najświeższa z prac tego rodzaju słusznie zasługuje na pilniejszą naszą uwagę monografia młodego adepta źródłowych badań dziejowych nad starą Rusią, p. N. Mołczanowskiego, pod tyt. „Zarys wiadomości o Ziemi Podolskiéj do 1434 r.", wydana w r. przeszłym w Kijowie a opracowana „przeważnie podług latopisów," oraz innych materyałów, na ile takowe zgromadzić się dały.

W naszém piśmie (p. Aten. 1880 II. 526 i III, 87, 328) zamieściliśmy już przed paru laty zarys stanu Podola u schyłku wieku XV-go, do jakiego to zarysu upoważniły nas skromne wprawdzie, lecz dosyć ciekawe ułamki archiwalne. Od pół wieku z górą było już Podole województwem, integralną częścią Korony, wywalczoną na Litwie, nabytkiem tém cenniejszym, o ile z tą samą prawie łatwością co „wyższa" Ruś czerwona z Małopolską gniazdową, biało-chrobac-

ką asymilującym się. Bardzo to interesujący a poważnéj doniosłości w następstwach etnologiczny fakt dziejowy. Dotknęliśmy byli pobieżnie pierwotnych źródeł onego w naszym zarysie. Widać było ztamtąd naocznie, na ile i zmienne koleje ogólnego rozwoju zajmującéj nas krainy, w epokach życia jéj poprzednich, od chwili jak dalego pamięć dziejów sięga, byłyby zaciekawiające. Tém więc chętniéj zwracamy się i my ku tym odległym czasom, ile że w zarysie p. M-go spotkamy niejeden promień obiektywnego zapatrywania się na rzeczy, opartego na krytycznèm rozważeniu rozproszonych po latopisach faktów. Najpilniejsza zaś poprzednia ocena i—gdyby się tak powiedziéć dało,—niewzruszone umocowanie samych faktów są tu pierwszorzędniéj wagi, by wybrnąć z chaosu luźnych wzmianek i oderwanych podań.

Sama nazwa „Podola“ nie jest dostatecznie określoną i ograniczoną. Wielce ona rozciągliwa, stosowana względnie do epoki do mniéj lub więcéj przestronnego obszaru ziemi, podobnie jak nazwy Podlasze (Podlasie), Wołyń, Ukraina itp. W rozleglejszém znaczeniu rozumiano przez nią całą krainę spływającą z biegiem Dniestru i Bohu od rubieży Rusi czerwonéj aż nieraz do morza; a więc nie, tylko wyższą dzielnicę—kamieniecką, lecz zarazem bezbrzeżną Bracławszczyznę. W ściślejszém zaś—tylko właściwe Podole, bez Pobereża i średniego Poboża. Ustaliło nazwę tę dla określonego już pewnemi granicami terytoryum dopiero utworzenie województwa (podolskiego). Do tego czasu miała ona znaczenie obszerniejsze, bardziéj topograficzne i historyczne doraźnie bez wagi ścisłéj, urzędowéj. I w takiém znaczeniu właśnie bierze ją p. M. w swojéj pracy, stosując onę zarówno do dzielnic kamienieckiéj jak i bracławskiéj. Ma to wprawdzie pewne poważne uzasadnienie: takiéj rozciągłości „Ziemia Podolska“ dostała się po Tatarach Litwie, takież obszary napewno rozumie pod mianem „Podolskie krainy“ M. Bielski, przy okolicznościowéj wskazówce z r. 1403. Może téż istotnie i najodpowiedniéj było traktować razem obie te dzielnice, póki się miało do czynienia z epoką, do r. 1434, poczynając od prastarych Tywerców, całe podniestrze ogarniających. Ale naprawdę, dzielnice te tak są różne między sobą—pod względem geograficznym, historycznym, etnologicznym, ekonomicznym, kulturowym, że przedstawiają wciąż chyba przeciwieństwa tylko, nie zaś odłamy jednorodnéj natury. Jeśli bowiem Bracławszczyzna (Średnie Poboże z Pobereżem) ma być uważaną za dzielnicę podolską, to jedynie jako podolska „ukraina,“ podobnie jak potém stała się ukrainą wołyńską, nim ją pamiętny r. 1569 nie usamoistnił w postaci odrębnego województwa. Widać téż i u p. M-go konieczność robienia nieuniknionych wyróżnień, nawet

w traktowanéj przezeń epoce do 1434, przy każdéj okoliczności potrącania o fakta dotyczące kresów stepowych. My zaś tém bardziéj przez „Podole starożytne“ rozumiéć podawnemu (p. Aten. 1880) będziemy przedewszystkiém dzielnicę zamienioną późniéj na województwo tego nazwiska, gdy przez takie ograniczenie się zdobędziemy możność wyrazistszego oznaczenia właściwego charakteru życia przeszłości badanego przez nas kraju, przy potrącaniu tylko nawiasowém jego ukrainy.

Przejdźmyż do samych dziejów.

Kraina, która otrzymała z czasem nazwę „Ziemi Podolskiéj“ czy Podola w obszerniejszém znaczeniu, w pierwszéj dobie powstawania i rozrostu Rurykowskiéj ludów rzeszy stoi długo, w sposób zupełnie niewytłómaczony, prawie na uboczu. Widocznie od Kijowa nie zależy: latopis pierwotny Rusi jakby ją pomija. W połowie XII w. dają się spotykać w latopisie halicko-wlodzimirskim wzmianki o kilku jéj miejscowościach; świadczą one tém nie mniéj o luźnym tylko stosunku z resztą południowéj Rusi. Nie inaczéj się dzieje nawet przy potężnym Danielu „królu ruskim,“ po śmierci którego zawisa nad tą ziemią bezpośrednie a mało również co do swéj istoty znane, Tatarów zwierzchnictwo. Dopiero w drugiéj połowie XIV w. zetknięcie się z rosnącą od północy potęgą Litwy uwydatnia się na dorzeczach Dniestru i Bohu pewien do jakiegoś stopnia zaokrąglony organizm polityczny, noszący już nazwę „ziemi podolskiéj,“ powstałą widocznie w epoce panowania tatarskiego i obejmującą cały obszar ten bezpośrednio hordzie podwładny.

Kogo tu przecie zastali, z kim się zetknęli Rusowie przy pierwszém wytężeniu sił swych z Kijowa ku Karpatom i Dunajowi? Kto im tu czoło mógł stawić, czy uledz ich przemocy? Otóż Nestor wskazuje na Tywerców, plemie potężne, co się rozsiadło po całém dorzeczu Dniestru „aż do morza“ w licznych „grodach.“ Kolo nich zaś siedzieli gdzieś zagadkowi dotąd Uhlicze. Walczą Tywercy obok Rusów, lecz czy im ulegli—wątpliwa: w wyprawie Olega na Greków występują tylko jako ich sprzymierzeńcy („tołkowiny“). Ostatni raz nazwa ich wspomniana w 944 r. Potém znika na zawsze z widowni dziejów. Wskutek jakich przeobrażeń miejscowych?—ani śladu nigdzie. Czy wypierają ich ku północy i zachodowi Pieczyngi, Połowcy, a plemienna nazwa ginie w mianie ogólném Rusi?—bardzo możliwe.

Najprawdopodobniéj cofnięcie się przypuszczalne Tywerców od strony morza i stepów w górę po Dniestrze i Bohu w taki sposób było spowodowane przez uderzający coraz mocniejszemi falami napór ludów szczepu turskiego (tjurk), w jaki to się stało u schyłku X-go

wieku na sąsiedniém Podnieprzu polańskiém, na kresach Rosi i Trubeży. Tam na Porosiu i Posulu osadnictwo rolne słowiańskie, wzmagające się doraźnie przy każdéj sprzyjającéj okoliczności, często i potém było zmywaném bez śladu, a właściwa granica księstwa kijowskiego—„ruskiéj ziemi“ wtedy *per excellenciam*—nie przekraczała z téj strony nieraz dorzecza tak bliskiéj od stołecznego grodu wielkich książąt Stuhny. Fale zaś owe turańskie parły bez przerwy jedna drugą naprzód: Pieczyngów pędzili przed sobą Połowcy, a tych spychali ku południo-zachodowi Torcy i pobratymi ich przeróżni — widać dla swych jednostajnych czarnych czapek baranich, ogólnie „Czerni Kłobucy“ zwani — sadowiący się niemal pod samemi murami Kijowa. Ztąd macierz ta i głowa całéj Rusi staje się pod koniec wieku XII-go jakby strażnicą, już tylko leżącéj po zanią ziemi, tyle wrogich dawniéj Drewlan. Ztąd i dzieje same wewnetrzne Kijowa i „pól“— stepów pobliskich tak różny od siebie stale noszą charakter. Toż samo przypuszczać nam wypada i na Podniestrzu. Tu również Pieczyngowie, Połowcy, a potem i Torcy spychają pewnie słowiańskie osady (Tywerców) wyżéj po Dniestrze i ku górnemu Bohowi — i tak już wcześnie dwie dzielnice geograficzne późniejszéj ziemi podolskiéj, Podola w obszernem znaczeniu, jakby z natury już samej pozornie do siebie wzajem należące, stają się widownią wcale różnych dziejów wewnętrznych. „Po dwóch stronach skromnéj Murachwy historya przedstawia wciąż dwa oblicza tak różne, że je prędzéj za przeciwieństwa uznać trzeba.“ W obliczu tak wybitnéj różnicy między krainami niby macierzystemi, jak Kijów i właściwe Podole a ich stepowemi ukrainami, musi uderzać nie mniéj, jeśli już nie jednorodność, to ścisła bliskość tych ukrain między sobą, jaką przeważniéj chyba wytworzyła geografia, niż dzieje faktyczne.

Wszakże co się nadmienia o wypieraniu z jej siedzib słowiańskiéj ludności rolnéj przez stepowych koczowników ukraińskich, nie może to być rozumianém w znaczeniu ich własnego, natomiast osiedlania się jako żywo! Lecz dosyć było ich nieustannych najazdów by uniemożliwić ustalenie się osadnictwa rolniczego, daléj ku południowi. Łącznie z tém, już z saméj natury rzeczy, pomiędzy właściwemi koczowiskami turańców a gniazdowemi osadami ruskich włości — musiał był pozostać szeroki pas pustyni, pas nienależący do nikogo i służący za szranki nieustannych między sąsiadami zapasów. I rzeczywiście wcześnie też dostrzedz się daje i na Podolu pas taki przerzynający średni bieg Bohu od Dniestru do zasłaniającego Kijów Porosia.

Z koczowników stepowych poważniejsze, aniżeli ujemne tylko, znaczenie zdobyły sobie w dziejach południowéj Rusi jedynie, drobne plemiona Czarnemi Kłobukami zwane. Ciekawym jest wielce przebieg i charakter ich stosunków z tą Rusią, waga ich w jej życiu wewnętrznéin, ich asymilacya następnie i dostarczenie przez się pierwszego materyalu, na którym zaszczepić się miało najwcześniéj kozactwo etc; ale że przedmiot ten pośrednio jedynie Podola dotyczy, nie możemy tu zastanawiać się nad nim obszerniéj.

Odgraniczywszy się w taki sposób od stepów, łatwiéj nam teraz będzie zająć się ściśléj Podolem właściwém.

W jakim czasie i przy jakich okolicznościach późniejsze Podole zostało zagarniętém w szeroki splot rzeszy Ruryków, oznaczyć dowodnie niepodobna: lasopisy nic nam o tém nie podają a domysły historyków późniejszych bardzo problematyczne. W połowie XII-go wieku wszakże już średnie Podniestrze należy do Rusi czerwonéj (halickiéj) nie stanowiąc przecie żadnéj dzielnicy odrębnéj— jeśli nie przyznamy za taką Zwinogrodu doraźnie posiadanego przez Iwana Rościsławicza — rozgłośnego późniéj pod mianem „Berładnika.“ Pierwsza zaś nazwa poniekąd je terytoryalnie wyosobniająca. „Poniże“ ledwie w XIII w. występuje.

Co do starożytnych osad czy grodów onego, pierwszą niewątpliwą wzmiankę o nich spotykamy w latopisach dopiero pod r. 1144. W roku tym, podczas wojny o Wołyń pomiędzy Władymirkiem halickim a Wszewołodem kijowskim, śpieszący z Połowcami na pomoc temu ostatniemu ks. Izjasław Dawidowicz zajmuje po drodze Uszycę i Mikulin (dziś Mikulińce nad Seretem) należące do księstwa halickiego. W nowéj wyprawie tenże sam Wszewołod oblega 1146 r. bezskutecznie Zwinogród. Byłyż to grody stare zapomnianych już Tywerców?

Podniestrze podolskie zależy i daléj od Halicza. Ale widocznie nie sprzyja podnoszonéj przez tamecznych książąt idei mocniejszéj centralizacyi państwowéj i przy każdéj sposobności przechyla się na stronę ich wrogów—grozą tylko w posłuszeństwie trzymane (Zwinogrod). Paladyn starego udzielno-wiecowego porządku, pierwszy z Rurykowiczów „izgoj“ (wydziedziczeniec z ojcowizny) wspomniany Berładnik, w niezmordowanéj walce całego życia o zdobycie sobie udziału „w ruskiéj ziemi“ zawsze spotyka tu przychylność. Śród zapasów z Jarosławem Osmomysłem halickim, synem Władymirka, oblega 1156 Uszycę i znajduje tam współczucie nawet „smerdów.“ Potém opiera się najwidoczniéj o Podniestrze podobnież i syn Berładnika, Rościslaw, w dalszéj walce o dzielnicę. Czy nie uważal on właśnie téj krainy przedewszystkiém za swą ojcowiznę?

Tak jak z drugiéj znów strony—i ona sama uważała się za coś odrębnego oczywiście, gdy przy każdéj okoliczności zdradza gotowość wyosobienia się i uwolnienia z pod przewagi Halicza.

Poboże górne nie występuje pierwotnie w ściśléj jedności ze służącém mu niejako za podwalinę od południa średniém Podniestrzem, niby naturalne dopełnienie onego. Owszem, niejednokrotnie zdaje się ono ciążyć bardziéj ku Wołyniowi jak do Halicza a nawet zostawać w dyspozycyi bezpośredniéj w. książąt Kijowa. Po śmierci wspomnianego wyżéj Wszewołoda 1146 r. następca jego na w. książęcym stolcu, Izjasław II wydziela jego synowi Swiatosławowi, zamiast miasta Włodzimierza—Bożsk, Międzyboż, Kotelnicę i jeszcze inne jakieś dwa grody w latopisie niewymienione. Tężsamę dzielnicę oddaje też wprędce potém synowi Dołhorukiego Rościsławowi, ze znaczącém zaleceniem: „postereży zemli ruskoi ottole!“ Spędzony następnie sam z Kijowa do Włodzimierza, zatrzymuje on widocznie pięć tych grodów przy sobie, nim ich ostatecznie już zapewne halicki Władymirko na rzecz swoję nie zagarnął. Mimo wszystko, Poboże korzystając jednak ze swego pośredniego położenia pomiędzy trzema współzawodniczącemi potężniejszemi księstwami Przeddnieprza, wcześnie poczyna myślić o wydobyciu się z pod władzy i wpływu nawet samego, bez różnicy, rodu Rurykowiczów!

Co za ukryte przyczyny jednak leżały w podstawie tak wytrwałego dążenia ziemic tych przyszłego Podola (tak pobohskiéj jak i podniestrzańskiéj) ku wyoscbnieniu się i politycznéj samoistności, posuniętego aż do zaparcia się wszelkich obowiązków względem domu Ruryka, którego prawa do panowania nad Rusią całą ówczesną ogólnie były jeszcze szanowane—na to odpowiedzieć wyczerpująco niepodobna. Powszechny prąd składowych cząstek Rusi z owéj epoki ku rozprzężeniu i wyosobnieniu się w grupy dzielnic, mających zbyt różną przeszłość dziejową i etniczną (choćby nawet w sferze słowiańskiéj) a sprowadzonych do jednego mianownika podbojem Waregów i ustaleniem jednoistnéj hierarchii—nie może tego tłómaczyć. Względna tylko różnica etniczna tutaj również by na to nie wystarczyła: nic wybitnego pod tym względem dostrzedz się tu nie da—Tywercy zapomniani a żywioł turański koczowniczy, niezaprzeczenie przeważny na średnim Bohu jak na sąsiednim Porosiu, mógł mieć na Pobożu górném i przyległém mu Podniestrzu wpływ chyba bardzo nieznaczny. Nie decydowało by tu nic i samo geograficzne położenie—na rębie świata obcego a w równéj prawie oddali od głównych ognisk życia Rusi południowéj—podniecające do korzystania z nieustannego współzawodnictwa postronnych a potężnych zapaśników: dla przyzwyczajenia się powoli, w obec ciągłéj potrzeby

obronności od granicznych nomadów, do sobie tylko właściwego na w pół niezależnego życia. Prawdopodobnie oddziaływało to wszystko w zespoleniu. Najprzeważniéj wszakże musiały tu, pośrednio i bezpośrednio, działać stosunki wewnętrzne w samym Haliczu, jako ognisku zwierzchniczém, — tameczne prądy oraz ważenie się żywiołów politycznych i społecznych, przy rozszczepieniu się tych prądów w dwóch przeciwległych kierunkach. Mianowicie: tyle ku wzniesieniu powagi władzy książęcéj, prowadzącemu do wytworzenia u podnóży Karpat silnie zkonsolidowanego państwa; ile z drugiéj strony, ku uniemożliwieniu tego przez usamowolnienie czerwonoruskich działów drobnych w osobne, luźnie tylko związane ogniska, nad czém niezwalczenie pracowała oligarchia.

Najwyżéj podniósł na południu zasadę władzy autokratycznéj pan Włodzimierza i Halicza, głowa nowéj tu linii panującéj, potomek Monomacha Roman Mścisławicz. Groźnie trzyma on berło swe nad głowami bojarów, a wzniesiona jego prawica potężna ani na chwilę nie słabnie w walce. Wielka szkoda, iż nie posiadamy szczegółów téj walki zapamiętałéj: wiadomo, iż ustęp latopisu obejmujący panowanie Romana zaginął. Ale dla charakterystyki ogólnéj wystarczy i tego, co nam źródła postronne podają. Dla zrozumienia istoty rzeczy dość tu przypomnieć sobie, że to właśnie ów nieugięty Roman, co to zwykł był mawiać, iż by dostać miodu, trzeba pierwéj pszczoły wybić! — i trzymał się naprawdę téj polityki; ten sam gwałtownik, który u Wisły pod Zawichostem zginął.

Twarda dłoń takiego jak Roman pana nie mogła nie zaciężyć i nad powładną mu krainą przyszłego Podola, wywołując i tu przeciwdziałanie przemocy. Wprawdzie, z powodu może tylko przerwy w rocznikach, nie posiadamy świadectw faktycznych; ale uwzględniając wymowne bardzo objawy późniejsze, nie podobna przypuścić, żeby surowość halickiego autokraty nie przyłożyła się była do ożywienia tu pragnień tém gorętszych trwałego wywalczenia swéj odrębności. Zkądinąd jednak sprężysty Roman mógł się przyczynić niepomału i do podniesienia rozwoju swych podolskich rubieży. Pomyślnemi wyprawami na Połowców ubezpieczał on kraj od strony stepowéj, a niezawodnie wpłynął przez to pośrednio i na ustalenie bardziéj już określonych jego granic, gdy wprędce potém występuje i nazwa odrębna „Poniże", jaką poczęto wyróżniać średnie Podniestrze.

Rozpasana burza polityczno-społeczna, w odmęty któréj po śmierci Romana porwaną była cała właściwa Haliczyzna, a wśród któréj książęta Igorowicze wymordowali 500 znakomitszych bojarów, bojarowie zaś w odwet 3-ch książąt haniebnie powiesili, jak

gdyby nie dotknęła téż rozgranicza podolskiego. Czy zajęło już ono z początkiem XIII w. odrębne stanowisko, czy zostało spustoszoném śród zapamiętałych walk wewnętrznych lub téż czy na swobodnym przestworze gospodarzyli tu bojarowie namiestnicy — nic pewnego prawie nie wiemy. Wszakże nie może być dalekim od faktycznéj prawdy nasuwający się sam przez się wniosek, że już owo widoczne uchylanie się téj krainy od solidarności z Haliczem w tak stanowczych dlań chwilach żywo uwydatnia stałą jéj dążność ku wyosobnieniu.

Uchylając się od Halicza Podniestrze podolskie, nim jeszcze Poniżem zostało nazwane, ściśléj za to spoliło się ze stroną przeciwległą, spływającą od wierzchowisk Prutu i Seretu ku Dunajowi. W parze jakby z Uszycą, występuje Kuczelmin (dziś Kuczermyk za Chocimem) i inne miejscowości późniejszéj „Mołdawy.“ Czy by i Berład tu należał, ów punkt oparcia awanturniczo-rycerskiego księcia Zwinogrodu? Niżéj Uszycy, widocznie stepowa pustynia, bez osad. Po Dniestrze przecie pewien ruch handlowy — przychodzą statki z Olesza, od ujść Dniepru, a Berładnik oto zasiadłszy z Połowcami w grodach podunajskich (?), „izbi dwi kubari (komięgi) i wzia towara mnoho w neju i pakostiasze rybołowom haliczskym.“

Jak głęboko zaś sięgało na Pobożu i Podniestrzu w epoce przed przyjściem Tatarów rolne osadnictwo słowiańskie nie łatwo oznaczyć. W każdym razie, mając przed oczyma przykład na Porosiu, odgraniczającém i zasłaniającém zarazem stanowiskami na pół już osiadłych Czarnych Kłobuków, Kijów od „pól“ dzikich połowieckich; można bez chyby przypuszczać, że i tu rolnik nie stykał się z koczownikiem bezpośrednio. Zdaje się, iż wstęga ta pośrednia turskich plemion na pół osiadłych spadała łukiem od Rosi przez Boh, u zawrotu jego ku południowi i sięgała aż Dniestru, gdzieś może powyżéj ujść Murachwy. Tém łatwiéj zgodzić się na to przypuszczenie, iż napierani od południa przez wrogich sobie Połowców, Torcy i ich pobratymi bliżsi mogli się posuwać swobodnie tylko ku zachodowi, gdy i ludność rolna na tamtych rubieżach mogła tylko przychylném patrzéć na to sąsiedztwo okiem, zostając pod ciągłą grozą ze strony połowieckich najeźdźców. Odpływ ten Czarnych Kłobuków napewno tembardziéj wezbrał, gdy w początku drugiéj połowy XII w., za Dolhorukiego, powstała na Porosiu osobna dzielnica książęca—fakt podniecający mało okiełznanych sojuszników Kijowa do szukania ochrony swéj swobody gdzieindziéj.

Od wieków przecie osłaniały rolnika na Podniestrzu i własne grody. Latopisiec końca wieku XI-go wspominając o Tywercach, świadczy: „sut' hrady ich i do seho dnie.“ Ale jakie to były te gro-

dy? — długo nic o nich nie słyszymy. Dopiero w połowie XII wieku a bardziéj w XIII występują naraz Uszyca, Bakota, Kalus, Kuczelmin i in. Nadto, ze wskazówką za każdym razem prawie, dowodzącą niedwuznacznie, że z uchyleniem się od Halicza łączyła się pamięć o dawréj niepodległości i pragnienia onéj przywrócenia. Górnego Poboża broniło jakieś pięć grodów: Międzyboż, Bożsk, wcale dziś nie dający się umiejscowić, Kotelnica i inne nieznanéj nazwy.

Tyle tylko wiemy o krainie przyszłego Podola w epoce przed przyjściem Tatarów (1223) po ścisłém zestawieniu luźnych danych rozproszonych latopisów.

Fakt tak wielkiéj i tak powszechnéj dla całéj Rusi doniosłości, jak zjawienie się u jéj granic straszliwéj nawały mongolskiéj, nie mógł przeminąć bez natychmiastowego oddziałania, nawet na tak oddalone od stepów kipczackich Podniestrze. Wiadomo, iż po rozgromie nad Kałką napór Tatarów pchnął hordy połowieckie, jakby wezbranemi falami ku Rusi. Połowcy odtąd przyjmują żywszy udział w jéj sprawach i walkach wewnętrznych, zjawiają się częściéj w granicach księstwa halickiego i sługują stale w zbrojnych zastępach Romanowego syna, Daniela. Tém swobodniéj naciskają na Porosie, wypierając pozostałych tam Czarnych Kłobuków ku zachodowi i zajmując zarazem ich uprzednie wobec książąt stanowisko. Skutkiem których to poruszeń, bardziéj śpiesznych i wytężonych teraz, i nasza kraina, jak cały pas kresowy Rusi południowéj wogóle, znalazła się oczywiście wystawioną na spotęgowany przypływ pomiędzy jéj ludność rolniczą żywiołów turańskich, co łącznie z oczekującym ją niebawem losem wyjątkowym nie mogło nie oddziałać następnie i na sam charakter dalszego jéj rozwoju.

Tymczasem zwierzchnictwo Halicza trwa daléj. Mścisław Wdały 1226 ustępując przemocy bojarskiéj, zmuszony oddać Halicz królewiczowi węgierskiemu Andrzejowi, zatrzymuje dla siebie z Porosiem i „Poniżie“— raz pierwszy przy téj okoliczności przez latopisca wymienione. Po jego śmierci dzielnica ta dostaje się Danielowi. W r. 1229 Sudysław, przewódca stronnictwa węgierskiego w Haliczu, kusi się o zajęcie Poniża, lecz napróżno, a wprędce Daniel wypiera Węgrów i z Halicza, chociaż nie na długo. Daléj wśród wrzawy nieustannych zapasów Daniela z bojarstwem halickiém i onego wybrańcami, nie słychać nic o Poniżu. Dopiero występuje ono znów na widownię po straszném spustoszeniu całéj Rusi południowéj przez Batuchana 1240 i za powrotem Daniela ze schroniska na Mazowszu. Wtedy to możnowładztwo halickie korzystając z wywołanego ogólną klęską kraju rozprzężenia powszechnego, zdaje się dochodzić do

szczytu swych uroszczeń. Dawniéj już (1234), „przyjmując“ ziemię halicką on, „razda horody bojarom i wojewodom i—biejasza u nich korma mnoho.“ Teraz zaś oni „Daniła kniaziem sobi nazywachu, a sami wsiu zemlu derżachu.“ Mianowicie „Dobrosław wokniażyłsia bje i Sudjicz, popow wnuk.... i wszed w Bakotu wse Poniżje prija, bez kniaża pozwolenija“; inny zaś z bojarów „sobi hornuju stranu Peremyszlskuju myslasze oderżaty.“ Wobec czego „byst’ miateż welik w zemli i hrabeż ot nich.“ Jedynie współzawodnictwo wzajemne oligarchów dało możność Danielowi okiełznania ich nieco. Lecz w tym razie jeszcze bojarowie zagarniają Poniże, chociaż wbrew woli, ale napozór przynajmniéj w imieniu księcia, przyczém jedność ziemi halickiéj pozostaje w zasadzie niby nie tkniętą. Wprędce jednak rozpasane bojarów dążenia spotęgowują na Poniżu i pragnienie zupełnego oderwania się od Halicza. Już bowiem pod r. 1241 widzimy, iż Rościsław Czernichowski w związku z książętami „Bołochowskimi“ rusza na Poniże i oblega Bakotę. Cóż mogło tu sprowadzić Rościsława? Mamy wskazówki, iż działał on w ścisłém porozumieniu z bojarami halickimi, niezadowolonymi widocznie z tego, iż Daniel mało co przedtem, powściągnąwszy w Bakocie „hrabitelstwa neczestywych bojar, utyszy zemlu.“ Lecz właśnie to uciszenie ziemi, dokonane mądrością i dzielnością“ pieczętarza książęcego Cyryla, udaremniło zamachy obecne przeciwników. Rościsław został od Bakoty odparty, a tak zwani Bolochowscy książęta srodze ukarani,—grody ich spalone, okopy zburzone. W czasie pogoni za ks. czernichowskim dowiaduje się Daniel o zwróceniu się Tatarów z Węgier na ziemię halicką; cofa się i rusza na Ponizie, „chotja ustawiti zemlu i jecha do Bakoty i Kaliusa.“ Mimo wszystko przecie, kraina ta w dość luźném tylko, jak to się okaże daléj, zostawała z Haliczem i jego władcami stosunku, o charakterze którego decydowała jedynie moc ich doraźna, czy takową posiadali książęta czy bojarowie, jak ambitny Sudysław, Sudjicz i inni, lub téż o ile wśród gwałtowniejszych w saméj Haliczyźnie zamieszek znajdowało się Poniże zostawionėm samemu sobie.

Nie potulniéj od Poniża ulega Romanowiczom górne Poboże. Ciąży ono po dawnemu bardziéj ku Wołyniowi, ku dzielnicy łuckiéj. Główny gród jego, Międzybóż dostaje się 1227 razem z Peremiłem, w zamian za Łuck, ks. Jarosławowi Ingwarowiczowi. W walce zaś późniejszéj Daniela z bojarstwem występuje 1234 przeciw niemu i Borys „Meżybożskyj“ — namiestnik tameczny widocznie.

Ale najwybitniejszy przykład objawów działania siły odśrodkowéj, nurtującéj ówcześnie we wnętrzach Rusi południowéj, od Karpat do Dniestru przedstawia tak zwana „ziemia Bołochowska“ i „ksią-

żęta Bołochowscy.“ Spotykamy tu ścisły związek 7-miu drobnych grodów, zostających pod zwierzchnictwem całéj grupy „kniaziów“, trzymających się stale jednostajnéj polityki i uczestniczących gromadnie w wojennych wyprawach. Kniaziów nie rurykowskiego rodu wcale, lecz powstałych (podług Kostomarowa) najprawdopodobniéj z bojarstwa, co się tu wyosobnić i uniezależnić od książąt z domu Ruryka potrafiło. Widzimy ich téż stałymi sojusznikami bojarów halickich w walce ich z Danielem, czém téż sprowadzili na siebie w srogim odwecie 1241 ostateczną swą zgubę. Daniel burząc ich grody i „hrebli“ nie oszczędzał i ludności. A więc ta stała przy swych kniaziach? Czy była czysto słowiańską? Nie miał tu żadnego znaczenia przypływ żywiołu turańskiego, czarno-klobuckiego? Zkądże ta łatwość, z jaką się późniéj Bołochowcy poddają bezpośredniejszemu zwierzchnictwu Tatarów, którzy wkładają na nich tylko obowiązek „da im orjut' pszenyci i prosa“? Wszystko to ciekawe, lecz nie rozwiązane dotąd. Ani specyalne studyum prof. Daszkiewicza pod tyt. „Bołochowska ziemia i jej znaczenie w ruskiéj historyi“ (Kijów 1878, po ros.), ani ustęp obszerny w pracy p. Mołczanowskiego, a wymierzony głównie przeciw hazardownym wywodom i wnioskom poprzednika, zagadnień nie wyjaśniają. Co zaś najdziwniejsze — sama miejscowość ziemi bołochowskiéj i jéj 7-miu znanych z nazwiska grodów nie została dotąd ostatecznie na mapie zaznaczoną. I dziś jeszcze to tylko wiemy napewno, iż znajdowała się ona gdzieś pomiędzy Pobożem, Wołyniem właściwem a starą ziemią Drewlan. I tyle. Właściwie więc w zakres historyi Podola nie wchodzi i ubocznie tylko mogłaby być w zwykłym razie dotykaną przez badacza przeszłości naszéj krainy, gdyby nie ścisły związek, że tak powiemy, natury moralnéj, jaki je w owéj epoce łączy. W Bołochowskiéj bowiem drobnéj ziemicy, wchodzącéj również w splot luźnych dzielnic wydźwigającego się państwa potomków Romanowych, wcześnie uwydatniają się takie objawy i fakta życia, jakie późniéj niby niespodzianką występują na Podolu, przez co stają się tamtych jeśli nie zapowiedzią, to wytłómaczeniem.

Wróćmyż tedy na Podole ku Poniżu.

W pierwszym groźnym pochodzie 1240 przez posiadłości Daniela na zachód Batu-chan, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, Poniże pominął, posuwając się od Kijowu przestworami Wołynia. Błędne mniemanie o spustoszeniu jednoczesném i Podola powstało z mylnego rozumienia wskazówek geograficznych (Kołodiażen, Kamieniec—wołyńskie).

Przy pierwszém zjawieniu się Tatarów, w obrębie dziedzin Danielowych, występuje — jakeśmy tego dotknęli już wyżéj — otwarta

opozycya przeciw nowemu porządkowi państwowemu, jaki ten usiłował zaprowadzić i utrwalić. Opozycya ta gnieździła się, ile się zdaje, głównie na Wołyniu: wiemy już jak się stawił Bołochów. Gdy tedy ukazali się tam Tatarzy, wszystkie żywioły opozycyjne zwróciły się—i z konieczności i rozmyślnie—ku zdobywcom. Ci oczywiście, mimo swéj potęgi, nie lekceważyli podobném korzeniem się, nastręczającém im możność łatwiejszego utrzymania całéj krainy w posłuchu. Zatém rzadko tylko zajmowali sami pewne punkta obronne, poprzestając przeważnie na zobowiązaniu swych podwładnych do stałego dostarczania określonych rekwizytów wojennych. Odpadły od Daniela i poddały się Tatarom, między innemi, następujące jeszcze miejscowości: Poteterewie, Zwiahel, a nawet Międzyboż z dalszém Pobożem.

W jakim stosunku stanęło względem Tatarów od pierwszéj chwili Poniże — wskazówek o tém nie znajdujemy. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, za pana téj krainy uważał siebie Daniel, a Tatarzy istotnie aż do poddania się im Bakoty, żadnéj tu siły nie mieli. Pracuje on daléj niezmordowanie nad dźwignięciem i umocowaniem poważnego państwa, — wobec czego ani lekceważy korony z Rzymu, ani się wzdraga uderzyć czołem chanowi w saméj hordzie. Dzielny ten syn Romanów, już „król ruski“, o ile z jednéj strony, dla upodrzędnienia nieustannie wichrzącego Halicza, wyniósł się ze stolicą aż do Chełmu, o tyle z drugiéj musiał niewątpliwie dbać o utrzymanie w należytém posłuszeństwie a ładzie i krańcowego teraz Poniża. Ale téż i Tatarzy, którzy, jak się zdaje, zajęli już byli na stałe stepy pobozkie, po Połowcach i Torkach, wcale nie byli obojętni na możność zagarnięcia pod swą bezpośredniejszą władzę i téj tyle ponętnéj dziedziny. Témbardziéj gdy na Poniżu nie zamierało wcale pragnienie wyosobnienia się, a lekkie warunki zwierzchnictwa mongolskiego w sąsiedztwie tylko kusząco oddziaływać mogły. Oligarchia zaś czerwono-ruska nie przestawała uścielać sobie gniazdek książęcych, wszędy gdzie mogła, choćby pod opieką chańskich baskaków. Powodzenie jednych ośmielało innych, poczynano od dwulicowości, jak ów Andrzéj krzemieniecki, o którym latopisiec powiada: „Andrejewi że na dwoje buduszczu, owohda wzywajuszczusia: „korolew jeśm'“ (Daniela), owohda że „tatarskym“—derżaszczu naprawdu wo serdci. ..“

Otóż podobny Andrzejowi krzemienieckiemu namiestnik „królewski“ zasiadał i w głównym grodzie Poniża—Bakocie. Zwał się Milij, a nie był to napewno ani Połowiec, ani Torczyn, pomimo iż brzmienie jego nazwiska wnosić by to dozwalało. Porozumiewał się on widocznie dawno z Tatarami, a był pewnym swych podwładnych po-

dolskich, zawsze do oderwania się od Halicza gotowych. Kuremsa zaś, jeden z wybitniejszych wodzów mongolskich, który był się już ustalił w Kijowie, i odciągnął (1255) tyle włości od Daniela na Wołyniu, wyczekiwał tylko sposobnéj chwili dla rozszerzenia swego wpływu i po dalszéj Rusi. Gdy tedy „król ruski“ był zajęty wojną na Litwie, koło Nowogródka, podstąpili Tatarzy pod Bakotę—„i pryłożysia Milij k nim.“ Na wieść o tém, wysyła Daniel na Poniże syna swego Lwa. Temu udaje się buntownika pochwycić na razie—„i prywede Lew Milija otciu si, i byst' paki Bakota korolewa otca jeho.“ Ale już nie na długo. Za wstawieniem się i poręką syna, Daniel nie tylko ułaskawił jeńca, lecz przywrócił go do dawnéj godności. Napróżno. Wprędce—koło 1260 r., już pewno przy Burundaju, następcy Kuremsy w namiestnictwie na Dnieprze—ordyńce podstąpili znowu pod Bakotę—i Milij znów „stwori lest' i predast' ju paki Tataram“!

Więcéj nadto nic nie znajdujemy o Podolu w halicko-wołyńskim latopisie — chyba że tu wspomnimy jeszcze o śmiałém, lecz w skutkach bezowocném, rzuceniu namiestnikowi chańskiemu rękawicy przez Daniela, dla przywrócenia pod swe posłuszeństwo odpadłych dziedzin. Po niepowodzeniu doznaném pod Krzemieńcem przez Kuremsę i przywróceniu czasowém Bakoty, wypowiada on ordyńcom otwartą wojnę: 1257 odbiera im między innemi Międzyboż, Poboże „i ludi tatarskyja“... „i wsi horody, sidiaszczyja za Tatary“— które skazuje na pastwę srogiego za przeniewierstwo odwetu. Wszystko przecie daremnie: skoro tylko Tatarzy ukazali się w większéj sile—znowu się zwrócono ku nim, do obowiązku jakiéj solidarności narodowéj nikt się nie poczuwał.

Potém już aż do drugiéj połowy w. XIV-go wiadomości kronikarskie zupełnie się przerywają. Mimo to jednak, o stanie Podola w epoce panowania w niém Tatarów możemy sobie zdobyć pewne, zbliżone do prawdy faktycznéj, wyobrażenie, posiłkując się wskazówkami źródła późniejszego—mianowicie latopisu w. ks. litewskich, ułożonego w pierwszéj połowie XV-go w.

Jeśli sobie unaocznimy owo rozprzężenie powszechne, jakie charakteryzowało efemeryczną budowę królestwa Danielowego a wśród tego rozprzężenia stałą dążność tak Poniża, jak i Poboża ku wyosobnieniu, z łatwością zgodzimy się na przypuszczenie, że Tatarowie wcale nie potrzebowali używać przemocy dla zajęcia tych ziemic pod swe posłuszeństwo. Ogarnąwszy cały bieg dolny Bohu i Dniestru, oparci na średnim Bohu może na bliższe sobie krwią i obyczajem resztki połowieckie i innych plemionek, posunęli oni stopniowo swą zwierzchność w górę tych rzek, aż do właściwych miedz halickich. Powoli cały ten obszar kraju, nigdy za Rurykowiczów nie sta-

nowiący osobnéj ziemi, odrębnéj książęcéj dzielnicy, poddany teraz jednéj władzy zwierzchniczéj i jednostajnemu zarządowi, począł nosić miano „Ziemi Podolskiéj.“ Rozprzężone pod Rusami dziedziny starych Tywerców Tatarzy teraz zjednoczyli—„oli do morja,“ występując odtąd nadal jako „otczyczy i didyczy Podolskoj zemli.“ I władali oni Podolem z górą wiek cały. Nie mniéj słusznie można wnosić, iż panowanie to ich było tutaj względnie łagodném i wcale nie uciążliwém dla mieszkańców, którzy widać bez oporu byli się im poddali i o wyswobodzeniu się nie myśleli. Na właściwém téż Podolu tj. dawném Poniżu i Pobożu górném Tatarzy wcale nie osiedlali się—czemu za dowód służyć może, iż nazwy tatarskie miejscowości kończą się prawie na Pobereżu; przedewszystkiém zaś chodziło im tylko o porządne i ścisłe składanie nałożonéj na kraj daniny.

Zagarnąwszy Podole, Tatarzy zaprowadzili tu znany skądinąd a surowo wykonywany, swój porządek poborowy. Zaprowadzono go już od czasu Kujuk-chana wogóle w ziemiach ruskich, podległych hordzie kipczackiéj. Opierał się zaś on na ścisłym i często powtarzanym popisie ludności, Podole tedy podzieloném zostało na „tmy“ (od „tume,“ „tumen“—tyle co 10 tysięcy) czyli obwody podatkowe do koła miast ważniejszych. Na czele tych obwodów stali „atamani“ przedstawiciele opodatkowanéj ludności, którzy zebraną daninę składali przyjeżdżającym z hordy chańskim „baskakom“. Lecz kto to byli w istocie rzeczy owi atamani? Latopis powiada, iż oni „zawiedali Podolem od Tatar.“ Byliż by to tatarscy urzędnicy, stawieni przez baskaków? Rzecz bardzo wątpliwa: prędzéj była to starszyzna miejscowa, zatwierdzana tylko w swém dostojeństwie przez władzę zwierzchniczą—niby wassale jacy naczelnych panów kraju, blizko zespoleni ze swym ludem, z niego może powstali; spadkobiercy może takich ludzi jak Milij, stojących w ten lub inny sposób na czele grodów podolskich wtedy, gdy one przechodziły pod władzę tatarską. Jednem słowem, owocześni ci atamanowie podolscy wyglądają bez mała jakby drobni kniazie, z władzą ograniczoną oczywiście. Wiemy bowiem, iż Tatarzy nie pozwalali im wznosić ani zamków ani żadnych warowni i doprowadzili rzeczy do tego, że nie było na Podolu ani jednego grodu „ni derewom rublenaho, ni kamniem budowanaho“. A przezorność ta mongolska, wywoływana obawą zbrojnych powstań, trudniejszych dla koczowników do pokonania w kraju posiadającym miejsca obronne, nie dozwalała atamanom spotężnić swego politycznego znaczenia. Ale téż, mimo podziału kraju na „tmy“, nie spotykamy tu i tatarskich „temników“—dowodzców wojennych, zajmujących pojedyńcze obwody swemi oddziałami „Tma“ najwidoczniéj ma znaczenie głównie administracyjno-poborcze. Cała ta organi-

zacya kraju z jego atamanami—tyle oryginalna, przypomina jednak niemało i związek Bołochowców z ich kniaziami zagadkowymi. Niewątpliwie tryb podobny zarządu mógł być dogodniejszym dla Tatarów, jako zapewniający porządniejsze zaopatrywanie żywnością sił ich wojennych. Czy to wszakże było zastosowaniem znanego zkądinąd „iktaa"—bardziéj prawidłowego systemu poborów, wprowadzonego w niektórych podległych Mongołom ziemiach w drugiéj połowie XIII-go wieku? nie zdaje się. Tamto był system przeznaczenia pewnych dzielnic (iktaa) ziemi, na utrzymanie pewnych oddziałów wojennych, których naczelnicy poddzierżawiali od siebie owe dzielnice mieszkańcom samym na prawach feudalnych, pod obowiązkiem stałych osepów i danin. Tu zaś cech porządku feudalnego nie widać.

O stanie wewnętrznym, kulturze i pomyślności Podola pod panowaniem Tatarów możemy robić tylko wnioski uboczne, pośrednie. Stepy południowe aż do morza były pokryte „koszami"—koczowiskami nomadów, wszędy i po wszystkie czasy jednostajnemi. Wyżéj zaś, na właściwém Podolu, zajętém przez ludność przemożnie słowiańską, mogła przeważać gospodarka rolna, choć w najbardziéj pierwotnéj jeszcze swéj postaci. Słabe względnie zaludnienie mogło nawet w ciągu wieku znacznie się podnieść dzięki większemu względnie spokojowi, jakim się kraina ta pod panowaniem tatarskiém cieszyła, zwabiającemu ku niéj przybyszów z sąsiednich a częściéj pustoszonych ziem. Co do pomyślności, Podole chociaż się znajdowało w daleko szczęśliwszych od sąsiadów warunkach, nie było w stanie zapewne zabezpieczyć się na stałe od nieodzownych ze względu na jego położenie klęsk i ciężarów. Mniejsza jeszcze o dociski baskaków i różne powinności, nie wyłączając może wojennéj—ludność Podola musiała znosić przecie nieustanne przechody wojsk tatarskich, tak często wyruszających ku Rusi czerwonéj, ku Polsce, ku Litwie—to jako nieprzyjaciele, to jako sojusznicy choćby potomków króla Daniela, wcale nie sromających się związków z nieprzejednanym wrogiem swego dzielnego przodka!

Stosunki polityczne zwierzchniczych władców Podola również znane tylko ogólnie. Ziemia podolska, leżąca na krańcu posiadłości mongolskich przedstawiała oczywiście grunt bardzo sprzyjający dla wszelakich kuszeń się odpadnięcia od głównéj hordy Kipczackiéj. Wysyłani na Dniepr namiestnicy chańscy wcześnie już poczęli zdradzać dążenia do niepodległości, które następnie rozprzęgły rzeczywiście olbrzymie państwo, wzniesione przemocą przez Czyngiz-chana. Ku końcowi wieku XIII-go na południu Podola spotykamy koczowiska głośnego Nogaja, jednego z chanów podrzędnych, który prowa-

dził zaciekłą wojnę ze zwierzchnim swym władzcą, chanem „złotego“ Kipczaku. Korzystając z rozterek między synami buntownika, chan kipczacki Toktaj przechodzi Dniepr i rusza ku Bohowi, gdzie się znajdował „jurt“ jego. Pobity Nogaj ratuje się ucieczką, po nim umykają też ztąd i jego synowie a cały przestwór kraju aż do Dniestru wraca znów bezpośrednio pod posłuszeństwo głównéj hordzie. Lecz po powrocie Toktaja do Seraju, wojna domowa znów się rozpoczyna. Dopiero po śmierci Nogaja „ułus“ jego rozpada się na części. Jaką rolę w obec tych wypadków odgrywało Podole—nie wiadomo. Nie jest zarówno rzeczą pewną, czy wytworzyli podolscy Tatarowie na obszarach obojga dorzeczy Bohu i Dniestru osobny, na pół niezależny, „ułus“ lub też trzymali się hordy krymskiéj. Charakterystyczna nazwa „ziemia podolska“, która występuje w drugiéj połowie XIV wieku w powszechném użyciu, jako miano oddawna ustalone, zdawała by się przechylać szalę ku pierwszemu mniemaniu.

Ale wyosobniwszy się z ogółu południowéj Rusi, porwana w wir obcego sobie życia tatarskiego, zmuszającego ją do kroczenia odrębną od najbliższych swych drogą, kraina ta, mimo wszystko, musiała jednak miewać przejścia zbyt ciężkie śród domowych przedewszystkiém walk Tatarów, by nakoniec zapragnąć zupełnego uwolnienia się z pod ich mocy.

Tymczasem pod koniec pierwszéj połowy wieku XIV-go w najbliższém sąsiedztwie Podola zachodzą radykalne zmiany, nadające zupełnie nową postać rzeczom, nowy kierunek wypadkom. Królestwo Daniela, po śmierci (1340) prawnuka jego, księcia mazowieckiego Bolesława, rozpada się ostatecznie na swe części składowe: dzielnicę halicką zagarnia na rzecz potężniejącéj Polski Kazimierz W., wołyńska zaś przez Lubarta dostaje się Litwie, wchodząc w skład rzeszy Gedyminowiczów. Na dwóch ścianach podolskich występują jako sąsiady dwa młode, pełne siły żywotnéj państwa—od północy i zachodu opasują je jakby pół kolem, ściskają półobręczą. W obec tego, zwierzchnicy Podola, Tatarowie, trwonili swe siły w walkach wewnętrznych, sprowadzających powszechne rozprzężenie i bezwład, które podnosiły serca podwładnych i dawały im otuchę zrzucenia jarzma, choćby mniéj uciążliwego nawet.

(d. n.) *Aleksander Jabłonowski.*





PRZEGLĄD POEZYI NAJNOWSZÉJ.

1) Poezye Wiktora Gomulickiego. (Warsz. A. Gruszecki, 1887, str. 284). — 2) Strofy. (Kraków, Gebeth. 1886, str. 167 + VI). — 3) Król Salomon, poemat liryczny w trzech pleśniach przez Włodzimierza Zagórskiego. (Warszawa, A. Gruszecki, 1887, str. 90). — 4) Stanisław Rossowski: Poezye. (Lwów, 1886, Gubrynowicz, str. 128). — 5) Korczak: Baśń, część pierwsza. (Kraków, autor, 1886, str. 112). — 6) Pieśń lirnika, powieść wierszem przez Tadeusza Oławę. (Warsz. Paprocki, 1886, str. 47). — 7) Bolesław Londyński (Bruno Las): Poezye. (Warsz. 1887, str. 238). — 8, 9) Dr. Józef Długoborski: Poezye. (Kijów, autor, 1886, str. 121); Echa szalonéj Ameryki. I. (Kijów, autor, 1886, str. 38).

Oto przed nami suto zastawiona biesiada poetycka. Wszelkie niemal usposobienia, nastroje, zamiłowania i przekonania znajdą w niéj karm' dla siebie i to jaknajróżnorodniéj przyrządzoną. Czy kto tęskni za urokami wybujałych marzeń romantycznych i całą wartość życia we wspomnieniu tylko widzi; czy kto szuka zadowolenia w prostych, choćby najzwyczajniejszych scenach życia powszedniego; czy kto lubi szerokie przestrzenie pól i lasów i chętnieby się napawał wonią kwiatów i szumem drzew; czy téż przywykł przebywać bez obrażenia swego węchu i smaku w zaułkach miejskich i piwiarniach; czy kto smakuje w takich jedynie przetworach, co w gwarze zabiegów ekonomicznych i walk społecznych powstają, czy téż rozkoszuje się w atmosferze piękna bezinteresownego; czy kto pragnąłby znajdować się w otoczeniu poważném lub lekkomyślném, wesołém lub smutném, dowcipném lub refleksyjném, pesymistyczném lub optymistyczném, czy téż wolałby pozostać jedynie we własném i Muzy towarzystwie: w uczcie owéj znajdzie wszystkiego podostatkiem, w lepszym lub gorszym gatunku, w zręcznie lub mniéj zręcznie wykonanych formach. Zasiąść tylko za stołem i wybierać.

I krytykowi wybierać wolno, ale jako informator biesiadników, musi on ich przedewszystkiém zapoznać ze wszystkiemi daniami i z tymi, co je zastawili.

Mistrza pomiędzy tymi wystawcami produkcyi poetyckich znają już czytelnicy *Ateneum*. W roku 1882 z powodu ogłoszenia w *Lirze* zbioru poezyi Wiktora Gomulickiego starałem się scharakteryzować jego talent, widząc go przedewszystkiém w arcydzielném władaniu formą, oraz jego nastrój nie lubiący żadnych krańcowości, ale dążący do zharmonizowania obficie i żywo napływających mu wrażeń. Powiększone obecnie w trójnasób wydanie jego „Poezyi" może posłużyć zarówno do ugruntowania jak i do pogłębienia tego sądu. Spotykamy się tu z całą najdrobniéj szczeblowaną skalą uczuć ludzkich, począwszy od dziecinnego napawania się uciechami życia, aż do beznadziejnego westchnienia za śmiercią, a to wszystko wyśpiewane z jednakowém mistrzowstwem w wierszach układanych jaknajrozmaiciej zarówno w zwykłéj strofie czterowierszowéj jak i w wykwintnéj formie sonetu, oktawy, tercyny, lub téż we wspaniałych aleksandrynach naszych, idących sfornie jak żołnierze — dwójkami. Jak wszyscy u nas dzisiaj co najznakomitsi poeci, jest i Gomulicki wirtuozem treści i formy, obejmuje i władnie najróżnorodniejszemi tematami, poddaje się najsprzeczniejszym uczuciom, wyśpiewuje na najdowolniejsze napozór tony, wchłaniając te prądy, jakie przebiegają w naszém i wogóle—europejskiém społeczeństwie.

Z usposobienia i upodobań pierwotnych jest on nie myślicielem, co nad zagadnieniami wszechświata najchętniéj rozmyśla lub nad bolesną dolą ucywilizowanych narodów się zastanawia, ale poetą, który śpiewa jak ptaszek o miłości i naturze, i zadowolnienie największe znajduje w marzeniu i ułudzie; ale żyjąc w czasie, kiedy przemożne okoliczności i prąd ogólny przedstawiły każdemu myślącemu człowiekowi do rozważania i rozwiązywania naglące sprawy społeczne, zająć się niemi musiał i z niejaką zapewne goryczą w sercu, lecz z poczuciem nieuchronnéj konieczności pomieścił na czele zbioru swoich poezyi dział zatytułowany: „Pieśń w służbie świata", przypominając tym napisem Pegaza w jarzmie. Poeta jednak pogodziwszy się z losem, nosi to jarzmo swobodnie i z godnością. W wierszu: „Dwa głosy", odpowiadając na zarzut bezużyteczności poezyi w pracy społecznéj, w walce z materyą, w olbrzymiéj fabryce świata, roztacza on obraz całéj armii ludzi, „co przegrała ciężką życia bitwę" i w cichą duszę poety „rzuca, jak do urny, ból swój i złorzeczenia, klątwy i modlitwę", wykazując, że te walki duchowe, przez poetę opiewane, warte są przynajmniéj tyleż, co wysiłki armii pracującéj w pocie czoła w wielkiéj fabryce świata. „W księgach drzemią czyny, jak w chmurach grom złoty"—powiada, odpierając zdanie, jakoby poeci znali tylko „głupie nerwów niepokoje", a w rozwinięciu téj myśli o nastroju bohaterskim pieśni, woła:

Ty dzielisz pieśń od czynu? Wspomnij Tyrteusza,
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia....
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha,
Gdy jéj dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.

W takiém odparciu pocisków przeciw poezyi miotanych tkwi prawda niewątpliwa, o ile się rozważa całkowity rozwój twórczości w dziejach powszechnych, lecz w bezpośredniém zastosowaniu do naszych najbliższych stosunków dźwięczy, niestety! przeważnie frazeologia tylko. Nie mamy dzisiaj Tyrteuszów nie tylko tam, gdzieby ich głos był tłumiony, ale i tam, gdzie mógłby się rozlegać swobodnie. A nie o Tyrteuszów tu idzie w dosłownem znaczeniu, lecz o tych wogóle, coby myślą jakąś wielką i gienialną stali się istotnymi przodownikami narodu, coby rzeczywiście „kreślili pierwszy zarys społecznéj budowy", coby inicyatorami byli jakiéjś lepszéj, jaśniejszéj przyszłości. Poeci dzisiejsi zbolali, znękani, zmuszeni do bronienia już tylko racyi bytu swojego, nie posiadają ani odwagi, ani siły, ażeby choćby zamarzyć jedynie o przodowaniu w społeczeństwie. W rozległe pomysły ubodzy, albo przetwarzają w obrazy poetyczne to, co rozum analityczny już zbadał, co do katechizmu nauki przeszło, albo téż wysiłkom tym złorzeczą i usiłują bezskutecznie pochód prawd niemiłych sobie powstrzymać. Braknie im tytanicznego pędu, którym niegdyś ich poprzednicy porywali za sobą tłumy, braknie im téj wiary prawdziwéj, głębokiéj, niepokonanéj, w możność przetworzenia budowy społecznéj za pomocą pieśni, téj wiary, która lubo nie ziszczona, stanowiła przecież potęgę wieszczów narodowych. I dlatego nie dziw, że królewskie miejsca tracą a schodzą w tłum „powszednich pracowników", manipulujących nie „kielnią" lecz piórem, szczęśni, jeśli ich talent uczyni zadość potrzebom duchowym społeczeństwa.

Gomulicki do tych szczęsnych należy. Odczuwa on i rozumié drgnięcie społeczne wśród mas i lubo jest czcicielem piękna, wié, że głód nędzarzy przedewszystkiém zaspokoić potrzeba („Głodnego nakarmić", „Bez chleba", „Na zgliszczach"). Przedstawiwszy cierpienia wygłodzonego kamieniarza, w przepysznych tercynach przemawia do ogółu:

O wznośmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowéj czarze;

Skroń strójmy w róże, twarz w wesołe maski,
Myśl nasza słońcem niech będzie pojona,
A słuch zamknięty na niesforne wrzaski;

Wieżami tumów prujmy chmurom łona,
Niech posąg każdą przyozdabia niszę,
Rzeźb koronkowych niech błyszczy zasłona;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha,
I myśl pogrąży w olimpijską ciszę,

Wesołe tylko budząc w życiu echa;
Niechaj ofiary biorą od nas wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha....

Lecz wprzód—niech głodnych pośród nas nie będzie!

Jak w wyliczonych dopiero co wierszach brzmi wspaniale głębokie współczucie dla cierpień mas wogóle, tak w poemacie „Żydzi“ przejawia się toż współczucie dla biednych, pogardzanych i poniewieranych tłumów ludu, niegdyś wybranym nazywającego się. Gomulicki wyprowadza na scenę różnorodne głosy potępiające ów lud i skazujące go na zagładę z powodu przywar właściwych rasie, wśród nader nieprzyjaznych okoliczności rozwijającéj się, a sam pod imieniem „poety“ głosi słowa wyrozumiałości i miłosierdzia. Są w tém przemówieniu i uczucia podniosłe i myśli zdrowe, ale całości nie zdołał autor uchronić od nieco oschłego tonu dydaktycznego.

Podobny charakter nosi téż piękna, trochę może tylko za ogólnikowa pochwała „Szekspira.“

Nie ma tego tonu w poezyach, poświęconych zobrazowaniu życia powszedniego i w malowaniu smutnych, bolesnych przejść ducha. Wszystko tu żyje, drga, lśni się i błyszczy; najsubtelniejsze nawet odcienie wzruszeń znajdują swój właściwy, najzupełniéj do treści dostrojony wyraz. Nie mówiąc tu o tych utworach, które już dawniéj wyróżniłem, zwrócę jedynie uwagę na opowiadanie o losach cudzoziemki-nauczycielki („Francuzica“), w którém rzetelny humor jaśnieje, na pełen bolesnéj prawdy „Pogrzeb aktora“, na zręczną i powabną „Warszawiankę“, na nieporównanéj lekkości i werwy ironiczne obrazki z życia miejskiego, zaklęte w misterną formę sonetów: „Ogródek na przedmieściu“, „Na huśtawce“, „Odpoczywa“, „Ślepy“, „Na wodzie“, „Tajemnica róży“, „Nazbyt lubił“, „Balkon“, „Rodzina“, „Wspomnienie“, „Ostatni cygan“, „Parjas“. Wdzięk tym utworom właściwy nie da się wykazać przez streszczenie i rozbiór; potrzeba je czytać i odczuwać. Łagodném i spokojném malowidłem cichego a bezbrzeżnego smutku wciska się do duszy „Ständchen“, przypomnienie muzyczne krótkich błogości chwil, póki zbolałego

serca grób nie przytulił; a siłą wyrażenia wymownie się zapisują w pamięci „Piołuny“, skarga na cierpienia dotkliwe zakończona prośbą o śmierć, jako jedyne na nie lekarstwo. Scena „Na balu“, gdzie poeta opowiada roztańczonéj kobiecie o losach jéj dziecka porzuconego wśród ludzi i zmarłego, chociaż razi trochę nieprawdopodobieństwem jako całość, posiada w częściach swoich moc wzruszającą do głębi.

Pieśni miłosne, zapełnione zachwytami nad powabami ciała, świeżością cery, uroczym uśmiechem, wesołą rozmową, w większéj części powtórzone zostały w tém wydaniu z poprzedniego; nowych przybyło niewiele. W jednéj („Non omnia vanitas“) opiewa odwiedziny dziewczęcia — „niezbyt może skromnego jak na kapłankę zimnokrwistéj Westy, lecz Nimfom równego“ — w izdebce studenta, „co rzadko chrzęsty spódniczek pamięta, a częściéj — myszy zgłodniałych szelesty“, — i rozpamiętywając, jaki kontrast tworzyła jéj młodość i jéj suknia perkalikowa ze zbutwiałą księgą, na któréj usiadła, dochodzi do tego przekonania, „iż za lat trzysta i z naszéj mądrości tylko zbutwiałe pozostaną kości—dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże“—rozumie się nie tych, co przed trzystu laty siadywały na dziełach Alberta Wielkiego. W innéj („Gdy kochasz“) zachęca kobietę do wyłącznego poświęcenia się wybranemu duszą i ciałem, nawet wówczas gdy on jéj darów odpłacić nie zdoła, bo „kto kocha, bardziéj jest z bóstwem zbratany, niż kto kochany.“ We „Wniebowziętéj“ opowiada o „nieszczęśliwéj nieszczęściem innych“, która „chłonęła w siebie smutek wszechrzeczy, rozlany po niebie, gwiazdach i morzu, obłokach i ziemi“... ale dla ukochanego miała „wesołe słówka, uśmiechy cukrowe, pierś pełną żaru, pełną marzeń głowę, w ciemnościach oczu fosforyczne błyski, krótkie piosneczki i długie uściski“; jéj pocałunek „miał coś w sobie z powabu stokrotki, którą dziewczyna, wyjąwszy z warkocza, daje lubemu“, podobny był winu, „co nie odurza, ale rozwesela, i miał potęgę cudownego ziela, które do skarbów ukrytych prowadzi.“ W wierszu „Na dzień dobry“ wysuwa szereg komplementów, jak szereg pereł nie nowych wprawdzie, jak nie nowém jest to porównanie, ale nie tracących przez to swéj ceny. „Nad brzegiem morza i nieskończoności“ rozkochana w sobie para błądzi senna, jakby z ciał wyzuta, „słuchając w cichém zmysłów upojeniu, jak wrzawa miasta z wrzawą fal się kłóci“, zadowolona, że nikt jéj nie rani spojrzeniem ciekawém, że niczyje śmiechy czaru [illegible] vili nie płoszą... Wśród takiego upojenia, mówi poeta:

Mgły gęstwiejącéj biała, mokra fala
Zatapla domy, gasł księżyc złoty;
Lecz im się bardziéj świat od nas oddala,

Tém bliższe siebie są nasze istoty;
Chwilami, patrząc na światła, co bledną,
Zda się nam, żeśmy nie dwoje, lecz jedno...
Swięte złudzenie! Czyż się w niém nie mieści
Zachwyt najwyższy i siła i szczęście?
Ach! człowiek doszedł główněj bytu treści
Przez takie duchów cudowne zamęście,
I niech się jak chcą dni jego wypełnią,
On już szczęśliwy—bo żył życia pełnią.

Żartobliwie zabarwioną historyą miłości młodego prowincyonalisty, który przybył do Warszawy szukać zajęcia, przedstawia poemacik p. n. „Kocia.“ Młodzieniec chciał skorzystać z listów polecających „od wuja i stu ciotek“, ale na niewiele mu się one przydały; za to bez jego przyczynienia się zagustowała w 16 letnim chłopcu prezesowa. Ale Otton nie umiał się poznać na tym guście, który dla jego karyery mógł się stać pożytecznym, sam natomiast poczuł wielką skłonność do kwiaciarki „Koci.“ Rozmawiali z sobą mało, a raczéj nie rozmawiali wcale słowami, tylko oczyma, bo mieszkali naprzeciwko; raz zetknęli się na schodach i rozbiegli się czémprędzéj; drugi raz listek kwiatka może naumyślnie upuszczony przez Kocię podjął młodzieniec, ale popieściwszy się z nim, odniósł go jako zgubę sąsiadce. Romans ten bez wyrazów mógłby zapewne ciągnąć się długo, gdyby nie przypadek. Zadumanego Ottona spotkała raz w ogrodzie prezesowa, pociągnęła za sobą i próbowała na nim siły wdzięków. Gdy mu kazała wyszukać sobie komara pod brodą, i gdy się ku niéj bardzo blizko nachylił, rozległy się dwa krzyki: prezesa i kwiaciarki; prezes odpędził chłopca od owocu zakazanego, a kwiaciarka odepchęła go od siebie jako zmiennika. Treść sama tego poemaciku nie zaleca się niewątpliwie pomysłowością, ale o treść poecie nie bardzo chodziło, użył on formy opowiadania na podobieństwo Słowackiego w Beniowskim, do wypowiedzenia pewnych uwag i refleksyi, którym umiał nadać lekkość, wdzięk i rozmaitość. Całość jest powiewna jak puszek kwiatu i po przeczytaniu na drobne rozpada się płateczki i nitki.

Uwielbienie dla natury, zamiłowanie wiejskiego krajobrazu i atmosfery wiejskiéj widoczne są we wszystkich niemal pieśniach Gomulickiego; poświęcił on atoli wyjawieniu tych uczuć osobne działy w swéj książce: „Z księgi przyrody“ i „Sub tegmina.“ W pierwszym dziale najpiękniejsze utwory („Pod toporem“, „Pustkowie“) znane były już z dawniejszego zbioru; przybyły do nich obecnie piosenki i uwagi nie mogące z niemi rywalizować, ale posiadające piękności cząstkowe, jako to: „Bzy zakwitły...“, „Jesień“, „Zima“, „Gwiazdy.“ Dział, zatytułowany klasycznie „sub tegmina“, przedsta-

wia poetę uciekającego z miasta na wieś, by zapomnieć w cieniu drzew, pod przykryciem błękitu o książkach, obrazach, koncertach, dziennikach, teatrach i fabrykach. Nie jest to jednakże sielankowe, sentymentalne zatopienie się w urojonych wsi urokach, wyzłoconych i wybłękitnionych „ciężką wieszczów pracą“, bo poeta zna cierpienia i brzydotę wsi rzeczywistéj, — ale jakby panteistyczne „zespolenie się miłosne z ziemią“, o którém powiada w zakończeniu téj wycieczki wiejskiéj, przedstawionéj w 7 ślicznych sonetach:

Zwolna się cały tracę we wszechbycie
I snem odrębne zdaje mi się życie,
Ten szlak samotny, żałobny, tułaczy...

Wzlatam w wietrzyka subtelnym podmuchu,
Błyszczę w grze świateł, płynę w chmurek puchu—
Lekko mi, błogo — wiem, co umrzeć znaczy!...

Z tego stanu zlania się z naturą, do którego zaprowadziły poezye Gomulickiego, budzą nas „Strofy“ bezimiennie wydane, przypominając szereg tortur, na które skazani jesteśmy w życiu dzisiejszém, jako ludzie wogóle i jako naród. Poeta znękany sam i zbolały, „zimny, bez wrażeń, jak zrąb krateru, żyje już tylko wygasłym duchem i mknie przez życie jak łódź bez steru, rzucona w odmęt wichrów podmuchem“, bo dawna jego wiara w ideały ludzkości, braterstwa, zburzona została najświeższemi objawami cywilizowanego barbarzyństwa, znęcającego się brutalnie nad pokonanym narodem, głoszącego zwycięstwo siły nad prawem, podającego za trzy główne dziejów czynniki: nienawiść, krew i żelazo. Tak usposobiony składa przed nami „zwęglone uczuć swych szczątki, co słabym żarem jeszcze się palą“, mając nadzieję, że ci, których serce kochające wchłonie je w siebie sympatycznie, węgiel na dyament przetworzą... Że w niejednéj duszy proces taki nastąpi, to chyba wątpliwości ulegać nie może, bo miłość zdolna do przetwarzania, ale byłoby złudą, któréj autor „Strof“ niewątpliwie nie ma, ażeby przemiana zawsze i we wszystkich dokonała się sercach. Nie dlatego bynajmniéj, iżby pomiędzy owemi „zwęglonemi uczuć szczątkami“ a społeczeństwem całém nie było nici sympatycznych. I owszem, kiedy w strofie XX („Intryga“) upomina się za prawem bronienia bytu narodowego, kiedy w XXI „Dziennikarzom“ wypomina przewrotność w potępianiu tego, co cześć wzbudzać powinno, kiedy w XXVI zgadza się na to, iż prawom natury ulegać trzeba, ale robi uwagę, że i ziemia ciąży ku słońcu, a jednak słońce jéj nie pochłania, kiedy w XXXI kreśli obrazek posiedzenia sądu, na którém wszyscy byli Polacy, a jednak obcym mówili językiem, kiedy w XXXVIII zaznacza zmianę w poglądzie na cywilizacyę niemiecką, kiedy w XXXIX woła:

Mury spiżami z armart obwiedli,
Milion bagnetów ich strzeże,
Pod twierdz basztami groźnie przysiedli
I wdzieli lśniące pancerze...
Lecz troska marszczy ich chmurne czoła
Przyszłości lękać się każe...
Więc gdzie słowiańskie kwitnęły sioła,
Wzrość mają pruskie cmentarze...

kiedy w LXXI przedstawia żarłoctwo pruskie; kiedy w LXVIII charakteryzuje „pieśni nasze"; słowem, kiedy pomysły swoje osnuwa na uczuciach trwałych, głębokich, albo mających w danéj chwili silne rozpowszechnienie to „zwęglone szczątki" natchnień poety „Strof" łatwo przemienić się mogą w dyamenciki. Ale kiedy utrwala wierszem uczucia przelotne, myśli nieprzetrawione, aspiracye chwilowe, rozgoryczenie z powodów mniéj ważnych (III, VIII, IX, XIII, XV, XXII, XXXVII, XLVI, XLVII, LXXV); to czytelnik zanadto się krztusi pyłem węglanym, ażeby nie pragnąć usunięcia go z téj atmosfery, którąby wraz z poetą oddychać pragnął i trudno od niego żądać, ażeby przerabiał te atomy na dyamenty; woła wtedy z poetą, który w strofie p. n. „Skrzydeł" bardzo pięknie powiada:

Chwastem porosła poezyi gleba,
Brak duchom wyższéj podniety,
Wielkiego wieszcza światu potrzeba,
Dantejskiéj siły poety...
Onby umysłom dał skrzydła nowe,
Tchnąłby w nie iskrę zapału.
On jeden mógłby duchy lodowe
Roztopić w czci ideału!...

Każdy musi trochę liczyć na wyrozumiałość ludzką, ale nie można liczyć na nią zanadto. Nie każde wrażenie da się przebrać w szaty poezyi tak, ażeby znalazło spółczujący oddźwięk w duszy bliźnich; zbyt wielka pochopność w tym względzie szkodliwie oddziaływa na ocenę całéj produkcyi poetyckiéj, zwłaszcza gdy się łączy z łatwością rymów i ze zwykłym jéj towarzyszem, zaniedbaniem w formułowaniu myśli. Są w „Strofach" dobre pod względem ogólnego pomysłu i sympatyczne pod względem treści utwory, ale nie mogą obudzić myślowego lub estetycznego zadowolenia dlatego, że w nich przez jakieś niezręczne, a niewątpliwie z zaniedbania tylko pochodzące, wyrażenie lub przez pierwszy lepszy, bez wyboru wzięty obraz albo rym, treść ta wypaczona została. Takiemi są w znacznéj części wiersze pomieszczone w dziale „Scherzo." Są one zazwyczaj lekkie, zręczne, tu i owdzie istotnie dowcipne, ale klejnocikami nazwać ich

niepodobna, gdyż ogólnie chorują na słabe, pospolite rymy, na niewybredne porównania, na szlafrokowe wyrażenia. Podobnych okazów nie brak również w działach: „Adagio“ i „Andante,“ lubo ich tutaj mniéj znacznie. Dla przykładu wskażę jeden tylko wierszyk: „Ausrotten!“ z chwili bieżącéj, z tendencyą sympatyczną. Jakżeż niedbale wykonał go autor! Ani logika ani gramatyka nie zostały w nim uwzględnione; a wyrazy i wyrażenia dla rymów tylko pozbierane. „Narodem mędrców ich nazywano“—mówi poeta o Prusakach. Dlaczego? „Bo wiedzy czcili *wyniki*“, a dopiero po takiém zaznaczeniu rezultatów dodaje o procesie myślowym, który do nich doprowadził: „Metodą nową, *głupcom* nieznaną, *badali* myśli tajniki“; a to określenie metody niczém się nie da wytłómaczyć jak tylko potrzebą rymu. Następnie mówi: „Czerpali mądrość z źródeł Prakritu, Z teoryi Indów—nirvana...“ Prakryt oczywiście wspomniany tylko dla osobliwości dźwięku, gdyż nie stanowi ani antytezy do „teoryi Indów;“ ani rozwinięcia myśli; nirvana zaś użyta w formie nieodmiennéj z powodu, że trzeba było zrymować z filozofią Hartmana w dalszym wierszu...

Autor „Strof“ niewątpliwy ma talent, ale go lekceważy, może z przekonania, że wszystko jest marnością na ziemi, że tedy nie warto nad doborem pomysłów i wyrażeń myśléć zbyt długo, a może dla uilustrowania w sposób dotykalny tych przeszkód, jakie w pracy poetyckiéj napotyka, co żartobliwie opowiedział w wierszu XCV „Męczarnie poety.“ I pierwszy i drugi powód nie jest przekonywający. Kto drukiem ogłasza swoje poezye, nie może ich poczytywać za marność i dbać winien o to, co ogółowi do ręki podaje; a szczegóły *roboty* poetyckiéj dobrze jest zachować przy sobie, zostawiając czytelnikowi gotowe już *prace*. Szczerość uczuć, ukochanie tego, co kocha ogół, szlachetne i rozumne myśli przewodnie są-to istotne zalety „Strof“; to téż ze względu na nie tém przykrzejszym dla mnie obowiązkiem było wytknięcie usterek i wad, które wynikły z zaniedbanego sposobu traktowania tematów, co się mogły stać przedmiotem prawdziwie pięknych utworów.

Wiele „Strof“ dźwięczało pesymizmem, a oto mamy przed sobą cały poemat liryczny w 3 pieśniach „Król Salomon“, nastrojem tym przejęty do głębi. Autor jego atoli, p. Włodzimierz Zagórski zastrzega się w przedmowie, żeby „Króla Salomona“ nie brać za „syntezę jakiegoś filozoficznego credo.“ „W chwili—powiada—gdy pesymistyczna nuta tak głośno rozbrzmiewa we wszystkich utworach piśmienniczych, uważam za swój obowiązek położyć szczególny nacisk na to zastrzeżenie.“ Każe więc go uważać za wyraz stanu duszy poety „w pewnéj danéj chwili“ życia; a chcąc dla niego pozyskać

i szersze uzasadnienie, dodaje: „Doświadczył tych smutków i tego bolesnego znękania z pewnością każdy, ktokolwiek spragnione usta zbliżył do krynic nowożytnéj nauki.“ Jeżeli w tém zdaniu zmienimy ostatnie wyrażenie zbyt jednostronne o wpływie nowożytnéj nauki na inne obszerniejsze, wskazujące cały szereg zawodów, smutków, cierpień życiowych i jeżeli jako spółczynnik tych wszystkich bolesnych doświadczeń dołączymy wyobraźnię żywą a skłonną do zadumy; to niewątpliwie przyznać będziemy musieli słuszność twierdzeniu, iż człowiek wśród takich okoliczności zmuszony do życia nieraz zawoła:

Marność jest klątwą ziemi syna,
A działem jego—nieświadomość,
A losem jego dzieł—znikomość
A imię jego proch i glina!
Próżno się kusi wzlecieć duchem
Z pyłu, gdzie trawi go tęsknota;
Próżno się zrywa i szamota
Skowan glinianym pęt łańcuchem.
Dni jego są jak dni najemcy,
A jak sęp głodny jego serce
I w wiecznéj z sobą on rozterce
I niemasz, niemasz dlań rozjemcy!

W tych słowach streszcza się, ściśle biorąc, wszystko, co „Kaznodzieja“ a za nim p. Zagórski w pierwszéj części utworu „Vanitas vanitatum“ wypowiada. Wszystkie inne ustępy są już tylko rozwinięciem i zastosowaniem ogólnego spostrzeżenia o znikomości myśli, uczuć, rozkoszy, bólu, czynów i zabiegów ludzkich. Gdy mówi o pracach człowieka, o wieczném „prochów wirowaniu,“ o marności użycia zmysłowego, o miłowaniu mądrości, o gospodarności i marnotrawstwie, o szukaniu sławy w sprawach wojennych, o losie dobrych i złych; wszędzie znajduje rozczarowanie, wszędzie widzi, że w świecie panuje, nie mądrość ni też sprawiedliwość, jeno bezmyślność i przygoda, że wszystko, za czém się ludzie ubiegają, jest tylko ch owém omamieniem zmysłów lub ducha, że znikąd niepodobna zaczerpnąć otuchy, że celem wszystkiego istnienia jest ciągłe dążenie do nicości, a raczéj ciągła bezmyślna przemiana. Po tak bolesném uświadomieniu sobie marności snów i czynów ludzkich, mędrzec w II części poematu zatytułowanéj „Vae soli,“ przeciwstawiając swój los jako reprezentant ludzi losowi kwiata, ptaka i błękitu niebios, które pędzą żywot swój pełen wdzięku bez trosk i smutków, najsilniejsze udręczenie odkrywa w tym fakcie, że jemu jednemu „mózg żrą myślenia głody“, że on jeden dobaduje się przyczyny swych nieszczęść. Uciekając od gwaru życia, wśród którego snuł dotychczas przędzę swych

myśli, pobiegł w „step głuchy i stroskany, w krainę śmierci i milczenia,“ by tam poszukać spokoju. Nie rozumiemy dostatecznie powodu, dlaczego tak sobie znękany i znużony mędrzec postąpił, boć chyba po wielu doświadczeniach tajném mu być nie mogło, że przyczyna jego bólów nie leżała w otoczeniu, wśród którego żył, ale najprzód w ogólnym ustroju świata a powtóre i głównie w jego własném usposobieniu, w jego wnętrzu. Mędrzec taki musiał wiedziéć, że samotnym można być wśród największego gwaru, a zupełnéj samotności nie osiągnie człowiek nawet w takim samotnym i głuchym stepie jak ten, do którego się schronił, gdyż zawsze towarzyszem jego nieodłącznym będzie nieubłagany sęp myśli. Raz wprawdzie czytamy, że mędrzec szedł piasków stepowych topielą „pod straszną nieba *rozgorzelą*,“ myśląc, że wyjdzie „z dróg żywota“, ale zdaje się, że to tylko frazes, bo nigdzie dalej naseryo do samobójstwa czy wogóle do unicestwienia nie dąży. A do takiego przypuszczenia skłania nas zachowanie się mędrca na owym stepie—dziwnie żakowskie. Powiada on, że krocząc puszczą, stawił słońcu czoło hardo „chcąc przesiłować je *pogardą*,“ aby mu „z czaszki mózg wyżarło,“ to znowu wyzywał wiatr pustynny, żeby mu otworzył grób gościnny; ale że próżny był jego zgrzyt i jęki, więc porzuciwszy nieme stepy, dlatego, że go *gniewała* ich zmartwiałość, pobiegł „przez skał urwiska i wertepy“ po to, żeby hyeny głodne i lamparty, a nawet lwy płoszyć „srogiém wejrzeniem“ lic swoich. A tłómacząc tę zrozumiałą ze strony hyen, ale dosyć zabawną ze strony lampartów i lwów tchórzliwość czy też grzeczność, powiada, że ponieważ był jak ogniem owionięty klątwą, iż śledzi dróg żywota, więc go „prawa świata“ nie dotykały... To wyjaśnienie trąci zanadto mistycyzmem, ażebyśmy mogli mu uwierzyć, i musimy przypuścić, że autorowi zabrakło pomysłu, ażeby zgodniéj z rzeczywistością przeprowadzić dzieje wewnętrzne swego mędrca. Bądźcobądź rozpędziwszy swém „srogiém wejrzeniem“ hyeny, lamparty i lwy, wydostał się wreszcie mędrzec ze stepu, dokąd zabiegł chyba dlatego tylko, ażeby autorowi dać sposobność do namalowania krajobrazu ponurego, i wybiega nareszcie na szczyt wysoki Libanu, mając u stóp gaje mirtów, słuchając tęsknych pieśni słowiczych i wtóru potoków. „Grało wszędzie bujne życie“, ale wdzięki jego nie wzruszały znudzonego mędrca; tonął więc w coraz „*grubszą* smętność i w cięższy przesyt i *surowość* (? dla kogo?), klął po staremu świata bezcelowość, aż nareszcie padł na zimny głaz i sądził, że go już ciemnie czarne śmierci ogarniały, co witał jak wybawienie, jak rozkucie pęt. Wtém (w III części poematu p. n. „Sulamit“) zbudził go głos dziewiczy, co „jak srebrny promień księżycowy lał się przez górskich łąk parowy, pełen tęsknoty i słodyczy.“ Mędrzena te n

głos zbudził się i poczuł, że dźwięk jego padał mu na duszę „jak na ów kwiat, co zwiądł w posusze, pada ożywczy deszcz wiosenny,“ obmywał go „jak łez potokiem i głód mu życia w piersi wlewał i niby światłem go przewiewał, kojąc pieszczoty swéj urokiem.“ Ten cudotwórczy wpływ głosu dziewiczego, jak wyjaśnia mędrzec, pochodził stąd, że dawniéj badając zawiłe sprawy świata „zapomniał wdzięczną miłość, co jedna słodzi życia wstrętność.“ Zdaje się, że to wyjaśnienie podane zostało wśród omroczenia erotycznego, bo gdyby mędrzec mówił w stanie normalnym, toby musiał się sam zastanowić nad sprzecznością słów swoich z tém, co powiedział dawniéj (str. 28 i 29), gdzie przedstawił nam się jako człowiek, który wszystkich już rozkoszy kosztował: „I piłem, piłem życia kruże ustami, sercem, całą duszą, myśląc, że wiecznie żądze kuszą i wiecznie kwitną wianka róże.“ I wówczas to doszedł do przekonania, że „rozkosz ziemska jest zwodniczą i leży na dnie jéj znikomość, i czarem jéj jest nieświadomość, a nasycenie jéj—goryczą!“ Widocznie jednak wtedy się omylił, kiedy oto teraz w młodéj i pięknéj Sulamitce znalazł „mistrzynię słodką prawdy wiecznéj,“ co miodem swych całunków odtruła wszystkie wstręty i frasunki dawniejsze. A może... może to nie był wcale mędrzec, tylko stary znudzony sybaryta, co się *bawił* przez czas jakiś w mędrca, nibyto badając zawiłe sprawy świata, dopóki nie znalazł jednego, świeżego ciała, które mu obiecywało dać chwilowe przynajmniéj podrażnienie zmęczonych nerwów?...

Takim rozdźwiękiem pomiędzy zamiarami autora a wrażeniem czytelnika kończy się poemat, w I części którego znaleźliśmy rzeczywiście odbicie przejść duchowych, doświadczanych przez niejednego i dawniéj i dzisiaj. Poeta źle zrobił, przeniewierzając się tradycyjnemu sposobowi pojmowania „Pieśni nad pieśniami“ i przenosząc miłość do Sulamitki na zakończenie pesymistycznych poglądów „Kaznodziei.“ Tylko z epikurejskiego (w zwykłém znaczeniu tego wyrazu) punktu widzenia zakończenie to dałoby się usprawiedliwić, sprowadzając wszystko do rozkoszy zmysłowéj. Ale ani pod względem estetycznym ani moralnym takie zakończenie nie zadawalnia; bo estetycznie brzydkim jest obraz przeżytego starca w objęciach hożéj dziewczyny, a moralnie bolesném jest przyznanie zwycięstwa zmysłów nad rozumem.

Autor nie jest mistrzem formy; nie popełnia wprawdzie rażących usterek, umie zachować raz obrany ton i sposób obrazowania, lecz nie stara się bardzo o świetność dykcyi ani o dobór rymów; końcówki jego wierszy—to pospolicie jednakowo kończące się kształty gramatyczne, a we frazeologii aż nazbyt często pojawiają się ab-

strakcyjne wyrażenia zamiast konkretnych. Baczny czytelnik odnajdzie przykłady téj charakterystyki w poprzedniém streszczeniu; tu dodam tylko parę uwag co do niestosowności lub niepoprawności niektórych wyrażeń. Przymiotnik *łasy* stosowany do kotów i do dzieci łakomych jest nieodpowiednim w charakterystyce żywota, co „plon zgonów chłonie“ (str. 25). Forma czasownikowa *zmęci* (str. 27), użyta dla rymu zamiast *zmąci*, jest niepoprawna; a formy *wiera*! (str. 39) niema w języku naszym; po staropolsku mówilo się *wierę*! Dlaczego śmierć idzie dzieci ludzkich *sadem* (str. 38), to wyjaśnia się jedynie potrzebą zrymowania jakiegoś wyrazu ze *śladem*. Wyjątkowe użycie form staropolskich *rodzajowie* (str. 51) *zatrzymywasz*, (str. 70) również tylko koniecznością rymu da się usprawiedliwić.. Czasownika *ściemiał* (str. 68), imiesłowu *nurząc się* (str. 84) nie zna język polski.

Od tych grozą pesymizmu albo szałem zmysłów przejętych zwrotek dobrze jest przejść na chwilę do uczuć spokojniejszych, codziennych. P. Rossowski za pośrednictwem „Poezyi“ swoich może nam ku temu skutecznie dopomódz. Jest on bowiem przedstawicielem natchnienia miarkowanego ciągle i w każdym temacie przepisami życia salonowego, strzeże się wybuchów namiętnych, któreby widziane były źle jako nieprzyzwoite lub śmieszne, mówi głosem przyciszonym, starannie modulowanym, któremu nie brak tu i owdzie pewnego wdzięku, ale który lęka się zbytecznego natężenia i ubliżenia konwenansom. Wprawdzie powiada poeta, że hasłem jego jest dążyć ciągle wyżéj i wyżéj, choć sam nie wie dokąd („Fragment“), byle tylko opuścić poziome szranki żywota i wydobyć się z jakiejś „krainy chmur“ i „z toni mgły ciemnéj“; wprawdzie utrzymuje nawet,—wbrew temu, co mówił o nieświadomości celu swéj wędrówki w sfery wyższe,—że dopóki widzi jasnych bóstw swych twarze, to nie da się odwieść niczém od wzniosłego polotu i zdruzgocze w proch czarnego anioła, który nań woła: „Wstrzymaj się, Ikarze“:—ale okazuje się niebawem, że to tak sobie frazes tylko rymowany, dla zwrócenia uwagi wygłoszony. Bo oto dowiadujemy się z wiersza „Zapóźno,“ że jasne bóstw twarze nie przyświecają poecie na jakichś przyszłości wyżynach, ale że „gwiazdy marzeń“ jego „śpią dawno w mogile wieków głębokiéj;“ że zdaniem jego przyszedł na świat zapóźno, że trzeba mu było urodzić się „pod dachem sklepień gotyckich“ i tam urość w truwera, albo w giermka, coby nosił „ogon królowéj i z łąki rwał dla niéj kwiaty.“ Ale w tym westchnieniu poety za czasami rycerskiemi brzmi także frazes tylko. Truwerem chciałby zostać i zachwycać „różnemi baśniami bitną drużynę,“ ale dodaje, że w te baśnie sam nie wierzy. A co do marzenia o zostaniu gierm-

kiem, toć i wśród dzisiejszych okoliczności o rolę podobną nie trudno; sam poeta kreśli następny obrazek (str. 31):

Chociaż cię miłość na złotych
Skrzydłach swych niosła,
Byłaś zmęczona podróżą,
Siadłaś na osła.
Za cugle wiodłem go nakształt
Wiernego sługi..,
Szedł jeden osioł pod tobą
Przy tobie—drugi...

Pozowanie na Ikara lub na wielbiciela wieków średnich nie może trwać długo, bo ani bajronizm ani romantyzm nie w modzie; łatwo też autorowi zastosować się do wymagań salonu, mieć dowcip żartobliwy i kostyczny w miarę, prawić komplementy, czasem tkliwą strunę zlekka poruszyć, o pięknościach natury słówko rzec—jeżeli się nadarzy sposobność zrobienia zręcznéj aluzyi do zwyczajów świata, w którym poeta przebywa. Tak np. gdy chce odmalować poranek w górach (str. 45) przychodzi mu na myśl, że góra otulona w mgłę wygląda „jak w koszulce panna": bo „wiotkie jodły na jéj szczycie falują jak włosy, wiatr *fryzuje* je i *zwilża* kropelkami rosy". A gdy przedstawia miłość narcyza do lilii, to zaraz dodaje, mając na widoku plotki i poetę salonowego: „Więc szemrzą zielska: to miłość zdrożna, strzeżmy zasady! Słowik zaś duma, czyby nie można mieć stąd ballady..." (str. 51). Takie połączenia myśli zrozumiałemi się stają, gdy zważymy, że poecie życie przedstawia się w formie *kajetu* (str. 74), z którego przeszłość (?) wydziera ręką *potężną* (! kajet może cały podrzéć i dziecko—niemowlę... po co tu potęga!) karta po karcie,—albo też w formie *rebusu* (str. 96, 97), którego nikt nie rozwiązał, choć każdy bada, lubo jeżeliby tak było, dodam od siebie, niewarto czasu tracić na odgadywanie takiéj jak rebus błahostki.

Właściwy poecie nastrój wyraża najlepiéj może następująca faramuszka (str. 92):

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!
Ja wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Odważyłem się bezbożnie
Rzec ci: „bóstwo me, aniele!"
I wzdychałem — to za trwożnie!
Całowałem — to za śmiele!

Karcąc mowę mą zuchwałą,
Ty szeptałaś, jak w kościele...

Byłaś piękna — to za mało!
Byłaś dobra — to za wiele!

Ta udana prostota i naiwność, to przekomarzanie się dziecinne, te igraszki słów i uczuć, ta gładkość wierszy a ubóstwo motywów odnaleźć się dadzą w wielu, bardzo wielu „poezyach“ p. Rossowskiego. Najlepiéj mu się udają obrazki z życia powszedniego, traktowane częścią poważnie, częścią żartobliwie, takie np. jak „Wigilia,“ „Urodziny święconego“, „Balowa sukienka,“ „Profesor z miłości,“ „Recepta na zięciów.“ Ładną jest także naśladowana w tonie i rytmie z Bohdana Zaleskiego „Piosnka z ogródka.“ Satyrycznym nastrojem, ale łagodnie przeprowadzonym odznacza się „Legenda miłości,“ w której miłość kołace po kolei do drzwi króla, magnata, tajnego radcy, wieszcza, uczonego—i wszędzie napróżno; każdy umiał znaleść odpowiedź stosowną, to że nie ma czasu na rozkosze, to że miłość zameldowała się bez karty wizytowéj, to że przyzwoitość nie pozwala przyjąć damy o niewłaściwéj porze, to że nie jest dość piękną, to że takiéj osoby wcale nie zna... „Cały świat—powiada w końcu poeta—jak rozpieszczone dziecię, Z poza blasków, dźwięków wzdychał do niéj... Szkoda tylko, że na całym świecie Nikt jéj nie chciał podać swojéj dłoni...“ Satyryczno-rzewna jest pieśń p. n. „Łzy,“ gdzie autor widzi we śnie płynące łzami koryta z odpowiedniemi napisami; były tam do sprzedania łzy kochanki, łzy spadkobierców milionów, łzy udanéj nędzy; tylko łzy matki nie miały ceny oznaczonéj, bo nie były na przedaż.—Trafnością przeciwstawienia z punktu zapatrywania się przeciętnego ogółu, oraz doborem przenośni celuje wiersz gnomiczny p. n. „Skromność.“ Skromność—mówi p. Rossowski—jest dzieckiem ospałém, które chwiejną swą ręką nie uszczknie kwiatów błyszczących na życia niwie i chociaż ciosom nadstawi łono, nie zdoła dosiądz celów; gdy tymczasem zuchwalstwo przemocą złamie twarde zapory gniewu, niechęci, a skruszone w boju ramię upadkiem swym uświęca tryumf jego; „i kiedy łaski losów bogate oplotą skronie zuchwalstwa harde, skromność otrzyma jako zapłatę: politowanie, szyderstwo, wzgardę.“

Ostatni dział „Poezyi“ p. Rossowskiego p. n. „Dziś i jutro“ ma trochę odmienną od poprzednich fizyognomią. I tu nie znajdujemy naturalnie objawów siły, ani wrzących namiętności, ale poeta porusza kwestye wychodzące poza obręb przekomarzań miłosnych, słodkawych wynurzeń uczuciowych, konwencyonalnych obrazków życia... Przeczuwa tu i przepowiada „przewroty nowéj ery“ i pragnie, ażeby grom potężny strzaskał przepróchniałe świata stery, żeby rozwiał „tę drzemiącą w cieniu wiatrów senną ciszę i potężnem uderzeniem rozkołysał huragany.“ Jest to negatywne tylko określenie, że

to, co dotychczas było, nie zadawalnia już ludzkości, a pozytywne przyszłe nabytki ogólnikowo tylko zaznaczone są jako wyniki poznania „prawdy nagiéj“; ale jak na poetę, który dotąd krążył wśród poziomych szranek, i to dosyć, że czuje już potrzebę zmiany. Zastrzega się p. Rossowski, żeby go nie brać za radykalnego burzyciela, nie każe śmiać się z mar jasnych, „co tam śpią w mogile głuchéj,“ powiada, że „nam idei ich nie wolno czczą piętnować tylko brednią; przeszłość matką jest przyszłości, więc uchylmy czoła przed nią.“ Żaden téż zapewne z czytelników nie posądzi autora, który chciałby być truwerem i giermkiem, o zamach na „jasne mary“ przeszłości; co więcéj z pewném zdziwieniem odczyta daléj, iż „szara chwila, mgliste świty fałszem są w dziedzinie ducha,“ iż „próżne wszystkie wysilenia, które wsteczny prąd poczyna,“ bo gdy w ludzkości żądza (tj. nowa idea) powstanie, „depce bezlitośnie własny plon na świata łanie.“ A to zdziwienie wzrośnie jeszcze, gdy pod adresem wsteczników ujrzy słowa: „Niechaj serca ani duszy samolubstwo wam nie zrani, gdy padniecie pod jéj stopą niby kłosy—podeptani; może nawet sprawiedliwość w głos natenczas się rozkwili; ale dzieje, was pochwalą, żeście *w czas zejść potrafili*“ (str. 128).

Te końcowe odezwy zdają się wskazywać, że p. Rossowski sam znudziwszy się atmosferą codzienności, w któréj przebywać dotychczas lubił, zastanowić się gotów nad ważniejszemi przejawami życia społecznego i może następnie być poetą prądu nowego, wstrząsającego umysłami i gotującego dla ludzkości nową fazę bytu. Poczucia poetyckiego w nim nie brak, a ono ochronić go zapewne potrafi od suchego, dydaktycznego tonu w traktowaniu nowych dla wyobraźni jego przedmiotów, które obecnie jeszcze tylko z abstrakcyjnéj głównie przedstawiają mu się strony.

Z konwencyonalnego świata rzeczywistości, w którym trzymał nas p. Rossowski, przenosimy się wraz z „Baśnią“ Korczaka do konwencyonalnego świata romantyki. Autor prowadzi nas „tam, gdzie gwiazdy płoną, tam, gdzie niknie świata sprzeczność, gdzie w miłości bóle toną, tam, gdzie niebo, bezmiar, wieczność,“ ażeby stamtąd ukazać nam „ciemne światy ludzkości, znoje dusz i serc pragnienia.“ Podniosłe to stanowisko poety mogłoby rzeczywiście okazać się dla nas, czytelników, pożytecznem, gdyby się stało powodem do rozszerzenia widnokręgu w poglądzie na sprawy ludzkości, gdyby przyczyniło się do głębszego, wszechstronniejszego wejrzenia w owe znoje dusz i pragnienia serc. Ale niestety, u żadnego może z dzisiejszych poetów nie sprawdza się w takim stopniu jak u autora „Baśni“ trafne spostrzeżenie Gomulickiego:

Rzadko dziś czysty kruszec spotykać się zdarza
I najczęściéj poety duch jest amalgamą.

I to amalgamą — dodajmy — nie w tém znaczeniu, jakie Gomulicki miał na myśli, przytaczając Balladynę, ale w gorszém stokrotnie. Sam Korczak powiada: „niechaj wieszcze przeszłości moję lutnię nastroją“, a i bez tego wyznania łatwo zauważyć nader, lub może aż nazbyt wyraźne naśladowanie Krasińskiego, Słowackiego i Dziadów Mickiewicza. Wzory są niewątpliwie bardzo dobre, ale i bardzo podniosłe, ażeby kopiowanie ich było łatwém. Naśladowcy zazwyczaj biorą tylko zewnętrzność, powierzchowność, bo te skopiować nie trudno, ale nie potrafią pochwycić istoty wzorów. Obrać formę dramatu fantastycznego, posługiwać się legionem szatanów dla przedstawienia pewnego szeregu myśli, wywoływać z grobów dusze i kazać im przemawiać o swoich cierpieniach, używać prozy poetyckiéj naprzemian z wierszami o niewyszukanych rymach: to rzecz stosunkowo dość łatwa; ale umiéć to wszystko zastosować do odmalowania obrazów pełnych wzniosłości, grozy, nadzwyczajności, a równocześnie pełnych prawdy materyalnéj i duchowéj — to zadanie, któremu podołać potrafią tylko umysły gienialne, zdolne do lotów wysokich i do swobodnego kierowania niemi. Umysły o średnim talencie, przyswajające sobie formy umysłów gienialnych, a nie umiejące niemi się posługiwać, podobne są do tych, co chodzą na szczudłach, chcąc wmówić w widzów, że latają w powietrzu.

Gienialności zapewne i sam Korczak sobie nie przyznaje, gdyż czuje zbyt wielką, jak na poetę oryginalnego, zależność swoję od wzorów. Pragnie on wzleciéć nad poziomy, ale nie ma po temu sił dostatecznych. Nęci go przykład autora Anhellego; powiada sobie: „niech nie milczą te serca, z których pieśni brzmiéć mogą“ i roztacza przed nami dzieje poety Kinrila (t. j. Lirnika) i Ireny, jego kochanki, a to w towarzystwie i otoczeniu szatanów, aniołów i Eloe, owéj strażniczki grobowców, którą fantazya Słowackiego ze łzy Chrystusa na Golgocie przelanéj wywiodła. Szatan główny w pierwszym obrazie opowiada, że przysiągł kiedyś Stwórcy, iż postawi stopę swoję z całą potęgą na jednéj połowie ludzkości i będzie ją gniótł przez wieki. Tą połową gniecioną są kobiety, które Szatan uczynił tylko narzędziami rozkoszy i rodzicielkami, odmawiając im człowieczeństwa. Powiedzmy nawiasem, że ten szatan był ograniczonym, gdy nie umiał odróżnić narzędzi rozkoszy od rodzicielek i pomieścił je w jednéj kategoryi, ale ponieważ z nim dzieją się rzeczy trudne do uwierzenia, można nie kłaść zbyt wielkiego nacisku na jego zdolności logiczne i poczucie moralne. Ten sam bowiem szatan, który dopiero co się odgrażał na całą ludzkość, pragnąc przemienić jéj życie w „targ i gwałt“, naraz w rozmowie z Eloe, widać sprzykrzywszy sobie rzemiosło swoje, wybiera się na wędrówkę, by

policzyć łzy, co płyną na świecie, i przyrzeka, że jeżeli znajdzie jedną łzę czystą, to porzuci świat, bo i jego także ból gniecie, a drwiąc, sam z siebie drwi, gardząc, gardzi sam sobą. Prawdopodobnie przypatruje się następnie romantycznemu *hocus-pocus*, jakie wyprawia Eloe dla Kinrila, wywołując rozmaite duchy z grobów, jako to: zwolennika dawnych dobrych czasów, kiedy była wiara korna i niewolnictwo, demagoga pędzonego szaloną nienawiścią względem bogatszych i możniejszych, kobiety żyjącéj jak kwiecie i umierającéj jak kwiecie, syna nieprawego-matkobójcy, lalki salonowéj, sieroty-złodzieja, skruszonego zbrodniarza, dziecka marzącego, kochanka własnych urojeń, zawiedzionego w nadziejach, błazna, poety, całego chóru wreszcie, który błaga Stwórcę, ażeby spojrzał na świat pełen łez i krwi. Stwórca na te błagalne zaklęcie nie odzywa się, ale ukazuje się natomiast szatan, który widocznie znalazł czystą łzę, bo się ulitował nad ludzkością i postanowił zasnąć i pożegnać świat. Podczas jego snu zlatuje anioł, który słysząc szlachetne marzenia szatana, wykrzykuje, że jest godnym nieba i że jeszcze tam powróci.... Następuje pauza, ażeby szatan mógł sobie dobrze wypocząć, ale czytelnicy przez to nic nie zyskują, bo autor prowadzi ich znowu na grób kochanki Kinrila i każe jéj w długich, bardzo długich wierszach opowiadać, jak rodzice zubożali chcieli ją wydać za brzydkiego, ale bogatego starca, gdy ona kochała Kinrila, jak następnie przeniosła się dobrowolnie do mieszkanka poety, jak była przez chwilę szczęśliwą, jak oczekiwała ślubu, ale się go nie doczekała, jak następnie tęskniła po odjeździe poety, jak ucieszyła się jego powrotem, a potém popadła w smutek bezbrzeżny, gdy znowu pojechał i nie wrócił, aż wreszcie zeszła do grobu. Eloe w imię hasła romantycznego, że „miłość nie jest winą“, wyprosiła u nieba przyjęcie duszy Ireny i uniosła ją nad błękity, a dusza ta z górnych sfer przesłała przebaczenie Kinrilowi. Szatan przez cały ten czas przesypiał się, ale gdy Eloe widocznie zboczywszy z drogi do niebios złożyła „u stóp jego“ ducha Ireny, przebudził się, a lubo duchy piekielne starały się krzykami obudzić w nim dawną na ludzi zawziętość, rozczulony przemową Eloi, oddaje jéj (—nie wiadomo jakiém prawem—) duszę Ireny, prosząc tylko, by Eloe nim nie gardziła. Eloe spogląda długo na szatana ze łzami w oczach; duch Ireny przemienia się w anioła i ulatuje wraz z Eloe; szatan zaś ze łzą w oku spogląda na niknące w oddali, następnie wypowiada monolog, w którym wyraża swą zazdrość względem ludzi, którzy cierpią wprawdzie, ale kochać też mogą; rzuca wyzwanie Bogu przy strasznych grzmotach i nadzwyczajnych błyskawicach, a w końcu grozi Bogu, że rzuci nań straszniejszy nad wszystkie gromy, grom śmiechu pogardy.... Rozmowa

dyabełków kończy te sceny fantastyczne, które były, jak się zdaje, tylko snem Kinrila, który teraz dla orzeźwienia się idzie o świcie do lasu, gdzie burza szaleć zaczyna, ale to dla poety romantycznego najprzyjemniejsza zabawa, bo „potężniejsze są w szale wszystkie myśli“ jego. Głos odległy pobudza go, żeby szedł daléj: „do walk życia—do pieśni — w dźwiękach pieśni do Boga!...“ I na tém kończy się pierwsza część poematu, dotychczas ogłoszona. Czyż ona nie przypomina kroczenia na szczudłach i to wielce jeszcze niewprawnego? Czy szatan cośkolwiek wypowiedział więcéj niż Konrad w improwizacyi? Czy owe duchy budzone z grobów rzekły coś nowego lub rozumniejszego, czegobyśmy nie czytali w zwykłych obrazach życia przedstawianych w poezyi, powieściach, dramatach? Czém się wyróżnia Kinril przy swoim marzycielstwie i samolubstwie, a przy afektowaném popisywaniu się z wielkiemi frazesami od dziesiątka przynajmniéj swoich współbraci w literaturze?... Potrzeba tylko dodać, że te wszystkie powtarzania, ujęte są w formę ciężką, w styl nieraz niepoprawny. Zaplącze się tu i owdzie myśl trafna, obraz udatny; ale najpobłażliwszy nawet czytelnik nie może o nich długo pamiętać, gdy aż zanadto często musi się zżymać albo na dziwactwo formy, albo na niewłaściwość myśli, albo na słabość lub niezdarność wyrażenia. Gadanina poetycka nie zyskuje nic na tém, że jest ubrana w szaty fantastyczne, jeżeli treść nie dostraja się do formy.

W skromnych ramach prostéj powieści poetyckiéj ujął Tadeusz Otawa dzieje miłości i zgonu dwojga kochanków stepowych. Nie pierwszy to raz występuje autor z tą formą opowiadania, która dziś tak mało już znajduje uprawiaczów, a niegdyś tak szeroko była rozpowszechnioną. Czytelnicy *Ateneum* przypomną sobie sprawozdanie z jego „Haliny.“ Z gór tatrzańskich przenosi nas teraz Otawa na step ukraiński i zdaje się, że to jest dziedzina, w któréj czuje się sam bardziéj w swoim żywiole. „Pieśń lirnika“ jest o wiele prostszą od treści „Haliny“ i rozwija się swobodnie bez żadnych wielkich zawikłań. Jest ona dla niewidomego starca, który płakać już nie może, łzawém przypomnieniem dziejów serca, dawno w zamierzchłą przeszłość cofniętych, ale ciągle obecnych pamięci. Ton liryczny przejmuje też całą opowieść i serdecznością swoją przemawia do naszego uczucia, lubo wyobraźni naszéj nie daje karmi obfitéj. Kozak pokochał kozaczkę: miejscem, na którém żyło i kochało się tych dwoje był step okiem niezmierzony:

Tu pod namiotem z powietrza i słońca
My sami wiedli rozmowy bez końca;
I tu patrzałem na nią, gdy wesoła,
Pierścienie włosów odgarniała z czoła

I swoją rączką naszych stepów kwiaty
Kładła na główkę, ubarwiała szaty.
. . . .
Ach! z nią się równać nie mogłaby żadna,
Tak była świeża, urocza, tak ładna.
Gdy swoich splotów rozpuściła końce,
I szła po stepie z podniesioną głową,
To swéj jasności wstydziło się słońce.
Ona się stepu zdawała królową!
Gdy szła ścieżyną i zrywała kwiatki,
Mając na głowie różnobarwny wieniec,
To się wdzięczyły do niéj, jak do matki—
A na jéj licu rozkwitał rumieniec.
Więc, zawstydzona, że jéj twarz tak płonie,
Ukrywała ją w różyczek koronie.
Dla mnie — ach! ona była wszystkiém razem:
Słońcem, królową i lilijką białą,
Bo moje serce tak ją pokochało,
Żem jak przed świętym korzył się obrazem.

Ta prostota w malowaniu uczuć miłosnych barwami zwykłemi, trochę dziś już zblakłemi, jest bardzo właściwą w ustach lirnika kozackiego; możnaby tylko zauważyć, że ten kozak bardzo podobny do samego poety w wyrażeniach, że jest-to kozak nie prawdziwy, ale konwencyonalny, jaki w poezyi szkoły ukraińskiéj zwykle się pojawia. Bądź-co bądź miłość ta spokojna, cicha, bez przeszkód rozwijała się na stepie do czasu, gdy „świsnęły w dali tatarskich hord strzały i krwią się Dniepru zrumieniły wody.“ Wówczas kozaczka zaproponowała kochankowi, żeby dla obrony chaty rodzicielskiéj i ziemi rodzinnéj poszli razem, przebiegli szlaki:

Jak dwa mołojce — dwa orły kozaki —
I tam, gdzie strzały nieprzyjaciół świszczą,
I tam, gdzie spisy zaporoskie błyszczą,
I tam, gdzie jęki, gdzie rozpacz, gdzie wrzawa,
Gdzie się śmierć z ludzkiéj mocy naigrawa —
I tam, gdzie męska dzielność i gdzie trwoga,
Tam my staniemy piersią *przeciw wroga!*

Po tym trochę za retorycznym wybuchu uczuć, kozaczka spełniła swoję propozycyą, przebrała się za kozaka, dosiadła dzielnego konia i wraz z ukochanym dostali się do obozu mołojców. Trochę było podejrzenia wśród nich, że to krasawica a nie kozak zwiększył ich grono, ale dzielne odezwanie się jéj przytłumiło wątpliwości — i odtąd pozostała w obozie. Niebawem przyszło do bitwy z Tatarami. Kozaczka dowiodła, że męstwo jéj i odwaga to nie puste frazesy, ale dowód ten przypłaciła śmiercią. Długo szukał napróżno

kozak towarzyszki swojéj, aż wreszcie znalazł jéj trupa. Na brzegu rzeki, przy Dnieprowéj fali grób wykopał dla niéj szablą, nanosił nań ziemi, usypał mogiłę rękami, zrosił łez strugą i obsadził kwiaty wonnemi. Odtąd codzień widywał ją o północy, jak z srebrzystéj fali wypływała, lub jak bujała po chmurkach śród niebios błękitu, lub na ziemię schodziła po promieniach tęczy. Ludzie nie wierzyli tym widzeniom i śmieli się z szalonego lirnika-dziada, ale on twierdził, że przeczono dlatego, iż nikt nie kochał tak bardzo jak on; „ona jest zawsze ze mną — powiada słusznie lirnik — bo jest we mnie.“

Do téj pieśni lirnika dodaje autor od siebie zakończenie. Dziad widzi oczyma duszy ukochaną swą po raz ostatni; powstał, słucha. Cóż słyszy?

. . . . . . Cisza — ach! cisza grobowa!
Czy ten jęk z mogił, kurhanów? jęk bratni?
To może bardów tajemna rozmowa?...
To może dziad ten, z lirników ostatni,
Jak gdyby dawno znajome mu dźwięki,
Chwyta uszyma zagrobowe jęki?..
A kto nie wieszczem stepów, nie zrozumie,
Nic nie dosłyszy w pustych dźwięków szumie;
Lecz bard, lecz pieśniarz, lecz ten lirnik stary....
Może z nim wtenczas rozmawiają duchy?...
Może mu w pieśni wtórują moczary?...

Przycisnął mocniéj lirę do łona, coraz smutniéj grał, coraz boleśniéj, nagle dźwięk zabrzmiał ponuro, dziad urwał, spojrzał na niebo obłąkanym wzrokiem, jak gdyby szukał kogoś po za chmurami, padł na ziemię i skonał.

Bezimienność bohaterów téj powieści, brak szczegółów w roztoczeniu wypadków mogą tłómaczyć się albo lirycznym nastrojem całości, dla którego dosyć wyrazów: *on* i *ona*, albo chęcią uogólnienia, uosobienia pewnych stosunków dziejowych między Polską i Ukrainą, chęcią, któréj autor nie zamierzał zbytecznie akcentować. Piękności niezwykłych, pierwszorzędnych nie znajdziemy w tym utworze, ale niéma też zaniedbania lub nieudolności rymotwórczéj; pod tym względem dałyby się wytknąć nieliczne tylko usterki (str. 30: rzekłem-wyrzekłem, str. 38: pomkły i t. p.).

I znowu wracamy do obrazków i zagadnień życia dzisiejszego. P. Bolesław Londyński, pisujący dawniéj pod pseudonimem Bruno Las, zebrał z wydawnictw humorystycznych swoje wiersze okolicznościowe i ogłosił je jako zbiorek „Poezyi.“ A choć takim tytułem zbiorek ten przyozdobił, wyznaje, że do rzędu prawdziwych poetów liczyć się nie śmie, przewiduje z żartobliwą przesadą, że krytyka na-

zwie go „nieprawym synem Muzy," wie, że sława byłaby „za wielkim zbytkiem" dla jego „wierszy"; ale równocześnie przytém roi o jednéj ich wartości, że wyjdą „ojczyźnie na pożytek." Zapewne, każdy służyć może i powinien spółziomkom tém, na co go stać, i jeżeli tylko dokona tego, co umie, tak, jak to autor określił w wierszu „Obowiązek", to jest wytrwale, nie zrażając się przeszkodami, wciąż naprzód postępując, to może się nazwać użytecznym kraju obywatelem. Nie każdemu dostała się w podziale zdolność szybowania pod niebiosa, nie każdy potrafi odkrywać nowe prawdy lub téż nadawać znanym piękną, pociągającą formę, ale każdą zdolność można doskonalić i doprowadzać ją do tworzenia rzeczy coraz lepszych. P. Londyński posiada dwa przymioty: werwę młodzieńczą, zwracającą się przeważnie ku wytykaniu wad i ułomności ludzkich, oraz niepospolitą łatwość wierszowania. Nie można powiedzieć, ażeby używał pierwszego przymiotu na złe cele; w wierszach jego znajdujemy wszędzie trafne poczucie tego, co dobre, piękne, szlachetne, a ztąd też w wyszydzaniu przeciwnych im objawów wszędzie jest słuszność. Przeciwko wadom, które chłoszcze swém piórem, takim jak: blaga, chwiejność zdania i postępowania, zakładanie całéj działalności na mówieniu ładnych frazesów, maskowanie się, pycha, zarozumiałość i nieczułość bogaczy, lichwa, pogoń za groszem, życie nad stan i zadłużanie się, patrzanie na złe przez szpary, branie kubanów, rozpusta, spodlenie i t. p., każdy uczciwy człowiek jest na równi z satyrykiem wrogo usposobiony i chłostę jego chwali. Lecz to jest etyczna zaleta, bardzo ważna niewątpliwie, ale nie dostateczna do nadania wierszom znaczenia poezyi. Wszystkie te zdrożności, które pod rozbiór wziął p. Londyński, są rozpatrywane, że tak powiem, na poczekaniu, jak to było właściwém charakterowi pism peryodycznych, w których poezye te pierwotnie się mieściły, bez głębszego wejrzenia w ich źródła i istotę tych zdrożności, bez starania o prawdziwie artystyczne ich odtworzenie. A przecież w tak popularnym właśnie rodzaju satyry, jaki uprawia autor, dbałość o te zalety byłaby bardzo pożądaną, bo idzie tu o rzecz ważną, o dodatnie oddziaływanie na ogół czytający. Autor ma tę wadę, którą sam społeczeństwu wytyka, że traktuje rzeczy „przez nogę"; i nie tylko żartobliwie, ala na seryo musi o sobie powiedzieć: „Idąc torem obyczaju, i ja, chociaż gderam, własną pracę rymotwórczą nieraz *poniewieram*" (str. 175). Często wpadnie mu na myśl temat, który mógłby stać się prawdziwie poetyckim obrazem zdrożności, ale autor śpiesząc, ażeby coprędzéj kilka lub kilkanaście zwrotek utworzyć, dotyka go po wierzchu tylko, pobieżnie, bez pilniejszéj rozwagi. A do tego lekceważenia w traktowaniu tematów przyczynia się u niego

w wysokim stopniu łatwość wierszowania. Mając pewien zapas wyrażeń, porównań, przenośni i rymów szafuje niemi bez staranniejszego wglądania w to, czy one ułożą się w piękną harmonią, czy wypowiedzą dobitnie myśl, którą miały wyrazić, czy chęć zrymowania wierszy nie skrzywi rozpoczętego obrazu. Stąd jego poczucia logicznego i estetycznego nie razi wcale, gdy powtórzy dwukrotnie w jednym utworze: „ja z krwią w żyłach, *z sercem w krzepkiéj dłoni*“ (str. 17, 20), ani gdy napisze: „wy, co w *nędz* ducha pogrążeni *masie*“ (23), lub „czoło me zdobi werwa i otucha“ (33), ani gdy temiż samemi zwroty (i to niezbyt szczęśliwemi) nieraz się pieści (zmysły onieśmielać str. 5, 228; nędza grozi szyderczo kosturem, str. 18, 24; po wertepach życia, str. 22, 33 itp. itp.). Stąd wyrażeń brukowych, żargonowych nie tylko nie unika, ale chętnie niemi się popisuje. Stąd o dobór rymów stara się niewiele. Jeśli autor chciał naprawdę poezye swoje puścić w świat „ojczyźnie na pożytek“, powinien był trochę więcéj nad swoją zdolnością popracować i trochę więcéj przyłożyć starania ku wydoskonaleniu swych natchnień satyrycznych....

„Poezye“ d-ra Długoborskiego co do treści swojéj na równe uznanie zasłużyć mogą jak poezye p. Londyńskiego, lubo są w innym rodzaju, bo uczuciowym lub gnomicznym, ale co do wykonania są od nich znacznie gorsze, bo oprócz zaniedbania a niekiedy nawet nieudolności formy, grzeszą jeszcze niepoprawnością języka, a mianowicie rusycyzmami. W wyrażeniu uczuć znajdujemy tu konwencyonalną frazeologią, w malowaniu krajobrazów — barwy spłowiałe, w rozwinięciu myśli—brak głębszéj analizy. Co do słabości wiersza, może dać pojęcie następny czterowiersz—oczywiście wybrany w tym celu umyślnie:

Życie jest krótkie — więc *nie męcz!*—
Oszczędź *ty* bólów bratu;
Uwij przymierze z jasnych tęcz
I okaż wzgardę światu (str. 34).

Są tu naturalnie i wiersze lepiéj rymowane; do stosunkowo najudatniejszych należy „Marzenie.“

Oprócz pieśni lirycznych i gnomicznych w zbiorku mieszczą się jeszcze trzy obszerniejsze poemata: gawęda „W piwiarni“, fantazya „Rusałki“ i dyalogowany utwór fantastyczny „W ciemności.“ Pierwszy przedstawia rozprawy przy kuflach piwa, grę i śmierć muzyka steranego i zmarnowanego; wykonany jest realistycznie, ale nie budzi spółczucia tylko niesmak. Drugi opowiada o chłopcu, który nie zaproszony po zabawie u rodziców kochanéj dziewczyny na nocleg, zbłądził w lesie u jeziora i pociągnięty śpiewem rusałek obiecujących

stałe rozkosze — poszedł do nich; w drugą noc do jeziora wskoczyła téż i dziewczyna; ponieważ motyw pierwotny o nieprzyjęciu chłopca na nocleg nie jest dostatecznie jasny dla czytelnika, więc téż całość nie może sprawić głębszego wrażenia. Najobszerniejszy poemat „W ciemności" jest naśladowaniem II części „Dziadów." Powoływane z grobu duchy opowiadają sceny ze swego życia; pojawiają się po kolei: morderca, chciwiec, sierota, która wyszła za bogacza, choć innego kochała. Ta ostatnia mara najdłużéj opowiada o swoich cierpieniach, o strasznych w życiu przejściach. Chór wysłuchawszy tych sprawozdań grobowych przychodzi do wniosku, że gdy „noc ciemna roztoczyła swe kiry dokoła", gdy „myśli się poplątały, nędzy niéma końca", oczekiwać należy dnia straszliwego, który „da moc temu, co dobre, wydrze ludzkiéj złości, lub zagładę téż ześle i zażąda kary; wytępi w noc wylęgłe występki bez miary." Przedstawienie całości w formie fantastycznéj, podobnie jak w „Baśni" Korczaka, tylko z mniejszym daleko talentem słowa, nie ma właściwie żadnego celu i niczém nie jest usprawiedliwione; a nader słabe wykonanie sprawia, że wrażenie z przeczytania wynosi się ujemne.

Tenże autor ogłosił także pierwszą część „Ech szalonéj Ameryki." Nieudolność formy i niepoprawność języka jest tu takaż, jak i w „Poezyach"; tylko więcéj gadatliwości. Autor w bardzo długiéj gawędzie dowodzi rzeczy, która już dawno w publicystyce naszéj spopularyzowaną została, że kobieta potrzebuje wyższego wykształcenia, ażeby mogła zostać prawdziwą towarzyszką męża, dobrą matką, umiejącą wychowywać swe dzieci, żeby nie była ślepą naśladowniczką mody, żeby umiała rozmawiać o rzeczach poważnych, interesujących wykształconego mężczyznę i tym sposobem podniosła poziom życia codziennego. Może te prawdy nie są jeszcze dość upowszechnione, może autor z własnych spostrzeżeń przekonał się, że potrzeba je wielu powtarzać ludziom; ale należy zrobić uwagę, że aby apostolstwo takich prawd było skuteczne, aby je przyjęto chętnie, potrzeba zręczniéj się brać do niego niż d-r Długoborski, który rozwlekłą gawędą prędzéj znudzi czytelnika, niż go przekona.

Takie są ostatnie plony poezyi naszéj. Jakkolwiek wielką odznaczają się różnorodnością, można pomiędzy niemi odnaleźć jednę cechę spólną, ale niestety! negatywną tylko. Nigdzie nie odkryliśmy jakiéjś myśli wybitnéj, jakiegoś ideału, ku któremu zwrócićby się mogły uczucia ogółu. Najbardziéj utalentowani czują potrzebę takiego ideału, wyznają głośno dawne romantyczne hasło o posłan-

nictwie poezyi w narodzie, ale po za temi ogólnikowemi odezwami nie robią nic takiego, coby ich do urzeczywistnienia owego posłannictwa zbliżyło. Eklektyzm i wirtuozya — to znamiona charakteryzujące twórczość najlepszych, najzdolniejszych; powtarzanie tematów starych, naśladownictwo niezręczne lub nieudolne wzorów romantycznych, satyra zdawkowa i powierzchowna, pesymizm jednogodzinny — to cecha umysłów mniéj śmiałych lub mniéj utalentowanych. Wszędzie brak świeżości i orlego polotu. A przyczyna? Bodaj nie inna, jak — że nam wszystkim nie dostaje możności szerszego oddechu....

P. Chmielowski.





ZNACZENIE PARY WODNÉJ W POWIETRZU

DLA ZDROWIA NASZEGO.

(SZKIC TREŚCI FIZYCZNO-HYGIENICZNÉJ).

I.

Wpływ wilgoci atmosferycznéj na zdrowie nasze bardzo jest znaczny, nie tyle wszakże jeszcze znany powszechnie, jakby należało. Dla roślin i zwierząt pewna ilość pary wodnéj w powietrzu koniecznie jest potrzebna. Wiemy oddawna, że powietrze za *nadto suche* zabiera im łapczywie wilgoć ich naturalną i nad miarę wysusza wszystkie błony organiczne, szkodzi więc niepomiernie, jeśli posucha trwa czas dłuższy,—powietrze zaś za nadto wilgotne utrudnia znowu wielce transpiracyą przez skórę i płuca, dla zdrowia koniecznie potrzebną, i działając w ten sposób dłuższy czas bez przerwy, szczególnie gdy jest zimne, szkodę nam przynosi.

Lecz co rozumiemy właściwie przez wilgoć powietrza? Na pytanie to daje odpowiedź fizyka, która uczy, *a*) że powietrze zawsze i wszędzie pewien, czasem większy, czasem mniejszy zasób pary wodnéj w sobie mieści;—jestto ilość jego rzeczywista, także *bezwzględną* nazwaną, *b*) że ta bezwzględna ilość pary wodnéj w powietrzu atmosferycznem z temperaturą jego rośnie i przy wysokich temperaturach 4, 5 a nawet 10 razy bywa większą, niż przy nizkich; *c)* że przy każdéj temperaturze w powietrzu do pewnéj tylko granicy ilości pary wodnéj przybywać może. Ilość ta zowie się téż *maksymalną*, temperaturze odpowiednią ilością (*maximum*). I tak np:

przy temperaturze		1°R,	5°R	8°R,	10°R,	15°R,	20°,R,	25°R,	30°R.
co najwięcéj	. grm.	5	7·3,	9·2,	11,	16,	23·1,	32·6,	44 grm.

pary wodnéj w metrze sześciennym (stere) powietrza mieścić się może, najmniejsza zaś nadwyżka wskutek obniżenia temperatury po-

wstała, zaraz skroplić się musi (rosa, mgła). Wówczas dalsze tam parowanie wody ustaje, gdyż powietrze nasycone jest parą. Temperaturę, przy któréj to się stanie, zowią *punktem sytu* czyli także *stopniem nasycenia*. Najlżejsze zamglenie w powietrzu, najdelikatniejsza powłoka rosienna na powierzchni lśniącego się przedmiotu, zimniejszego od najbliższych warstw powietrza, świadczy o zaszłém przesyceniu powietrza parą. Jeśli ono np. przy 8°R (10°C) zawiera 5 grm. pary wodnéj w jednym *sterze*, daleko mu jeszcze do zupełnego nasycenia się nią, tj. do nabrania w siebie 9·2 grm. wody, które przy téj temperaturze w stanie gazu utrzymywać może. Różnica 9.2 — 5 = 4·2 grm. przedstawia ówczesny jego *niedosyt*. Jeśli zawiera 9 grm., niedosyt wynosi 0·2 grm. i nasycenie jego już bliskie, w razie zaś dojścia niedosytu do 0, tj. *sytu* do 9·2, jest ono parą całkiem nasycone. Otóż od ułamków 5/9·2 = 0·54, 9/9·2 = 0·97, 9·2/9·2 = 1·00, czyli od stosunku rzeczywistéj ilości pary wodnéj w powietrzu danéj temperatury do *największéj* możliwéj przy téj temperaturze, czyli do t. z. *maximum* temperaturze odpowiedniego, zależy mniejsza, lub większa bliskość wydzielania się pary w postaci najdrobniejszych kropelek na zimniejszym przedmiocie, czyli *względna* ilość pary wodnéj w powietrzu, *wilgocią* w mowie potocznéj nazwana. Wilgoć największą powietrza przedstawia więc liczba 1. Dla uniknięcia jednak ułamków zamiast jedynki przyjęto liczbę 100 za przedstawicielkę téj największéj wilgoci, znacząc pośrednie stopnie wilgoci liczbami od 1 do 100 idącemi, które też panującą w powietrzu wilgoć w odsetnych częściach (procentach) téj *największéj* temperaturze odpowiedniéj ilości pary wyrażają. I tak np. w powietrzu temperatury 8°R (10°C) *okaz* 75% wilgoci znaczy, iż w jednym jego metrze kubicznym, mogącym (jak wiadomo) w temperaturze téj co najwięcéj (jako *maximum*) 9·2 grm. pary wodnéj w stanie zupełnie lotnym utrzymać, znajduje się faktycznie tylko $\frac{9{\cdot}2 \times 75}{100} = 6{\cdot}8$ grm. niedosyt więc podówczas 9·2 — 6·8 = 2·4 grm. wynosi;—w powietrzu temp. 16°R (20°C), które w jednym *sterze* najwięcéj 17·31 grm. wody w stanie lotnym utrzymywać może, przy 75% wilgoci mieści się $\frac{17{\cdot}31 \times 75}{100} = 12{\cdot}96$ grm. a niedosyt czyni 4·30 gramów, nareszcie w powietrzu mającém temp. 24°R (30°C) i 75% wilgoci, ilość pary $\frac{30{\cdot}37{\cdot}75}{100} = 22{\cdot}77$ gramów, niedosyt zaś 7.6 grm. wynosi.

Przyrządy do oznaczania wilgoci w powietrzu zowią się *hygrometrami*. Najwięcéj używane i za ścisłe uznane sposoby mierzenia wilgoci atmosferycznéj są: 1) *Brunnera* czyli raczéj *Regnaulta*, me-

toda *ważenia*; 2) Renaulta metoda oznaczania temperatury sytu rzeczywistą ilością pary w powietrzu czyli t. z. *punktu rosienia*; 3) metoda mierzenia prężności pary w powietrzu zapomocą *psychrometru Augusta* lub zalecanego w najnowszych czasach *hygrometru procowego* (1), przy każdém użyciu w ruch kołowy wprawianego; nareszcie 4) metoda oznaczania wilgoci i *punktu rosienia* zapomocą *hygrometrów włosowych.*

Hygrometr włosowy polega na tém, iż czysty włos, pozbawiony ługiem tłuszczu, rozciąga się w wilgotném, a ściąga w suchém powietrzu. Na swéj podziałce ma on 100 kresek, *stopniami* zwanych, a skazówka okazuje *stopień wilgoci.* Im wyższa liczba takiego stopnia, tém powietrze bliższe punktu *nasycenia* parą a tém samém wilgotniejsze; im mniejsza zaś ta liczba, tém bardziéj powietrze od *punktu sytu* oddalone i tém więcéj jest suche.

Z pomiędzy hygrometrów włosowych, w ostatnich latach sporządzonych, zasługują na wspomnienie hygrometry według przepisu *Koppa* sporządzane przez *Hottingera* w Zurychu (szczególnie dla prostego mechanizmu justowania), tudzież hygrometry z fabryki *Lambrechta* w Getyndze (dla możliwości bezpośredniego odczytywania wilgoci w odsetkach maksymalnéj ilości i zarazem punktu rosienia). One też wystarczają zupełnie do zwyczajnego użytku domowego, tak dla hygienistów, jako też z pewną kontrolą dla meteorologów z zawodu. Egzemplarze dawniejszéj konstrukcyi, zaopatrzone są w termometr i do każdego jako część integralna należy osobna mała *tarcza* (*redukcyjną* zwana), która służy do odczytania *punktu rosienia* bez dalszego obliczania. Ustawiwszy bowiem na niéj liczbę odpowiadającą temperaturze powietrza, nad liczbą stopnia panującéj właśnie wilgoci, odczytać można wprost *temperaturę rosienia.* Jest nią ta, która wówczas liczbie 100 na cyferblacie tarczy redukcyjnéj odpowiada. Egzemplarze najnowszéj konstrukcyi, do noszenia sposobne, nie mają własnego termometru, lecz za to tak są urządzone, iż na cyferblacie odczytuje się odrazu nietylko wilgoć w odsetnych częściach, ale także *temperaturę rosienia, odejmując od temperatury powietrza stopień termometryczny przez skazówkę na cyferblacie uwidoczniony.* Dla łatwiejszego oryentowania się kładę tu jedno takie od-

(1) Dwa dokładne i z sobą całkiem zgodne termometry na jednéj osadzie blisko siebie umieszczone, z których jeden pokryty jest podwójną warstwą muślinu i w razie próby hygrometrycznéj zwilża się wodą przekroploną. Przyrząd ten na sznurku jednometrowéj długości wprowadza się jak zwyczajną procę w ruch kołowy z chyżością jednego pełnego obrotu w jednéj sekundzie i po 100 wykonanych obrotach takich odczytuje się temperaturę na suchym i zwilżonym termometrze a z różnicy obu wskazań oblicza prężność pary w powietrzu i wilgoć jego.

czytanie na hygrometrze Lambrechta. Przy temp. powietrza 12·5°C, (któréj max. pary wynosi, jak wiadomo 11 gramów) odczytano na cyferblacie oznaki: 55% wilgoci i 9°C; zatém był *punkt rosienia* 12·5°C — 9°C = 3.5°C, gdyż w powietrzu zawierało się gramów pary $\frac{11.55}{100}$ = 6·05 a ilość ta jest *maksymalną* ilością przy temp powietrza 3°5C. Niedosyt zaś wynosił wtedy 5 gramów, tj. tyle jeszcze pary do zupełnego sytu powietrza brakowało.

Do rozwiązywania zagadnień hygrometryczno-hygienicznych potrzeba koniecznie mieć także *tablice hygrometryczne*, mianowicie *tablicę maksymalnych prężności* (w milimetrach rtęci) *i wag* (w gramach) pary w jednym *stere* nasyconego powietrza przy temperaturach od — 16° do + 40°R,—tudzież *tablice niedosytu* dla tych temperatur i różnych stopni wilgoci od 10% do 100%.

Jeśli tedy w powietrzu 15°R, utrzymać się może co najwięcéj 16 grm. pary w jednym stere,—powietrze zawierające jéj tylko 8 grm. w témże, napełnione jest tylko do połowy parą i wilgoć jego oznaczać się będzie w % liczbą 50, gdyż 8/16 × 100 = 50. Odwrotnie téż, znając wilgoć powietrza w odset. przy danéj temperaturze, łatwo jest za pomocą tablicy maximów oznaczyć rzeczywistą ilość pary wodnéj w tém powietrzu, gdyż w tablicy przy 15°R. stoi 16 grm. maksymalnéj ilości pary, zatém powietrze 50% zawierające tylko $\frac{16 \times 50}{100}$ = 8 grm. w jednym metrze sześciennym mieścić może. W razie zaś obecności np 5 grm. pary w powietrzu przy 8°R, musiałoby ono (jak tablica maksymów czyli sytu okazuje) oziębić się aż blisko do + 1°R, aby nastąpiło rosienie, tj. aby ono doszło do wilgoci 100%.

Temperatura téż 1°R, jest *punktem rosienia* w powietrzu, które ma 5 gramów pary w każdym metrze sześciennym, czyli zawiera w sobie parę wodną blizko 5 mm. prężności (ciśnienia). Im większa wilgoć w powietrzu, tém bliżéj *punkt rosienia* leży pod temperaturą powietrza, a im daléj te dwie temperatury się rozchodzą, tém większa suchość w powietrzu panuje. Można przeto pod wyrazem wilgoci powietrza rozumiéć także *stosunek obydwóch maksymów* ciśnienia (lub wagi) pary wodnéj *przy temperaturze rosienia* i *temperaturze powietrza*, odczytanéj na termometrze.

Przy pomocy tablicy *maksymów* prężności lub wagi pary w jednym stere znajomość *temperatury rosienia* prowadzi wprost do znajomości *rzeczywistego zasobu* pary w powietrzu, gdyż ten jest właśnie maksymalną ilością dla onéj temperatury, jak to już wyżéj wspomniałem.

II.

W życiu potocznem nazywamy powietrze *suchém*, jeśli w niém rzeczy mokre prędko wysechają, *wilgotném*, jeśli wysechanie leniwo postępuje. W tym drugim przypadku hygrometr przeszło 75% wilgoci okazuje. W lecie powietrze suche będąc ciepłem daleko więcéj gramów pary w sobie mieścić może, niż najwilgotniejsze zimne w późnéj jesieni lub w zimie. Zachodzi tedy pytanie, ile właściwie pary wodnéj, jaki stopień wilgoci posiadać ma powietrze atmosferyczne, aby było dla nas zdrowém? Na to pytanie dziś tylko w ogólnych zarysach można dać odpowiedź. Zdania tez hygieników o tym przedmiocie nie zgadzają się z sobą. Jedni zachwalają wilgotne powietrze nadmorskie, drudzy okolice Riviery, inni zaś suchy klimat północno-afrykańskiéj pustyni,—Algier i Kairo. Tak samo ma się ze zdaniami o *normalnéj wilgoci* pomieszkań naszych. Podczas gdy *Krieger* (1) suche powietrze ocieplonych w zimie pokoi posądza o zbytnią przydatność do wywoływania *katarów* narządu oddechowego, a nawet anginy i dyfteryi, uważa przeciwnie *Reinhold* (2) suchość powietrza za rzecz dla zdrowia naszego wielce zbawienną i gani wszelkie dziś używane sposoby zwilżania powietrza pokojowego przy centralném ocieplaniu, uważając je za zbyteczne i całkiem niepotrzebne. Przyczyna takiéj sprzeczności zdań leży poczęści w téj okoliczności, że zmiany wilgoci powietrza rzadko kiedy lub może nigdy same, lecz zawsze równocześnie z innemi wpływami klimatycznemi na organizm nasz działają; przy rozbieraniu więc *sumy* wszystkich tych wpływów i ocenianiu znaczenia pojedynczych jéj części szerokie pole dowolności pojedynczym badaczom jest pozostawione. Nadto téż pogląd na sposób działania różnych stopni wilgoci dlatego był dotąd utrudniony i prawie niepodobny, że za miarę wilgoci powietrza używano wyłącznie „*względnéj wilgoci w stopniach procentowych*“, ta zaś faktycznie dokładnego wyobrażenia o jakości wpływu wilgoci atmosferycznéj na stan zdrowia naszego nie daje, gdyż te same odsetki wilgoci przy różnych temperaturach (jak już rzekłem) różnym ilościom pary w powietrzu odpowiadają. Chcąc przeto wpływ ten z naukową precyzyą określić i granice jéj szkodliwości ściśle oznaczyć, prócz dotychczasowych miar innéj jeszcze koniecznie używać przyjdzie, mianowicie miary *niedosytu*, która przy rozwiązywaniu zagadnień hygienicznych ściśle porównywanie skut-

(1) Aetiologische Studien, 2-te Aufl. Strassburg 1880.

(2) Reinhold, Archiv. f. Hygiene, 1885, T. III, str. 183.

ku różnych stopni wilgości możliwém czyni i zarazem czynność tę znacznie ułatwia. O tém będzie mowa jeszcze niżéj.

Mokra bielizna na płocie lub strychu w powietrzu parą nasyconém nie schnie, póki się wilgoć jego nie pomniejszy; rozwieszona zaś na wietrze lub blisko ognia, który temperaturę powietrza w około podnosi i śpiesznie je osusza, dość prędko pozbywa się wody. Pod pewnym względem ciało nasze zachowuje się podobnie w powietrzu atmosferyczném. Według stanu jego wilgoci i tych okoliczności, od których stan ten zawisł, ilość i sposób ubywania wody z ciała naszego przez parowanie różnym zmianom ulega. To zaś oczywiście bez wpływu na zdrowie nasze nie pozostaje. Ilość rzeczywista wody, którą w pewnym przeciągu czasu całe ciało już to przez płuca, już to przez dziureczki skóry w postaci pary na zewnątrz oddaje, przy bardzo wilgotném powietrzu może być mniejsza, przy bardzo zaś suchém znowu większa, niż na to warunki zdrowia zezwalają. Fluktuacye takowe wszakże, jak uczy doświadczenie, tak znacznie zdrowia naszego nie alterują a przynajmniéj w zwykłych okolicznościach nie przynoszą mu ciężkiéj szkody. Wprawdzie zbyt słabe wydzielanie pary wodnéj przez czas dłuższy w spółce z innemi chłodzenie ciała utrudniającemi czynnikami może się stać zdrowiu wielce niebezpieczném i równie téż zbyt silne uprowadzanie onéj z ciała może nareszcie sprowadzić szkodliwe następstwa, jeśli ubytek wody odparowanéj wcześnie przez picie i pokarmy nie zostanie należycie wyrównany. Przy zwykłym jednak trybie życia jesteśmy zawsze w stanie bez obawy chorobliwego uszkodzenia ciała utrzymywać zdrowie w równowadze przez odpowiedni zawsze dowóz wody i pokarmów płynnych, zwłaszcza gdy organizm nasz inne jeszcze prócz płuc i skóry posiada drogi do wydzielania niepotrzebnéj wilgoci i ciągłego regulowania całéj téj sprawy fizyologicznéj. Stosunek więc bezwzględnéj ilości pary wodnéj w atmosferze do całéj ilości wody przez ciało nasze wydzielanéj i przez nie przechodzącéj w zwykłych okolicznościach żywota nie ma tak wielkiego w hygienicznym względzie znaczenia, jak się komu zdaje.

Inaczéj wszakże przedstawia się rzecz cała, jeśli z naukową ścisłością przystąpimy do rozebrania wpływu wilgoci atmosferycznéj osobno na *respiracyą* przez płuca, osobno zaś na *transpiracyą* przez skórę ciała naszego. Tu okazuje się, że inne pretensye do powietrza atmosferycznego i inne potrzeby pod względem pary wodnéj wogóle a wilgoci w szczególności mają płuca nasze, inne zaś skóra ciała naszego. Płuca dla utrzymania w normalnym stanie sprawy oddéchania potrzebują pewnéj *bezwzględnéj* ilości pary wodnéj w powietrzu, troszczą się więc głównie o *temperaturę rosienia*, skórze zaś na-

széj dla ochrony ciała od przecieplania i przeziębiania chodzi przedewszystkiém o stopień wilgoci w powietrzu, a ilość jéj procentową, czyli raczéj o *wielkość niedosytu*, na bezwzględnéj zaś ilości pary w atmosferze wcale nie zależy.

Płuca w stanie normalnym stałą prawie ilość powietrza (około pół litra) przy każdym oddechu wyziewają. Powietrze to blisko temperaturę krwi (37° C., czyli około 30° R.) posiada i parą wodną prawie całkiem jest nasycone. Metr więc kubiczny (*stere*) wyzioniętego powietrza około 44 gramów wody zawiera, czy wziewamy powietrze suche, czy wilgotne, ciepłe czy zimne. Nasycenie jego parą wodną, równie jak i ogrzanie do 30° R., rozpoczyna się w nosie i przewodzie oddechowym, a dokonywa ostatecznie w najdelikatniejszych rozgałęzieniach płuc, które tyle wody powietrzu tamże dostarczają, ile jéj ono przy temperaturze krwi zabrać jeszcze może. Im więcéj przeto pary wzionięte powietrze w sobie już mieści, to tém mniéj wyzionięte zabrało jéj z nosa i płuc i odwrotnie. Jeżeli np. powietrze atmosferyczne, którém oddéchamy, w jednén *stere* ma 5 gramów, a stere wyzionięgo powietrza zawiera ich 44, drogi oddéchowe i płuca dostarczyły temu ostatniemu 44 — 5 = 39 gramów pary wodnéj; jeśli zaś 16 grm., wyzionięte powietrze zabrało z nich tylko 44 — 16 = 28 grm., t. j. około 30% mniéj niż w poprzednim wypadku. Większe przeto ilości pary dokładać muszą płuca przy oddéchaniu w zimném, chociażby znacznie wilgotném powietrzu, niż oddéchając w powietrzu ciepłém i wilgotném. W łaźniach parowych powietrze jest do 40° R. ogrzane i parą przesycone; tam więc płuca przy oddéchaniu żadnéj pary własnéj z alweolów (pęcherzyków) swoich nie wydzielają i dla tego bez pewnych ostrożności (jak oddéchanie przez gąbkę maczaną w zimnéj wodzie) dłużéj nad 10 do 15 minut nie mogą zostawać w takiém powietrzu osoby, skłonne do krwotoków lub udarów.

Według doświadczeń *Vierordt*'a, człowiek dorosły, zdrów na piersi, wyziewa w stanie normalnym w ciągu doby blisko 10 sterów powietrza, z którém płuca 330 gramów wody z siebie wydzielają,— i ma się całkiém dobrze. Że zaś to powietrze posiada temperaturę 30° R. i jest parą przesycone, więc jeden *stere* wyzionięgo powietrza ma w sobie 44 gramów wody, któréj płuca same tylko 33 gramów dostarczają, a resztę = 11 grm. musi już zawierać powietrze wziewane. Lecz ilość 11 gramów jako *maximum* odpowiada *temperaturze rosienia* = 10° R. (12·5° C.) Dla tego też *punkt ten rosienia* normalnemu stanowi oddéchania jest najodpowiedniejszy i dla płuc naszych najbardziéj przyjemny. Bezwzględna przeto czyli *rzeczywista* ilość pary w powietrzu, którą *temperatura rosienia* wyraźnie za-

znacza i na tablicy *maksymów pary* bezpośrednio uwidocznia, na sprawę oddéchania a z nią na obieg krwi w ciele bardzo znaczny wpływ wywiera, jest dla niéj rzeczą główną i prawie decydującą.

III.

Odmienny wpływ wilgoć atmosferyczna na skórę ciała naszego wywiera. Skóra ta, któréj powierzchnia temperaturę 26° do 28° R. posiada, ciągle wodę z ciała w postaci pary wydziela. W pokoju parowanie przy każdéj temperaturze jedynie od *wilgoci powietrza* (na dworze także od wiatru) zależy i w powietrzu parą nasyconém całkiem ustać musi w chwili, gdy powietrze to dojdzie do temperatury, jaką skóra właśnie posiada. Stan ten istniałby ciągle pod odzieżą, gdyby ona nie składała się z materyi dziurkowatych, które wymianę powietrza przyskórnego na świeże zewnętrzne ułatwiają. Im lepsza ta wentylacya, tym niższy bywa stopień wilgoci powietrza w odzieży w porównaniu z wilgocią powietrza zewnętrznego, zwłaszcza jeśli ciało nie zanadto transpiruje i temperatura odzieży (jak to bywa najczęściéj) jest wyższa od temperatury otaczającego powietrza. W niebardzo gęstych i grubych sukniach na ciele posiada zazwyczaj powietrze tę samę prawie wilgoć, co powietrze zewnętrzne do koła nas. Parą przesyconém jest ono przy temperaturze skóry 26° R. tylko w razie mocnego pocenia się ciała. Gdy pewnego razu robiąc próby hygrometryczne w pokoju przy temperaturze 12° R. i 70% wilgoci, ubrany w zwykłém odzieniu, trzymałem czas dłuższy pod koszulą na gołem ciele hygrometr i termometr, okazywał ten ostatni 26° R. a hygrometr 75% wilgoci, punkt więc rosienia pod koszulą przy ciele odpowiadał temperaturze 22° R. Następnie poszedłem do kuchni, gdzie podówczas powietrze miało 22° R. i 85% wilgoci, zatém punkt rosienia 18° R. Po upływie kilku minut, ale jeszcze przed nadejściem potu, znalazłem tu znowu temperaturę powietrza przy samém ciele = 26° R., stopień wilgoci 80% i punkt rosienia = 22·5° R., zatém tylko o 0·5° R. (o pół stopnia) wyższy, niż przedtém w chłodnym stosunkowo pokoju. Jedynie w łóżku i w czasach mocnego pocenia się uważałem niekiedy temperaturę rosienia w powietrzu pod koszulą przy ciele nieco wyższą, mianowicie 24° do 26° R. Jak długo zaś skóra ciała naszego mogłaby znosić powietrze z temperaturą rosienia 28° do 30° R., nie wiadomo mi. Wiemy wszakże z pewnością, iż ona pod tym względem mniéj jest czułą, aniżeli płuca, któreby przy temperaturze 28° do 30° R. oddéchając nie mało dolegliwości ucierpiały, podczas gdy gorąca kąpiel w wan-

nie takiéj saméj temperatury co najwięcéj chwilowo osłabia osoby zdrowe i chwilowo owisłem ciało czyni, zdrowiu jednak widocznie nie szkodzi. Pochodzi to w części stąd, że woda lepszym jest przewodnikiem ciepła niż powietrze, głównie zaś, że skóra daleko lepsze środki chłodzenia się posiada niż płuca. W pierwszym rzędzie gruczoły potowe zaraz po zmniejszeniu się parowania wiele wody wydzielają. (Żołnierz przy ćwiczeniach w polu lub silnym pochodzie wojska nieraz w godzinie cały litr wody wypoci. Palacze téż na okrętach parowych przy niedostatecznéj wentylacyi komory przedpiecowéj bardzo wiele wody tracą potami). Przez ten znaczniejszy odpływ wody z ciała przez pory skóry (niejako śluzy otwarte) znaczne ochłodzenie ciała, nawet wtedy następuje, gdy parowanie na jéj powierzchni przez powietrze zbyt wilgotne bywa powstrzymane. Przytém traci téż ciało bardzo wiele ciepła przez promieniowanie i udzielanie się warstewkom powietrza otaczającego, które szczególnie przy mocniejszym wietrze ciągle się zmieniają. Ubytek ten ciepła jest bardzo znaczny i, według obliczeń fizyologów, przeszło 70% cz. całego ciepła wynosi, które ciało nasze ciągle z siebie oddaje. Tę jego utratę możemy według potrzeby regulować przez stosowne porze roku, godzinie dnia i meteorologicznemu stanowi powietrza odpowiednie odzienie.

Wiele chorób bierze swój początek z okazyi raptownego i zanadto mocnego oziębienia skóry. Kto nosi odzienie ze złych przewodników ciepła i z materyi tak dalece tylko dziurkowatych, aby się ciepło dostatecznie przy ciele zatrzymywało, a przytém wentylacya odbywała należycie, zaziębia się rzadziéj nawet wtenczas, kiedy na znaczne i prędkie zmiany temperatury narażać się musi. Najlepsze téż okrycie ciała w znaczeniu zdrowotném jest wełniane, według reguł higienicznych należycie dobierane. Wełniana koszula i trykotowe spodnie, choć niekoniecznie Jegerowskie, i nieprzemakalny płaszcz z materyi wełnianéj—„*Erlinger Lodenstoff*“, z cienkiéj wełny, nieoczyszczonéj z naturalnego tłuszczu, — dla osób chorych i rozdelikaconych nieocenionym jest ubraniem w każdéj porze dżdżystéj i niemiło zimnéj. Jest ono lekkie, zupełnie nieprzemakalne i należycie noszone w żaden sposób oddechu nie uszczupla i nie alteruje. Raglany i haweloki, na plecach, począwszy od szyi, dubeltowo grube, z przypinaną do kołnierza kapucą dla zaciągania na głowę, dopełniają w zupełności higienicznego swego przeznaczenia, jako wyśmienite ochrony przeciw deszczom, wiatrom i zanadto zimnemu chłodowi. W Alpach, gdzie ulewy i burze są na zawołanie, ubranie to jest nieocenioném, równie na grzbiecie, jak i na murawie (jako podściółka), lub na noclegu (jako nakrycie).

Skóra przy niedostateczném nawet wydzielaniu wody z ciała daleko skuteczniejsze posiada środki ochronne przeciw jego przecie pleniu aniżeli płuca (1), i podczas gdy wydzielanie wody przez te ostatnie od temperatury rosienia w powietrzu wziewaném zależy, dla *transsudacyi* skóry wilgoć otaczającego powietrza jest rzeczą decydującą, wysokość zaś punktu rosienia a tém samém bezwzględna (rzeczywista) ilość pary w tém powietrzu okolicznością małego znaczenia. Wszak ciało nasze także w normalnym stanie znajduje się zawsze w powietrzu, którego temperatura rosienia ma 20° R. a niekiedy nawet więcéj, i żadnych nie doznaje dolegliwości, gdy przeciwnie płuca już na parnotę narzekają, jeśli wziewać muszą powietrze, mające temperaturę rosienia 15°R. (t. j. 16 gramów w 1 m. kub.). Okolice, gdzie czasem powietrze do temper. ros. 20° R. (23·1 grm.) dochodzi, należą do najnieznośniejszych miejsc międzyzwrotnikowych. I tak czytałem np. że parnota w Hon-Kong wtedy jest najbardziéj nieznośną, kiedy przy ciszy w powietrzu i temperaturze 20° R. pada deszcz obfity. Jaki zaś wpływ powietrze już przy temperaturze rosienia 15° R. wywierać na nas może, przekonałem się sam kilka razy w ostatniém dziesięcioleciu. Cierpiąc w tym czasie na częste hemoragie płuc, byłem uważniejszym na zjawiska meteorologiczne i przypominam sobie bardzo dobrze, jak parę razy we *Lwowie*, raz w *Korczynie* (w stryjskim) w miesiącu lipcu, a ostatni raz w *Dorze* na początku sierpnia — zawsze pod wieczór — zachmurzenie na południowéj stronie nieba stawało się co chwila bardziéj ołowiano-szarawém, wiaterek powiewał niepokaźny, termometr na dworze okazywał tylko 16° R., hygrometr zaś 91—92% wilgoci (odpowiadającéj punktowi rosienia 15°,3 R.). Utyskiwaliśmy wszyscy na duszność i parnotę, a otylsi narzekali na nieznośny upał (w powietrzu temperatury 16° R.!). Obrzydłe czucie gorąca przenikało w istocie cały organizm, każdy obcierał sobie pot z czoła a ja wyczekiwałem chwili, kiedy się z uciemiężonych płuc pokaże krew. Słabsze panie skarżyły się na migrenę, a prawie wszyscy na brak łaknienia pokarmu. Dopiero po kilkudziesięciu minutach burza z piorunami przyniosła ulgę i wybawienie z tego przykrego położenia. Dnia następnego temperatura powietrza była daleko wyższa, lecz punkt rosienia spadł na 12° R. i zamiast wczorajszego narzekania, panowało powszechne zadowolenie z powodu pięknéj dnia pogody. Uważałem téż nieraz, że przy temperaturze rosienia wyższéj nad 14° R., krótkie burze z grzmotami i ulewą od strony południowéj nadchodziły.

(1) Ob. rozprawkę d-ra W. Urbańskiego: O wpływie powietrza na zdrowie człowieka. Lwów, 1883.

IV.

W pokoju łatwo można wytworzyć duszne powietrze i pocić się przy 16° R., jeśli się kilka łyżek gorącéj wody nad lampką spirytusową odparuje, lub rozpylaczem w powietrzu rozrzuca, póki hygrometr 91% wilgoci nie okaże (odpow. temp. ros. 15° R.). Gdy się tę próbę robi w lecie i następnie z niemiłéj parnoty w pokoju wyjdzie na dwór, gdzie przy pięknéj pogodzie na słońcu i ciszy w powietrzu termometr 22° R. a hygrometr tylko 45% wilgoci okazuje (powietrze więc na dworze temp. ros. 11° R. posiada), czuje się wkrótce chłód wskutek powiększonego wydzielania pary wodnéj przez skórę i płuca, chociaż temperatura powietrza tu o całych sześć stopni Reaumura jest wyższą od temperatury w onym pokoju. Z tego widać, że powietrze *dusznćm* czyli *parném* jest zawsze wtedy, kiedy *temperatura rosienia dosięgnie 15° R.* Jest to poniekąd granica, po za którą powietrze nabrawszy w siebie pary wodnéj staje się ze względów higienicznych dla nas niemiłém i niezdrowém.

Jakie mamy uczucie, jeśli czas dłuższy zostajemy w pokoju, w którém temperatura rosienia doszła do 18° R., następujące okaże doświadczenie.

D-r Fleischer opisuje stan swój w izbie kąpielowéj przy temp. pow. 20° R. i wilgoci 85%, t. j. właśnie w powietrzu temperatury rosienia 18° R. Po kilku minutach pobytu tamże uczuł ciężkość w głowie, a po 30 min. gwałtowne pulsowanie w skroniach. Oddech stawał się coraz bardziéj krótkim i częstszym. Przed rozpoczęciem próby przypadało 14, po 30 zaś minutach 20 oddechów na minutę. Puls téż z 70 uderzeń podniósł się był na 89. Chociaż siedział na krześle spokojnie, po 30 min. zaczął się pocić. Za najmniejszém poruszeniem się przy ściągnięciu surduta pot znacznie się powiększył. Po zupełném rozebraniu się do naga czuł raczéj zimno niż ciepło, z przyczyny bardzo zrozumiałéj, gdyż temperatura rosienia w powietrzu téj izby leżała o 40° R. niżéj, aniżeli w powietrzu przy samém ciele pod koszulą. Pomimo tego rozebrania się, nie czuł wszakże żadnéj zmiany w stanie opisanych dolegliwości, ani ulgi w utrudnioném oddéchaniu. Jeden tylko środek sprowadził względną ulgę i złagodził przykrości oddéchania, a tym było napojenie zimną wodą czystéj chustki i trzymanie jéj przed ustami pod nosem dla oddéchania chłodniejszém a tém samém nieco pary pozbawionem powietrzem, która przechodząc przez chustkę zimno-mokrą, osadzała się na zimniejszym przedmiocie, poczém suchszém się stawało powietrze wziewane, miało więc niższą temperaturę rosienia, niż dalsze od chustki na izbie. Samo ochłodzenie jego nie wywarłoby było tego

skutku, gdyż (jak wiemy) przy 16° R. w powietrzu można mieć uczucie parnoty i duszności, a przy 22° R. mieć się bardzo dobrze, jeśli tylko punkt rosienia w powietrzu wdychiwaném jest odpowiednio nizki.

Podobne doświadczenia z równym prawie skutkiem i ja sam na sobie robiłem i każdy je łatwo powtórzyć może. Nie były one całkiém *lege artis* wykonywane, jednak okazało się z nich wyraźnie: naprzód, iż powietrze mające temperaturę rosienia przeszło 15° R., mniéj lub więcéj jest już nieznośne, a zatém niezdrowe; tudzież, że *tylko płuca* bez dolegliwości i uszkodzenia zdrowia nie są w stanie długo znosić powietrza z tak wysokim punktem rosienia.

Znając to, nie trudno pozbywać się *w lecie* parnoty i dusznego powietrza z pomieszkań. Sposób na to jedyny *osuszanie powietrza*, którém oddéchać mamy; jednakowoż nie chlorkalkiem (wapnem chlorowém) lub inném jakiém parę chłonącém ciałem, któreby większą nad potrzebę i zdrowiu szkodliwą suchość powietrza sprowadzić mogło, lecz lodem, który przez dłuższy czas dokoła siebie temperaturę rosienia niższą od 15° R. utrzymywać jest w stanie. Blaszanki z lodem, poustawiane wysoko w pokojach lub zawieszone nakształt lamp wiszących od czasu do czasu suchemi szmatami obcierać należy, aby rosa na ich ścianach powstała nie przechodziła znowu w parę i wilgoci powietrza nie powiększała. W pokojach można trochę wilgoci zabrać z powietrza przez rozrzucenie w drobnych ilościach *bardzo zimnéj* wody za pomocą ręcznego rozpylacza lub fontan pokojowych, wyrzucających ciągle lodową wodę do góry, która spadając spływa do blaszanego zbiornika. Także na dworze w lecie nie czuje się parnoty nawet przy 25° R. i 85% wilgoci w powietrzu, jeśli kilka kawałków lodu, owiniętych czystą szmatą trzyma się pod nosem i oddéchając przez ten zwitek wziewa nosem powietrze atmosferyczne, a wyziewa zużyte w płucach przez usta, czyniąc to ostatnie dlatego, aby lód zaprędko nie topniał. Ten sam cel osiągnąć można używając respiratora z lodem, który z łatwością da się tak urządzić, aby zbyt zimnego powietrza (co najmniéj temperatury 10° do 12° R.) do płuc nie wciągano, coby znowu zdrowiu osób, mających płuca bardzo rozdelikacone, szkodę przynieść mogło. W lecie zawsze lepiéj jest całe powietrze pokojowe osuszać a względnie także oziębiać, niż w pokoju respiratora lodowego używać.

Na pytanie, jaka temperatura rosienia jest dla nas najzdrowszą, trudno dać matematycznie pewną odpowiedź. Zdaje mi się wszakże, iż po tém, co dotychczas powiedziałem, nie jeden mając próby Vierordta na uwadze, zgodzi się zemną na zdanie, że powietrze szczególnie na dworze przy 20° a nawet 22° R. wcale nie jest uciążliwie gorą-

cém, skoro tylko jego temperatura rosienia 10°R, nie przechodzi, tj. jeśli ma 11 gramów pary wodnéj w każdym metrze sześciennym. Nie będzie téż ono wówczas *za suche*, gdyż *niedosyt* będzie jeszcze tylko 23 — 11 = *12* do 24·8 — 11 = *13·8* gramów wynosić, zatém wilgoć 51% do 55% cz. dochodzić. Odpowiedź więc na pytanie to można tak sformułować:

Wilgoć ciepłego powietrza nie powinna nigdy punktu rosienia 15°R, dosięgać, a najprzyjemniejszém jest powietrze wtedy, kiedy jego punkt rosienia przy 10°R, lub blisko niego leży (Vierordt).

Za wysoki punkt rosienia jest téż daleko szkodliwszym zdrowiu, szczególnie osób skłonnych do kongestyi, niż punkt rosienia zanadto nizki. Mieszkając w domu, którego ściany i fundamenta suche, można za pomocą dobrego hygrometru wilgoć powietrza pokojowego przy należytéj staranności utrzymywać ciągle przy miłéj dla płuc temperaturze rosienia (około 10 R, czyli 12°C), jeśli się każe w zimowéj porze palić w piecach zawsze tylko tak, aby w pokoju temperatura powietrza nie wyższa nad 15° do 16°R, (19 — 20°C) panowała. Jeśli przy téj temperaturze wydaje się w pokoju za chłodno, to znak, że powietrze mało ma pary w sobie (jest zbyt suche), gdyż przy 15°R w powietrzu i temperaturze rosienia około 10°R, jest 65% cz. wilgoci w powietrzu, a w tych okolicznościach raczéj za gorąco niż zachłodno bywa w pokojach. W razie więc *suchości* ciepłéj trochę wody odparować należy: w powietrzu zaś za *nadto wilgotném* w porze zimowéj okno na czas krótki otworzyć przyjdzie, usuwając znowu w lecie trochę pary z powietrza (jak to wyżéj rzekłem) za pomocą lodu lub rozpylacza lodowo zimnéj wody. (Respirator lodowy). Hygieniczne te środki ochronne bardziéj jeszcze są potrzebne w pokojach, zajętych przez chorych, którzy mieliby się daleko lepiéj, jak się mają, gdyby punkt rosienia w powietrzu infirmarza zamiast leżéć przy 13, 14 lub nawet 15°R (!), odpowiadał tylko temperaturze około 10°R. Tym czasem zdarza się bardzo często, że w pokoju chorego, pomimo panującéj już duszności i parnoty, gotują jeszcze różne „herbatki“ na lampie spirytusowéj i podają mu gorące napoje i pokarmy, które dopiero w pokoju bywają chłodzone, przez co temperatura rosienia jeszcze wyżéj się podnosi.

Przy centralném opalaniu budynków tudzież przy używaniu pieców żelaznych do ocieplania szkół i lokalów publicznych, nie jednostajność temperatury powietrza pokojowego i zbyt wielkie skoki temperatury rosienia w ciągu doby jeszcze większe szkody zdrowiu przynoszą.

V.

Powietrze z małą ilością pary wodnéj, czyli suche sprawia daleko większe w płucach ziębnienie, niż powietrze bogatsze w parę. czyli posiadające wyższą temperaturę rosienia. Czyni to ono nietylko, gdy jest zimne, ale także, gdy temperatura jego stosunkowo wysoka. Porównywając w jakim stosunku pod względem tego ziębnienia parowanie wody w płucach i ogrzewanie w nich powietrza wzioniętego stoją do siebie nawzajem, przekonywamy się, iż wówczas nawet, kiedy suche powietrze tylko do 10⁰R ogrzane wziewamy, które więc o 20⁰R ogrzewa się w przewodzie oddechowym i w płucach, zanim z nich wyzionięte zostanie, *dwa razy tyle ciepła przez parowanie wody, co przez ogrzanie powietrza z płuc się wyprowadza.* Jeśli zaś powietrze wziewane jest cieplejsze, moc jego chłodząca w porównaniu z parowaniem w płucach jeszcze bardziéj w tyle pozostaje tak, że ostatecznie temperatura rosienia powietrza wziewanego okaże się tu najważniejszym czynnikiem.

Według tego zdawać by się mogło, iż dla płuc powietrze nigdy za suche być nie może, a dodawszy do tego jeszcze doświadczenie w ostatniém dziesięcioleciu zrobione, iż suchotnicy nietylko w gorącém i bardzo suchem powietrzu na przedmieściach *Kairu*, lecz także w zimo mroźném bardzo suchém w *Dawosie* znacznego polepszenia doznają, a niekiedy nawet zdrowie odzyskują, w zdaniu tém można by się utwierdzić. Jest ono wszakże tylko w części prawdziwe, gdyż w sprawie téj oprócz płuc także błony śluzowe przewodu oddechowego, krtani i tchawicy, mają także coś do powiedzenia.

Zwróciwszy uwagę na całą drogę przewodu oddechowego przekonamy się, iż wyższe ogrzewanie i nasycenie parą wodną powietrza wziewanego dopiero w rozgałęzieniach tkaniny płucowéj następuje. Nie oddechając bowiem głęboko, wyziewa się powietrze mniéj nasycone parą i zarazem także chłodniejsze, aniżeli przy normalném, głębokiem oddychaniu. Gdy więc tchawica na ogrzewanie wciąganego powietrza mniejszy wpływ wywiera niż płuca, błony śluzowe tém więcéj je wodą zasilać będą, im bardziéj ono jest suche. Na nie więc równie jak na skórne parowanie (czyli pocenie się) względna tylko wilgoć powietrza główny wpływ swój wysuszający wywiera, gdyż w razie, gdyby tchawica wziewanego powietrza wcale nie ogrzewała, suche powietrze więcéj by jéj oczywiście zabierało wody niż wilgotne. I w rzeczy saméj oddéchając powietrzem zanadto suchem, mamy zazwyczaj uczucie wyschnięcia w gardle, chociaż powietrze jest zimne. Ilość téż pary wydzielonéj przy oddéchaniu w czasie gęstéj mgły na dniu zimowym, którego powietrze robi nam

wrażenie znacznéj wilgoci w atmosferze, może być daleko większa, niż na dniu cieplym w lecie, kiedy powietrze (oceniając wilgoć jego jedynie czuciem) wysoko suchém (wysuszającém blony) nazywamy. Powietrze suche zwiększa parowanie skórne, przyśpiesza wymianę materyi w ciele i całe życie nerwowe podnosi, szczególnie przy jednostajnym nie zbyt silnym wietrze. Działa więc na nas pobudzająco i łaknienie pokarmu zaostrza; częstokroć jednak bezsenność sprawia. Powietrze zaś bardzo wilgotne, które 80% przechodzi, zły humor, ociężałość i ospałość, szczególnie w lecie wywołuje.

Powietrze suche i zimne (przy wiatrach N; NO i O) wzmacnia wprawdzie organizm, ale téż łatwo sprowadza zaziębienia i połączone z niemi zapalenia błon śluzowych (katary, grypy i kaszle a często nawet zapalenia płuc) powietrze zaś *wilgotne i zimne* (przy wiatrach W i NW) bywa znowu zazwyczaj u osób słabszéj konstytucyi przyczyną zmniejszenia apetytu, rozstrojenia nerwowego i różnych bólów reumatycznych.

Przy *ciepłém i zbyt suchém* powietrzu oprócz cierpiących na gardło (krtań) i piersi doznają większych dolegliwości osoby nerwowego ustroju i narzekają za bezsenność, podczas gdy ci i tamci w powietrzu umiarkowanie ciepłém i średnio wilgotném doznają polepszenia stanu swego. Przy *ciepłém* nareszcie i *wysoko wilgotném* powietrzu wiele osób narzeka na brak łaknienia, ociężałość i ogólne ciała osłabienie, także na nerwowość i nerwobóle, tudzież przy wyższéj temperaturze, zwłaszcza gdy punkt rosienia przechodzi już temperaturę 15°R, na wspomniane wyżéj przypadłości płuc, duszność powietrza i nieznośną parnotę.

Pod względem granic, w jakich wilgoć atmosferyczna nie czyni powietrza ani zbyt suchém, ani zbyt wilgotném, dotychczasowa hygiena, opierająca się głównie na wrażeniach i czuciu skóry i przewodu oddechowego, uczy: 1° że względna wilgoć około 40% w powietrzu *zwykłéj średniéj temperatury* jest poniekąd granicą, przy któréj organom tym nie za nadto jeszcze wiele wody zabiera otaczające powietrze; 2° że powietrze, mające więcéj niż 80% wilgoci już zanadto ogranicza ewaporacyę skórną i wskutek tego nerwową ospałość wywołuje; nareszcie 3° iż dla naszego życia nerwowego powietrze *miernie ciepłe*, którego względna wilgoć w granicach 40—75% cz. się utrzymuje, zawsze jest zdrowiu najodpowiedniejsze. Przestrzeganie tych granic wilgoci i zarazem *niższéj koniecznie* od 15°R temperatury rosienia uważają téż hygienicy praktyczni dla *powietrza pokojowego* za rzecz bardzo wielkiéj wagi.

Wiele chorób, w części nawet ciężkich, jak zapalenie płuc i tyfus, powstaje i znacznie się pogorsza wskutek ciągłego przebywania

w zbyt suchych, lub zbyt wilgotnych mieszkaniach. Normalne stosunki temperatury i wilgoci powietrza nietylko w mieszkaniach i sypialniach, ale także w publicznych lokalach, zazwyczaj źle wentylowanych, w szkołach i biórach, teatrach i salach posiedzeń mają największe dla zdrowia ludzkiego znaczenie. Zostawać też powinny pod ścisłą kontrolą prawa. Za regułę mićć tu należy także, *aby punkt rosienia powietrza pokojowego nie dochodził nigdy 15°R, lecz ile możności trzymał się przy 10°R, lub nawet niżéj, tudzież aby temperatura powietrza między 13—16°R, była utrzymywaną i hygrometr w tych salach nigdy mniéj jak 40% a nigdy więcéj jak 75% wilgoci nie pokazywał.*

Po bliższém rozpatrzeniu się w tym przedmiocie i gruntowniejszém jego zbadaniu okazało się, iż daleko wygodniéj i pewniéj jest oznaczać wilgoć atmosferyczną w liczbach niedosytu powietrza. Oznaczenie bowiem wilgoci w procentach bez ścisłego podania temperatury powietrza jest całkiem niedostateczne, gdyż 40% cz. przy 10°R, oznacza ilość 4·4 grm. pary, przy 18°R, ilość 8 gramów. *Niedosyt* w pierwszym przypadku 6·6, w drugim 12 gramów wynosi, zatém *dwa razy* jest większy, niż w pierwszym. Większe zaś i prędsze wysuszanie wszelkiéj wilgoci—a więc także wody w skórze ciała i w błonach śluzowych zależy przedewszystkiém od wielkości *niedosytu* powietrza. W zimie przy mocném paleniu w piecach lub napuszczeniu za wiele gorącego powietrza z ogólnego kaloryfera budynkowego bardzo łatwo wytwarza się z wysoką temperaturą (nieraz 18°—21°R) także wielka i wielce uciążliwa suchość powietrza w mieszkaniu, która liczbę niedosytu ze szkodą dla zdrowia nad miarę podnosi i już przy 40% cz. wilgoci zbyt wysuszająco na organizm nasz działa.

Przypuszczalnych pod względem hygienicznym granic wilgoci atmosferycznéj w liczbach niedosytu powietrza nie znamy dokładnie. Dotyczące obserwacye nie są jeszcze dość liczne, ani też w celach hygieny należycie zużytkowane. Przyjąć jednak możemy dla ociepłanego pomieszkania, w którém się ciągle (godzinami) siedzi, liczbę *niedosytu 6·6 mm.* ciśnienia rtęci (*6·9 grm.* pary wodnéj w 1 sterze powietrza) za przypuszczalną granicę suchości, czyli *najmniejszéj* wilgoci, jaką w powietrzu pokojowém cierpićć jeszcze się godzi; liczbę zaś przeciętną *8 do 9 niedosytu* dla krótkiego tylko pobytu w ogrzanych wysoko (do 18°R), pokojach, czyli dla pobytu w tychże w ciągu zmiennego stanu temperatury (od 14 do 20°R) i wilgoci (od 12 grm. do 16 grm. niedosytu). Powodem do przyjęcia tych liczb za graniczne przy oznaczaniu przypuszczalnéj w pokojach mieszkalnych suchości powietrza jest ta okoliczność, iż siedząc przy *słabym wietrze* spokojnie na dworze pod gołém niebem, nie doznajemy ża-

dnych dolegliwości, gdy niedosyt powietrza 6·6 mm. wynosi, w pokoju więc przy jednakowych okolicznościach suchość ta nie może nam tak bardzo szkodzić; tudzież, że przy 8·0 do 9·0 mm. *średniego* niedosytu *w ciągu dnia* czujemy na dworze w lecie przy wietrze *O* i *SO* w godzinach 1—3 po południu bardzo znaczną parnotę (odpowiednią niedosytowi 17—20 mm. czyli 41—37% wilgoci i temp. pow. 28—30° C.), reszta zaś dnia przy małych niedosytach i niższych temperaturach zwykle nam miło, bez dolegliwości, upływa i krańce te zdrowiu nie szkodzą; zatém także w pokoju, chociaż jakiś czas temperatura jest wyższą i niedosyt wtedy bardzo znaczny, zdrowie nasze szwanku nie dozna, jeśli średnia liczba niedosytu rzeczonéj granicy (8—9 mm.) nie przechodzi i właśnie godziny najwyższéj w pokoju temperatury i największéj suchości, wytworzywszy sztucznie wilgoć tamże, przechadzce poświęcamy. Przy centralném ocieplaniu pomieszkań żywy ruch wentylacyjny dokonywa ze swéj strony dzieła silnéj ewaporacyi z ciała naszego, przyczyniając się niepomiernie do tego, że suche powietrze dotyka ciągle śluzowych błon mieszkańców i z nich równie prędko jak suchy wiatr na dworze zabiera wilgoć, co przy ocieplaniu pokojów piecami dla slabszéj wentylacyi nie dzieje się w tym stopniu i dlatego w tym drugim przypadku dokoła siedzącéj spokojnie w pokoju osoby wytwarza się z łatwością dość gruba osłona wilgotniejszego powietrza, która ewaporacyę powolniejszą czyni i wysuszanie ciała nieco ogranicza, ale téż za to pożądanéj czystości powietrza oddechowego zawsze pewien uszczerbek przynosi.

W zimie narażamy się niestety na wielkie i nagłe zmiany temperatury i wilgoci, wychodząc po dłuższém siedzeniu w ogrzanym pokoju *wprost na dwór*, z ciepłego (15° do 18° R.) i nad miarę suchego powietrza (36 do 40% wilgoci) do atmosfery zimnéj i stosunkowo wilgotnéj, gdzie zazwyczaj temperatura blizko 0° leży i wilgoć w powietrzu 75—80% przechodzi, niedosyt więc stosunkowo bardzo jest nizki. Te zbyt raptowne i wielkie różnice nie mogą służyć zdrowiu szczególnie osób do ciepłego i suchego powietrza pokojowego przyzwyczajonych, które mają gardło, płuca, skórę i cały organizm rozdelikacony. Tym téż one zazwyczaj bardzo dotkliwe szkody przynoszą, nie oszczędzając bynajmniéj ludzi najzdrowszych, u których także siła akomodacyjna wobec zbyt wielkich zmian jest nareszcie za słabą i do dalszego skutecznego oporu nie wystarcza. W nagłych tych zmianach, szczególnie na początku zimy (czyli raczéj pory opałowéj) leży przyczyna powszechnych katarów i częstych napadów reumatycznych, tudzież powód wzmagający się coraz więcéj dyspozycyi do tych przypadłości. Dlatego z pewnemi ostrożnościami po-

winno się wychodzić w zimie na dwór z ogrzanego pokoju,—nie odrazu z cieplego powietrza wprost na zimne,—lecz zatrzymać się parę minut w nieopalanéj sieni lub na chłodnym korytarzu, utrzymując także już w przedpokoju średnią tylko wilgotność 50—60% i temperaturę najwięcéj 10° R.

Na dworze silniejsze wiatry suche — u nas wschodnie, z okolic stepowych przychodzące—na wszelką wilgoć, gdziekolwiek się ona nadarzy, nadzwyczaj wysuszająco działają tak pod względem ilości wody, którą w parę zamieniają, jak i szybkości, z jaką to czynią. To też pod gołém niebem, na otwartém miejscu nie sama tylko bezwzględna i względna ilość pary wodnéj w powietrzu stoi w przyczynowym związku z dobrym stanem ciała naszego. Mamy niestety bardzo często powody do narzekania na inne, bardzo szkodliwe zdrowiu czynniki w atmosferze, mianowicie na raptowność i natężenie, z jakim wilgoć na niektórych czulszych miejscach skóry i błon śluzowych ciała naszego odparowuje. Przy gwałtownem parowaniu miejscowém pokrycie strat wody w kierunku powierzchni skóry nie tak prędko następuje jak potrzeba, aby szkodliwe zmiany w tych i najbliższych im częściach ciała nie nastąpiły. Takiemi na łatwe uszkodzenia szczególnie narażonemi miejscami są leżące na powierzchni ciała i w ciągłém zetknięciu z powietrzem zostające błony śluzowe i ich przejścia do skóry zewnętrznéj, przedewszystkiém zaś wilgotne zawsze furtki do organu oddechowego. Wprawdzie górna plewka (*epithelium*) błony śluzowéj i wierzchny naskórek (*epidermis*) ochraniają wogólności niższe warstewki od zbyt prędkiego wysychania, ale pomimo tego zdarza się często, że wskutek raptownego ubytku wody z wierzchnich warstw skóry przez silniejsze parowanie nie nadpływa jéj tyle z głębszych warstw ciała, ile potrzeba, aby one nie wyschły za prędko i nie utraciły swéj naturalnéj sprężystości. Powstają téż wskutek tego rysy i przerwy w tych częściach, skoro przy nagłych ruchach mięśni wielorakie naciągnięcia i przekręcenia w błonach śluzowych nastąpią. Prócz tego już samo takie raptowne wysuszenie sprawia w wysokim stopniu drażnienia nerwowe i przekrwienia (hyperemię) błon śluzowych w miejscach dotkniętych, tudzież pryszcze i ranki na ich powierzchni i różne bóle wywołuje. Na te właśnie chorobliwe objawy uskarżają się najczęściéj przy suchych wiatrach północnych, północno - wschodnich i wschodnich, latem i zimą. Szczególnie cierpią wówczas delikatną błonką pokryte części wchodowe do płuc, mianowicie miękkie podniebienie, tylna część języka, wnętrze szyi, krtań... Przemijające uczucie suchości i chropowatości lub łaskotania, tudzież różnych boleści w gardle, krtani i tchawicy towarzyszy zwykle tym

uszkodzeniom przez zbyt suche i zimne wiatry, poczém nieraz i cięższe następują cierpienia, zwłaszcza wtedy, jeśli wskutek częstszego powtarzania się tych uszkodzeń zapalne choroby błon śluzowych staną się nareszcie chronicznemi i dla *grzybków zarazków* wygodne nastręczywszy legowisko, do niebezpieczniejszych jeszcze chorób organizm usposobią. Uszkodzenia jednak wspomniane wtedy tylko następują, gdy większe parowanie wody odbywa się raptownie, bez pośredniczących zmian utraty jéj słabszéj i powolniejszéj, przez które by organizm powoli do strat większych i raptowniejszych niejako się przygotował, nawykł, *akomodował.* To téż dłuższy pobyt w suchym klimacie, czy to gorącym, czy zimnym, szkodliwych tych skutków powietrza nie pociąga z czasem za sobą, chociaż z początku, zaraz po przybyciu z innego przeciwnego, na delikatne lub niezdrowe organizmy pomyślnie nie działa.

Także zimne i zbyt wilgotne powietrze, tak w pomieszkaniach (z których radzę każdemu wcześnie się wyprowadzić), jako téż na dworze przy ostrych wiatrach W i NW w najgorszych porach roku, szczególnie w późnéj jesieni, uszczuplając całemi tygodniami, a czasami tamując całkiem naturalne wydzielanie wody przez skórę, znaczne zdrowiu szkody przynosi i wielorakie choroby obłożne, mianowicie reumatyzmy różnego rodzaju — doraźne i przewlekłe, gośćce mięśni i stawów sprowadza. Osoby delikatnéj konstytucyi ciała i wątłego zdrowia postępują więc sobie bardzo mądrze, jeśli wilgotnych pomieszkań na północnéj stronie, tudzież wilgotnych dolin międzygórskich, do których promień słoneczny mało kiedy zagląda, jak morowego powietrza unikają i przy zbyt *wilgotno-zimnym* stanie atmosfery podczas grubéj mgły lub deszczu ze śniegiem siedzą w domu spokojnie i przez należyte palenie w piecach każą powietrze pokojowe według potrzeby ogrzewać, a tém samém je do stopnia wilgoci pożądanéj osuszać; — tym bowiem sposobem na szkodliwe wpływy atmosfery nie są narażone.

VI.

Znając powyższą regułę hygrometryczno-higieniczną i w dawniejszéj rozprawie mojéj (1) podane warunki zdrowego powietrza, nie trudno ocenić także higieniczną wartość t. z. *stacyi* czyli *uzdrowisk klimatycznych* i wilegiatur letnich, dla mieszkańców miast wielkich tyle pożądanych i wielce potrzebnych.

---

(1) O wpływie powietrza na zdrowie człowieka. Lwów 1883.

Przedewszystkiém powinno się wymagać, aby były to miejscowości zaciszne i zdrowe, wolne od częstych i silnych wiatrów, wolne od kurzu, pyłku i dymu w atmosferze, tudzież od miazmów i wilgoci w gruncie, przy tém wszystkiém zaś koniecznie, aby punkt rosienia temperatury 15° R. zazwyczaj nie dochodził i jéj nigdy nie przekraczał. Miejscowość, która tym warunkom nie odpowiada, do celu zamierzonego nie jest przydatną. Wysoko położone górskie okolice, tudzież wiele stacyi nadmorskich, szczególnie nad *morzem Północném* niekiedy przez lat wiele ani razu tego wysokiego punktu rosienia nie widzą. Wprawdzie i tam czasem wysoka temperatura panuje w powietrzu, ale punkt rosienia trzyma się przy tém zawsze dość nizko i o duszném na dworze powietrzu, o parnocie nie ma mowy.

Przy ocenianiu wartości stacyi klimatycznych także wilgoć (%) powietrza należycie uwzględniać należy. Nie chodzi tu wszakże o taką precyzyą, jak pod względem temperatury rosienia, mianowicie aby pewne maksymum względnéj wilgoci (np. 80%) nie było nigdy przekroczone, gdyż przy każdym gwałtownym deszczu okazuje hygrometr zazwyczaj 85 do 90 a nawet 95% wilgoci w powietrzu, a do tego skóra ciała naszego, mająca zawsze jakieś pokrycie w odzieży, na wpływy zmian wilgoci jest wytrzymalszą niż płuca, które ciągle w bezpośredniéj styczności (1) z atmosferą zostają. To téż dopiero dłuższy czas trwająca zbyt wysoka lub zbyt nizka wilgotność w powietrzu działa szkodliwie na zdrowie nasze.

Do warunków ideału stacyi klimatycznéj należy téż średnia temperatura dnia 15° — 16° C., oraz żeby krańce nie wiele od niéj były oddalone, np. rano o 6 godz. 10° C., po południu o 3 godzinie 24° C., a wieczorem o 8-éj 12° C. Ponieważ od temperatury zawisł wielce stan wilgoci w atmosferze, zatém przy owéj średniéj temperaturze zazwyczaj:

80%	wilgoci	odpowiada	niedosyt	2·54—2·71	mm.
60%	"	"	"	5·80—5·42	"
40%	"	"	"	7·62—5·12	" ;

na wysokościach 1500 do 2000 stóp w górach — przy średniéj temperaturze dnia — 15° do 20° C. zaś wilgoci:

80%	odpowiada	niedosyt	2·54— 3·48	mm.
60%	"	"	5·08— 6·96	"
40%	"	"	7·62—10·43	"

Niedosyt zaś 8·25 mm. na dworze w lecie dość jeszcze znośny.

---

(1) Oddychając statecznie tylko przez nos a nie ustami, ma się tę wielką korzyść, że powietrze *wdychiwane* zimniejsze *ogrzewa* się na téj drodze do 30 przeszło stopni Cels., tudzież że się wilgocią prawie aż do sytu temperaturze téj odpowiedniego wzbogaca; nareszcie z grubszego przynajmniéj kurzu trochę się oczyszcza.

Mając tedy wzgląd należyty na skórę ciała i życie nerwowe, tudzież na indywidualność chorych, nie możemy polecać na kuracyą klimatyczną ani miejsc, których *średnia* wilgotność przy normalnéj temperaturze dobrego uzdrowiska w okresie kuracyjnym bardzo często 80% przechodzi, ani téż miejsca, którego średnia wilgoć zbyt często niżéj 40% leży.

Zdawałoby się więc, iż średnia wilgoć 60% w takich miejscach utrzymywać się powinna. Tymczasem tak nie jest. Stosunki są tu bardziéj powikłane niż się wydaje. Więcéj lub mniéj częste opady atmosferyczne odgrywają tu bardzo znaczną rolę. Wielka bowiem jest różnica, czy codzień godzinami świeżego powietrza na dworze używać możemy, czy całe dni a nawet tygodnie zamykać się w pokoju musimy dla deszczu, który ledwo co ustanie, zaraz znowu padać zaczyna. Liczba dni deszczowych w pewném miejscu jest oczywiście tém mniejsza, im niższą jest średnia wilgoć powietrza tamże, czyli im większa liczba niedosytu i o tyle 60% wilgoci na hygrometrze (czyli przy temp. 15—20° C. *niedosyt* 5·08—6·96 mm.) okazywało by przeważnie „*dnie piękne i słoneczną pogodę.*“ Przekonano się téż, że pora deszczowa zazwyczaj dopóty nie nastaje, póki się skazówka hygrometru wyżéj 60% nie podniesie; przed rozpoczęciem zaś deszczu wilgoć powietrza najczęściéj 75% dochodzi. Wiedząc przeto, iż okolice dżdżyste najczęściéj średnią wilgotność 75% posiadają, pogodne zaś i słoneczne najwięcéj tylko 60% wilgoci mają, łatwo zrozumiemy, że stacya klimatyczna, któréj temperatura do ideału takich stacyi się zbliża, średnia zaś wilgoć w porze pobytu między 60 a 75% leży, za miernie wilgotną uważana być może i wielostronnym wymogom odpowiada.

W miejscach, gdzie znacznie wyższa *średnia* temperatura dnia panuje, powietrze ma téż znaczniejszy niedosyt i dlatego bardziéj wysuszająco działa niż tam, gdzie średnia temperatura dnia jest statecznie niższa, chociaż we wszystkich tych miejscowościach hygrometr prawie tę samą względną wilgoć w procentach okazuje.

Atoli, gdy jak wiemy, nie sama tylko *względna wilgoć* czyli raczéj niedosyt pary w powietrzu, lecz także ruchy w atmosferze (wiatry) bardzo znaczny wpływ na czynność skóry ciała naszego wywierają, *powietrze spokojne* z 80% wilgoci nawet przy temperaturze rosienia niższéj od 15° R. działa mniéj lub więcéj deprymująco i wywołuje ociężałość, podczas gdy *wietrzne* przy téj wilgoci raczéj podnieca i wzmacnia, niż osłabia. Widać to najlepiéj, gdy porównamy pod tym względem działanie powietrza w *Wiesbadenie* i w *Norderney*. W obudwóch tych miejscowościach nieraz przy *równéj* temperaturze względna wilgoć powietrza 80% dochodzi. Podczas gdy jednak

w sławnym z ciszy powietrznéj Wiesbadenie przy 14° R. i 80% wilgoci czuje się rodzaj omdlewania, wietrzna atmosfera miejsca kąpielowego Norderney w tych samych okolicznościach temperatury i wilgoci działa jeszcze orzeźwiająco i wzmacnia organizm, chociaż niedosyt tu i tam wynosi wówczas 3 mm.; wyziewy bowiem skóry odbywają się pod okryciem odzienia śpieszniéj w atmosferze silnie poruszonéj niż w spokojnéj. Zazwyczaj w Norderney w lipcu i sierpniu *średnia* temperatura dnia jest niższa niż w Wiesbadenie i niedosyt trzyma się tam niżéj, ale dla wiatru z nad morza wpływ powietrza całkiém jest odmienny w téj porze na gości kąpielowych niż w Wiesbadenie.

Powietrze w miejscach klimatycznych zbyt téż suche być nie powinno. „*W środkowéj Europie, położonéj w dziedzinach letnich deszczów, nie ma się pod tym względem czego obawiać*"—powiesz mi może szanowny czytelniku. Tymczasem zdarza się nieraz i tu, że hygrometr *znacznie niższą* od 40% wilgoć pokazuje. Są to wszakże rzadkie tylko wyjątki, które się wydarzają w pewnych miejscowościach na 2 lub 3 godziny w ciągu dnia w jednym lub drugim tygodniu, *najczęściéj na wiosnę, przy północno lub czysto wschodnich wiatrach* (1). W samym wilgotnym Wiesbadenie 13 maja 1881 i 6 kwietnia 1882 obserwowano na hygrometrze tylko 15% wilgoci atmosferycznéj. A na liguryjskiém wybrzeżu (Riviera) panują częstokroć takie ostateczności wilgoci (%), jakie tylko jeszcze w rzeczywistym klimacie pustyniowym napotykamy. W Genui i St. Remo hygrometr w zimie i na wiosnę nieraz tylko 8—13% wilgoci okazuje, podczas gdy nawet wiatr Chamsin, który ludność Egiptu przez wysuszające działanie swoje zgrozą napełnia, w najgorszych dniach panowania jeszcze 13 do 19% wilgoci zawiera. (Mimo to wegetacya na owym wybrzeżu nie ma wcale cechy przypominającéj czémkolwiekbądź okolice pustyniowe, ani też ludzie, a między nimi liczni suchotnicy, nie cierpią ostatecznie pod wpływem téj chwilowo zbyt nizkiéj wilgoci. Średnia bowiem temperatura w owych porach roku jest na Rivierze +10° C., niedosyt więc tam 7·92 mm., 8·19 mm., 8·37 mm. przy 8%, 10%, 13%—wynosi; przy temperaturze zaś 40°C u Chamsina 10% wilgoci oznacza niedosyt 49·42 mm. (!), który wszelkie możliwe granice higieniczne wilgoci przechodzi). Takie wyjątki potwierdzają właśnie regułę. Gdy zaś ta 40% za granicę suchości atmosfery uznaje, każda miejscowość z taką atmosferą stanowczo

(1) W stepach syberyjskich wilgoć tak jest mała, iż nieraz raptowne spadnięcie temperatury z +23° R. na—3° R. żadnego jeszcze opadu atmosferycznego nie sprawia, wiatry więc z tamtąd przychodzące są nadzwyczaj suche.

za suchą uważana być musi. Nawet gdyby hygrometr za bardzo często zbyt wysoki niedosyt okazywał, *średnia* zaś wilgoć w całości daleko była wyższą i wtedy jeszcze miejscowość taką do zbyt suchych zaliczyć wypada, chyba że ten zbyt nizki stan wilgoci (jak na Rivierze) mającéj w zimowych miesiącach średnią wilgoć 38 do 40% ogranicza się tylko na czas bardzo krótki (najwięcéj do 3 godzin na dobę) i bardzo rzadko kiedy się przydarza. Jak przy większéj wilgoci w powietrzu tak samo téż przy posusze bardzo znaczną rolę odgrywa wiatr, zbyt suche i przytém silnie poruszone powietrze daleko szkodliwiéj na nas działać może, niż takie same, spokojne.

Pod względem wilgoci powietrza—krótko mówiąc—wymaga się przeto od uzdrowiska klimatycznego i wogóle od stacyi klimatycznych dla zdrowych (w przybliżeniu): 1) aby punkt rosienia tamże, jak to wyżéj powiedziałem, nie dochodził nigdy temperatury 15°R, czyli raczéj 19°C; 2) aby przy *średniéj* temperaturze dnia 15 do 16°C, *średnia* wilgoć pomiędzy granicami 60 do 75% utrzymywała się i co najwięcéj podczas silniejszych wiatrów wartość 76% trochę przechodziła, niedosyt więc powietrza między *granicami* (odnośnie temperatury) *5·08 mm. i 5·42 mm.* z jednéj strony a *3·18 i 3·39 mm.* z drugiéj leżał; 3) aby najmniejsza wilgoć (minimum tejże) w powietrzu bardzo rzadko kiedy i to na czas krótki, i tylko przy zupełnéj ciszy w atmosferze do 40% lub nie wiele niżéj 40% spadała, niedosyt więc liczby 8·25 mm. *w regule* nie przewyższał; 4) aby hygrometr w sezonie kuracyjnym lub podczas wilegiatury nie zbyt często 80% wilgoci w powietrzu okazywał, tj. niedosyt (według temperatury) liczby 3·48 mm. do 2·44 mm. nie przechodził, a jeśli się to już stanie, aby niepogoda długo (całe dnie lub tygodnie) nie trwała.

Warunki te ważne są równie dla letnich jak i zimowych uzdrowisk klimatycznych, dla Dawosów jak i Norderneyów. Jeśli je zaś miejscowość jaka w istocie posiada, to jeszcze nie oznacza, iż ona na miano „*klimatycznego miejsca*“ zasługuje. Do tego innych jeszcze rzeczy potrzeba, mianowicie: nie wielkich fluktuacyi w zmianach temperatury dziennéj i średniéj miesiąca, tudzież w obrotach chorągiewki wietrznéj, nareszcie wypełnienia wszystkich tych warunków, o których w mojéj rozprawie: *O wpływie powietrza na zdrowie człowieka* obszernie pisałem.

Należy też uwzględniać zawsze indywidualność tak chorych jak i zdrowych, mających się udać do jakiéj miejscowości „*klimatycznéj.*“ Co bowiem jednému wybornie służy, drugiemu szkodliwém być może. Wielu znajdzie się takich, którzy w powietrzu ciepło wilgotném mieć się będą dobrze, inni zaś dopiero w suchém powietrzu doznają ulgi w cierpieniach. (Obacz dr. Reimer: *Winterkurorte*, tudzież Sig-

gmund: *Südliche klimatische Kurorte*, nareszcie dr. Schreiber: *Wesen klimatischen Kuren bei Lungenkrankheiten*).

VII.

Prostym i bardzo wygodnym, a przytém dostatecznie ścisłym probierzem wilgoci atmosferycznéj jest *hygrometr Lambrechta* najnowszéj konstrukcyi. Można go nosić w kieszeni i na tarczy jego odczytywać *bezpośrednio* wilgoć *względną w % maksymalnéj ilości* pary przy każdoczesnéj temperaturze powietrza, tudzież pośrednio *punkt rosienia*, jeśli od temperatury powietrza, na termometrze w stopniach Cels. odczytanéj, odejmie się liczbę stopnia Cels. na hygrometrze ostrzem skazówki uwidocznioną. Różnica ta jest właśnie *temperaturą rosienia*. Mając zaś prócz tego pod ręką *tablicę* sytu czyli maksymalnych ilości pary, obliczonych dla temperatur od —20°C do + 50°C, czy to w gramach (na 1 metr sześc. powietrza) czy w mm. wysokości ciśnienia rtęci, można z łatwością obliczyć w każdym razie *niedosyt* pary w powietrzu. Dajmy na to, że w pokoju termometr 20°C, a skazówka na tarczy hygrometrowéj 58% i przytém także 8°C, pokazuje. Wilgoć powietrza w tym pokoju wynosi więc 58%, a punkt rosienia jest 20 — 8 = 12°C. Na tablicy sytu odpowiada 20 stopniom Cels. ilość maksymalna pary 17·3 mm., temperaturze zaś rosienia 12°C, ilość 10·4 mm., która jak wiemy jest *rzeczywistą* ilością pary w tém powietrzu. Nie dostaje jéj tedy do zupełnéj sytności powietrza pokojowego, tj. do liczby 17·3 mm. ilość 6·9 mm.; ilość przeto 17·3 — 10·4 = 6·9 mm. jest w danym razie *niedosytem* powietrza pokojowego.

Dobry hygrometr jest prawdziwym przyjacielem dzieci, osób chorych i wogóle ludzi słabszego zdrowia. Wiatr *marcowy wschodni* nie dlatego jest zdrowiu ich szkodliwy, że zimny; równie bowiem zimnym jest nieraz także *wiatr zachodni*, szczególnie *NW*, lecz raczéj z téj przyczyny, że jest zbyt suchy i przytém zasilny, zatém rozdelikaconą w ciągu zimy powietrzem pokojowém skórę ciała i ścianki błon śluzowych przewodu oddechowego bardzo prędko wysusza i raptownie oziębia, zbyt więc wiele wody a z nią i ciepła w krótkim czasie z delikatnych i małych lub chorobą zmniejszonych płuc uprowadza. Przezorna téż i troskliwa matka pomimo *„pięknego dnia i słońca na dworze“* nie wyprowadzi z domu dziatek swoich na przechadzkę, póki nie zbada należycie temperatury powietrza, kierunku i siły wiatru, tudzież stanu wilgoci w powietrzu na dworze, wystawiwszy na pół godziny przed wyjściem z domu hygrometr Lambrechta w otwartém oknie. Gdy na probierzu tym wilgoci skazów-

ka o 13 stopni wyżéj pokazuje, niż zawieszony w pobliżu za oknem termometr stopni Celsiusza, albo ich wcale na dwór nie puści, albo wyprowadzi na przechadzkę z takiemi ostrożnościami jak podczas mrozu w zimie; przez to zaś nie od jednego kataru lub zapalenia ich ochroni, szczególnie jeśli dopilnuje, aby nie były narażane przy wyjściu na bardzo szybkie i wysokie różnice temperatury i wilgoci, jakie w téj porze roku zazwyczaj panują w pomieszkaniach opalanych i na świeżém powietrzu pod gołem niebem, tudzież jeśli przestrzegać będzie reguły, aby zbyt długo pod szkodliwemi wpływami atmosferycznemi nie zostawały.

Dla ilustracyi rzeczy przytoczę tu bez dalszego komentarza z moich notatek następujące trzy obserwacye z marca 1886 r. przy wietrze wschodnim:

1) temperatura pow. 6°C., skazówka hygrometryczna *26%*, *19°C.*; *P. r.* 6 — 19 = — 13°C, zatém według *tabl. sytu* niedosyt = 6·9 mm.— 1·7 mm. = *5.2 mm.*

2) temperatura pow. 10°C. 19%, 23°C... *P. r.* = — 14°C. *Nds.* = 9·1 — 1·7 = *7·4 mm.*

3) temp. pow. (10·4 mm.) 12°C, 16%, 25°C; P. r. = 12—25 = —13°C. (1·7 mm.) *Nds* = 8·7 mm.

Jak szkodliwém jest w zimie dla zdrowia dzieci szkolnych, że po odbyciu dłuższéj drogi w powietrzu zimowém, w parę ubogiém na dworze i zimno suchém—codzień w szkole zamykane bywają na 4—5 godzin—w salach nieraz ciasnych, żelaznym piecem wysoko ogrzanych,—gdzie powietrze zbyt suche (które dopiero same płucami swemi zwilgocać muszą) i wyziewami ze skóry ciała, butów i odzieży (brudnéj częstokrokroć), tudzież dla braku należytéj wentylacyi także kwasem węglowym z płuc wyziewanym mocno zanieczyszcza się, nie trudno teraz z całą zgrozą zrozumiéć. Zwykle tam rano na pierwszéj godzinie lekcyi bywa 14 do 15°C. i około 50% wilgoci w powietrzu, popołudniu zaś nieraz 22° do 23° Cels. i 40% wilgoci a przytém duszność w powietrzu, na którą nauczyciele i dzieci bardzo narzekają, gdyż przy 14°C i 50% wilgoci niedosyt jest = 5·96 milimetrów, przy 22°C i 40% wilgoci wzrasta do 11·8 mm., wysuszające więc działanie powietrza po-południowego w szkole w porównaniu z przed-południowém podniosło się w dwójnasób. Czy nie należałoby żelaznych pieców w szkołach niepozwalać i przed rozpoczęciem zbierania się dzieci w klasach kazać naprzód każdą salę należycie przewietrzyć, a potém wedle okazu hygrometru podczas lekcyi przy starannéj nieszkodliwéj wentylacyi ciągłéj w potrzebną wilgoć zaopatrywać?!

Gdy punkt rosienia (z wyjątkiem wypadków gęstéj mgły w powietrzu i wilgotnego opadu śnieżnego) zawsze niżéj temperatury powietrza leży, każde powietrze jest w parę bardzo ubogie, które przynajmniéj 8 do 10°C. nie posiada, zimowe więc jest niém prawie ciągle i to przez całą niemal zimę. Przeciwnie *względna wilgoć* w jesieni i na początku zimy nie tęgiéj bardzo często nad miarę jest wysoka (85 do 95%), dlatego przy wiatrach W. i NW, sprawia zaziębienia i bóle gardła u dziatwy mianowicie szkolnéj, która w zbyt ocieplanych izbach mieszkalnych i salach szkolnych zaledwie się nałoży do wysokich niedosytów przy 40—50% wilgoci musi zaraz wychodzić wprost na ulicę w atmosferę zimną i wysoko wilgotną. Tak np. dziś (15 listop.) o godz. 5-éj z południa było w moim pokoju na 1 piętrze: 20°C i 52% wilg. a *P. r.* = 11·3°C, *Nds* = 7·9 mm. wynosił, podczas gdy na dworze na 1 piętrze od północy *równocześnie* było 5°C, 94% wilg. i *P. r.* 4°C, a *Nds* = 0·5 mm. notowałem. Niedosyt więc powietrza pokojowego przeszło 15 razy był większy niż powietrza na dworze. Wiatr był zachodni a cały dzień ten dżdżysty.

Nie należy téż sprowadzać się do nowego budynku na stałe mieszkanie, nie zbadawszy pierwéj hygrometrem stanu wilgoci ścian jego. Jeśli one tak są jeszcze wilgotne, iż koniec skazówki probierza Lambrechtowskiego, przytwierdzonego do muru, trzyma się pomiędzy 2° — 1°C, mieszkanie z pewnością będzie zbyt wilgotne i dla tego niezdrowe. Zbyt cienkie znów ściany od dworu w budynku przy suchych wiatrach wschodnich nie dopuszczą wilgoci powietrza w pomieszkaniach dojść do pożądanéj dla zdrowia wilgoci 60—70%.

Jak człowiek zdrów, *siedzący spokojnie* w pokoju potrzebuje temperatury powietrza 16 — 18°C, na dworze zaś należycie odziany *przy miernym ruchu* bez szkody dla zdrowia znosi z łatwością mroźną temperaturę — 16 do — 18°C, tak samo może on różne stopnie wilgoci i różne niedosyty znosić, jeśli ma na sobie stosowne odzienie, które go równie od zimna jak i od nadmiernego wysuszania skóry dostatecznie ochrania, i jeśli płucom swoim nie zbyt ciężkie zadania na mrozie przekazuje, gdyż prawidłowa nawet wilgoć w atmosferze silnie i długo pracującym płucom uciążliwą i w końcu szkodliwą być może. Dlatego gdy hygrometr Lambrechta i w bliskości niego zawieszony termometr 18 do 20°C, na dworze pokazuje, prędzéj usiąść można na ławce w ogrodzie i siedzieć spokojnie *w milczeniu*, aniżeli daleką i rączą odbyć przechadzkę *w towarzystwie*, która u osób delikatnych i do plucia krwią skłonnych zawsze jest niebezpieczną. Doświadczenie to zrobiłem sam na sobie przed kilku laty, urządziwszy wycieczkę za miasto przy silnym wietrze *wschodnim na początku maja*—wprawdzie bez termometru i hygrometru, ale po po-

wrocie o godz. 5-téj do domu krwią pluć zacząłem, a innéj tego plucia przyczyny zewnętrznéj prócz téj atmosferycznéj znaleść nie umiałem. Dziś téż tak samo sądzę. Jeśli bowiem hygrometr i termometr na dworze 18° lub 20°C pokazuje, przy 18° będzie 28%, przy 20% tylko 24% wilgoci w powietrzu; *niedosyt* więc w pierwszym przypadku *11·1 mm.* w drugim *13·2 mm.* wynosi. Ta liczebna jego wysokość, połączona z chyżością i temperaturą wiatru wschodniego na wiosnę i z pracą płuc, chodem i mówieniem natężonych, jest dostatecznym powodem do pęknięcia jakiegoś krwionośnego naczynka w gardle, tchawicy lub oskrzelach—i do plucia krwią.

Nawet przy 18—20°R, stać się to samo może w danych okolicznościach, gdyż niedosyty są wówczas jeszcze wyższe, jak to następująca tabliczka okaże:

Przy 18°R, (22·8°C.) jest wtedy 19% wilg. a P. r. = 0°C.
„ 20°R, (25°C.) „ „ 16% „ a P. r. = 0°C.
Syt przy 18°R, wynosi 20 mm. Syt przy 0° zaś 4·6 mm.
„ „ 20°R, „ 23·5 mm, zatém dotyczące

Niedosyty są *15·4* mm. i *18·9* mm. tj. jeszcze większe o 28% i 30% niż w poprzednim przypadku.

Meteorologowie zrobili spostrzeżenie, iż punkt rosienia, który z wieczora okazuje hygrometr, zgadza się zazwyczaj z najniższym stanem temperatury powietrza następnéj nocy. Jeśli więc *temperatura rosienia wieczorem spadnie niżéj 0°*, prawdopodobnie w nocy (zwłaszcza pogodnéj i jasnéj w kwietniu lub październiku) nastąpi mróz. Znają to w innéj formie ogrodnicy i chowają wówczas delikatniejsze rośliny na noc do cieplarni. Mając tedy na wiosnę lub w jesieni przedsięwziąć podróż w nocy, poradzić się należy Lambrechta, jak się odziać na drogę.

Dr. Wojciech Urbański.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Prace filologiczne, wydawane przez pp. J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom I. Zeszyt I i III. Warszawa 1886 r.

Sprawozdanie z „Prac filologicznych“ zaczynamy od rozprawy p. J. Hanusza p. t. „Szkic gramatyczny na podstawie języków indoeuropejskich.“ Autor przeprowadziwszy z małemi zmianami terminologią polską p. Karłowicza (zeszyt I) przystępuje do skreślenia zarysu gramatyki ogólno-aryjskiéj z pewnemi zastosowaniami do badań nad polszczyzną. Nie chcąc streszczać obszernéj dosyć rozprawy, zastanowimy się tylko nad niektóremi szczegółami, które się nam bądź niejasnemi, bądź wątpliwemi wydały.

Autor objaśniając samogłoski, czyni krótką wzmiankę o tryftongach czyli trójzgłoskach. Ponieważ rzecz ta dla czytelnika polskiego jest niejasną, przeto nadmieniamy, iż tryftongi najbardziéj rozpowszechniły się w języku średniowiecznym niemieckim (Mittelhochdeutsch), którego pomniki sięgają od pierwszéj połowy XII wieku i ciągną się do drugiéj XIII st., np. *goeu* zam. *göuwe* = słow. żupa, niem. *gau*; staroniem. *chuoa*=krowa etc. Rozebrawszy atoli nieco bliżéj zjawisko rzeczone, przekonywamy się, że trójzgłoski te są pozornemi; gdyż średn. niem. *oeu* jest przegłoszeniem *ou*, zaś staroniem. *uoa*, wymawia się na sposób: *chuo*-a, a więc dwie zgłoski czyli sylaby, z których jedna dwugłoska (dyftonga), a druga samogłoska. Trudno nam się zgodzić z autorem, żeby samogłoski nosowe były „pewnym rodzajem dwugłosek.“ Wprawdzie w sanskrycie tak zw. anusvâra czyli połączenie samogłoski *a* lub *i* z następującém *m* albo *n* tworzy przytłumiony pogłos nosowy, który w prozodyi stanowi pozycyą, bo z samogłoski krótkiéj tworzy długą, lecz zjawisko to należy do wyłącznych cech sanskrytu. W gwarze górnoszląskiéj (Ma-

linowski Luc. *Ueber die Oppelnsche Mundart in Oberschlesien. Leipzig 1873*), oprócz *ą* i *ę*, mamy nosowe *o*, *ó ė i*. Zgłoskowość tych dźwięków szczególniéj w pomienionéj widoczna gwarze, jeżeli zam. *tam*, *sam* słyszéć można w Opolskiem: *tą*, *są*; zam. *psem*, *kamratem*—*psę*, *kamratę*. To co autor mówi, że słow. *ą* wydało polskie *ę* lub *ą* twarde, stosuje się tylko do obecnego stanu języka literackiego, a nie do przeszłości mowy naszéj, tudzież całéj dyalektologii polskiéj. Niezawsze słow. *ę* występuje w polszczyźnie w postaci *ję* lub *ją* t. j. *ę*, *ą* miękkiego, bo mamy *sążeń* = starosł. *sężeń*.

Teorya samogłosek podana przez p. H. nie stanowi nowości, gdyż niczém się nie różni od nauki Henryka Sucheckiego, na systemie Grimmowskim opartéj.

Nie jest rzeczą dowiedzioną, czy *i* w *i*grać zam. grać jest przyrzutem (prothesis).

Lubo autor jest uczniem nowéj szkoły, jednakże utrzymując, iż: „zbitki kj, gj, przechodzą w spółpowiewne ts, dz lub tš, dž“ oświadcza się poniekąd za jotacyą czyli zetacyzmem, popieranym szczególniéj przez Miklosića, Schleichera i innych dawnego autoramentu lingwistów.

Ciekawa ta pod wieloma względami rozprawa urywa się na morfologii; właściwa bowiem nauka o formach, nastąpi w przyszłych zeszytach.

Jakoby uzupełnienie „Szkicu p. Hanusza“ stanowi „Przegląd bibliograficzny prac naukowych o języku polskim“ zebrany przez pp. Kryńskiego i Appla.

P. Malinowski Lucyan („Studya nad etymologią ludową“) niezbyt ścisłą w badaniach swoich odznacza się metodą, jeżeli opierając się na pomnikach z XIV i XV w., gdzie *Ojców* nazwany jest *Oczecz* utrzymuje, iż „Ociec“ oznacza syna Ottonowego tj. *Otic*. O ile wiemy, w czeskim syn Ottona nazywa się *Otik*, u nas zaś lud patronymica tworzy zapomocą sufiksu j*ak* (Józwiak, Matusiak itp.) co i u Słowieńców zachodzi (Borowszczak, Dolszczak obok Borowszczek, Dolszczek itp.). Sufiks *ic* (jic) tkwiący w imionach miejscowości (Skierniewice, Maciejowice itp.), tudzież w terminach urzędniczych (wojewodzic, kasztelanic, podczaszyc, starościc) nie rozczepia się na *jec*, aby od *Otto* wydać *Otiec* tj. *Ociec*; przypuścić by chyba należało formę *Ociec* i *Ociak*, następnie powstałą ztąd nazwę miejscowości: *Ocic*. Co do sufiksu *jec* w nazwach miejscowości (Królewiec, Tyniec etc.), to takowego nie używa się na tworzenie podobnych imion, od rodowych początek swój wywodzących. Podobnież zaznaczyć nam wypada, że nie na podobieństwo imion *Jędrzej*, *Andrzej* nazwał lud polski według p. M. osadę *Andrychów* nie-

gdyś *Heinrichów* (w wadowickiém)—Jędrzychowém. Zastanowiwszy się nad wpływem czeszczyzny na język staropolski, przekonamy się, iż pierwowzoru szukać należy w czeskiem *Jindrzich* (Henryk).

Wywód wyrażenia: „Dosiego roku“ od „do siego“ nie jest nowością.

P. Bystroń Jan („Rozbiór porównawczy tekstów modlitwy pańskiéj, pozdrowienia anielskiego“ etc.) twierdzi, że zamiast przyimka *t* lub *te*, w późniejszych zabytkach występuje *d*, które powstało drogą analogii do wygłosowego *d* w przyimku po*d*. A jakąż drogą powstało czeskie *d*o, gdzie jest także po*d*, a nawet k*d*o, które napróżno starał się wyrugować ze słowackiego lingwista Viktoryn. Już w XIV st. zwłaszcza u Tomasza ze Sztitného znajdujemy ono *do* (*do* tė doby), a w deskach lennych czyli dworskich z 1389 roku (Palacký, Archiv I.) czytamy nawet: „*od*piera zbożie.“ Jeżeli *g* zam. *d* ma być wtrąconém według nauki Miklosića (Vergl. Gr. d. sl. Spr. I.) w wyrazie *rozgrzeszenie* zam. starosł. *rozrěszenie*, to czemuż ten wypadek zachodzi i w czeskiém, gdzie również *rozhrzeszeni*? Formy więc polska i czeska wcale starosł. nie odpowiadają, bo każde narzecze słowiańskie rozwija się w odrębnych i właściwych sobie warunkach, ściśle z dziejami danego narodu związanych.

Oprócz p. Bystronia umieścili tu swoje opracowania w dziedzinie zabytków języka polskiego pp. Karlowicz („Mleko duchowne“ z 1556) i Malinowski Lucyan („Zabytki języka polskiego w rękop. Bibl. Jagiel.“).

Dział recenzyjny zasilany piórem p. Hanusza. Z innych prac na szczególne zasługuje odznaczenie p. Baudouina de Courtenay: „Z patologii i embryologii jęz.“ (dokończenie) i p. Hanusza: „O wpływie jęz. wschodn. na słownik języka polsk.“

Pominąwszy małe ujemności, wydawnictwo to stanowi nietylko dla specyalistów, ale nawet dla szerszego wykształconych czytelników koła nader zajmującą i pouczającą lekturę. Wytrwałym pracownikom na polu językoznawstwa należy się godne ich trudów uznanie i do dalszego wydawnictwa zachęcenie.

Justyn Feliks Gajsler.

═ Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“ po raz już drugi ogłasza **konkurs** na przedstawienie „*Obrazu historyi literatury polskiéj w wieku XVII.*“ Przedmiot sam pracy konkursowéj trafnie został wybrany, gdyż istotnie mało się dotychczas zajmowano tym okresem piśmiennictwa naszego, bo jakkolwiek jest kilka drobnych monografii Łukaszewicza, Mecherzyńskiego, Małeckiego, Tyszyńskiego, Tarnow-

skiego, Rzążewskiego, Chlebowskiego, Frankego, Trybulskiego, Bema jakkolwiek Adam Bełcikowski przez rok akademicki 1866/7 wykładał w Szkole Głównéj o całości Dorobku literackiego z owych czasów i część swych studyów drukiem następnie ogłosił; to przecież zawsze jeszcze daje się uczuwać brak jednolitego zobrazowania zarówno stanu umysłowego jak i produkcyi literackiéj z tego, z wielu względów niesłusznie potępionego peryodu. Wywołanie pracy, którąby nam skreśliła w wydatnych a wiernych rysach fizyonomią duchową XVII stulecia, byłoby rzeczywistą przysługą dla dziejów literatury naszéj. Zrobimy jedynie tęż samę uwagę, jaką już przed laty wypowiedzieliśmy, że nie należałoby wymagać odrazu za dużo. Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“ nakreśliła program pożądanego dzieła zanadto obszernie, domagając się od przyszłego autora, ażeby samodzielnie ze źródeł zbadał dzieje szkół i wychowania w wieku XVII, poznał dokładnie „wszystkie gałęzie ówczesnéj wiedzy narodu, wszystkie czynniki ówczesnéj kultury“, żeby się rozpatrzył w archiwach i bibliotekach mianowicie tych państw, które w wieku XVII bez wytchnienia wojowały z nami żeby dostatecznie uwzględnił nie tylko dzieła i broszury w języku polskim pisane, ale téż wszystkie utwory, pisane w w. XVII w granicach Rzeczypospolitéj w jakimkolwiek języku lub narzeczu o jéj sprawach, żeby „wszystkie działy piśmiennictwa naukowego przedstawił ze stanowiska dzisiejszéj nauki, zaznaczając jednak zawsze stopień wiedzy, na jakim się znajdowała dana nauka w historyi oświaty powszechnéj w wieku XVII.“ Jeżeli Mecherzyński poświęcił spory tom saméj wymowie XVII stulecia a nie wyczerpnął przedmiotu; jeżeli Łukaszewicz drugi takiż tom napisał o szkołach i wychowaniu tegoż stulecia, a przecież daleko pozostał od idealnego wyobrażenia, jakie sobie o historyi naszéj szkolnéj oświaty wyrobić możemy: to jakże wymagać, ażeby jeden człowiek potrafił nie tylko te, ale kilkanaście innych działów i czynników piśmiennictwa zadawalniająco zbadać i przedstawić. Z drugiéj strony ponieważ niektóre działy naukowe nie są wcale tknięte, jak np. filozofia (z wyjątkiem logiki, którą obrobił Struve), ekonomika, nauki przyrodnicze; musiałby przyszły autor samodzielnie roztrząsnąć te tak różne przedmioty, a to chyba, względnie do wymagań redakcyi, byłoby niepodobieństwem. Wprawdzie redakcya czuje trudności postawionego przez siebie zadania, wié, że jeden człowiek nie może zbadać samodzielnie wszystkich gałęzi literatury, ale sądzi, że „historyk literatury powinien odznaczać się umysłem przez pracę metodologiczną do tego stopnia wyćwiczonym, że za pomocą rozbioru krytycznego potrafi powiązać z sobą fakta i prawidła przez *specyalistów* zdobyte i przez naukę za ostateczny wyraz

wiedzy danéj epoki przyjęte. Niewątpliwie tak może zrobić z temi wszystkiemi naukami, które stały się przedmiotem badań specyalnych u nas, ale co pocznie z takiemi, które jak wskazaliśmy, wcale przez specyalistów nie były rozbierane?... Zdaniem naszém, ażeby konkurs mógł mieć powodzenie, ażeby istotnie mógł wywołać pracę prawdziwie pożyteczną, należało bezwarunkowo ścieśnić granice programatu, zażądać gruntownego, źródłowego opracowania jakiegoś jednego działu lub pewnéj pokrewnéj ich grupy, zwłaszcza zaś jednego z dotychczas pomijanych, lub zaniedbywanych. Wtedyby można postawić najsurowsze wymagania, a żaden pracownik nie mógłby zrobić słusznego przeciw nim zarzutu. Może redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“ kierowała się w zarysie programatu poglądem, że należy dużo żądać, ażeby choć coś otrzymać, ale jest to pogląd może słuszny w sprawach praktyki życiowéj, lecz w rzeczach nauki odstraszyć on może tych, co surowo pojmując zadanie, do pracy się nie wezmą z obawy niepodołania zbyt szeroko zakreślonemu programatowi. Zdarzyć się może, iż trafem szczęśliwym redakcya znajdzie pracę pożądaną, życzymy jéj tego szczerze. Nagroda wynosi rubli 1000. Rękopisma opatrzone godłem przyjmowane będą do 1 marca 1889 roku. Nazwisko autora i miejsce zamieszkania winno być zamieszczone w osobnéj kopercie, na któréj znajdować się ma toż samo godło, co na rękopiśmie.

= Z nowym rokiem 1887 rozpoczął wychodzić we Lwowie **Kwartalnik historyczny**, organ towarzystwa historycznego pod redakcyą Ksawerego Liskego. Zeszyt pierwszy zawiera oryginalną rozprawę F. Bostela: „Orzechowski czy Górski?“, 58 recenzyi różnych nowszych dzieł, przeważnie z zakresu historyi i literatury polskiéj, spis obszerniejszych recenzyi w innych czasopismach drukowanych, bibliografią dzieł zagranicznych, sprawozdania z dwóch dotychczasowych posiedzeń towarzystwa historycznego, wreszcie mowę dra Oswalda Balzera, wygłoszoną nad grobem ś. p. X. Waleryana Kalinki. „Kwartalnik historyczny“ jako jedyny organ specyalny dla badań historycznych oddać może u nas téj gałęzi wiedzy nie małe usługi. Szeroko zaś i umiejętnie przez specyalistów traktowany dział krytyczny ułatwi w wysokim stopniu oryentowanie się w obfitym materyale historycznym i literackim najnowszéj doby.

= **Saturnin Kwiatkowski: Wykaz dostojników duchownych i świeckich tudzież urzędników z czasów Władysława Warneńczyka (1434—1444).** *Kraków 1885.* — Spisy urzędników należą niewątpliwie do bardzo pożytecznych prac historyograficznych. Jeżeli bowiem w stosunku do wyłożonego na nie trudu i mozołu okazują się na razie dosyć niewdzięczne, gdyż nie mogą wcale liczyć na szersze koło

czytelników, to jednak korzyść, jaką przynoszą, nie jest ani zbyt mierną, ani zbyt szybko przemijającą. Z jednéj strony są one znakomitym materyałem dla historyi urzędów, oraz przynoszą ważne usługi w badaniach dyplomatycznych, z drugiéj utrwalają liczne szczegóły, odnoszące się do pojedynczych osobistości lub wybitniejszych rodzin szlacheckich. Nadto wysnuć z nich można wnioski, jakie rodziny, jacy ludzie wywierali stanowczy wpływ na sprawy, jakiéj polityki trzymał się rząd w rozdawnictwie urzędów i t. p. Dla tego wdzięczni musimy być autorowi, że pracując od lat kilku specyalnie w czasach Warneńczyka, których dzieje wzbogacił już kilku rozprawami, dał nam wykaz urzędników z owego okresu, przynosząc tym sposobem pracę, na których taki brak w naszéj literaturze. Jak poprzednie odznacza się i obecna zwykłą autora sumiennością, ale posiada mimo to liczne niedokładności, co już oczywiście sama natura tego rodzaju zestawień i użytego do nich materyału przynosi zwyczajnie za sobą. Znajdujemy w powyższéj pracy tylko urzędników ziemskich, świeckich i duchownych, urzędników bowiem kancelaryjnych, koronnych i dworskich podał autor już przed trzema laty (Rozprawy i spraw. akad. um. T. XVII). Z duchownych mamy tylko arcybiskupów i biskupów, a widzielibyśmy chętnie i niższych dostojników, jak opatów, kanoników, urzędników kapitulnych i konsystoryalnych, notaryuszy publicznych, oraz ile możności i dostojników zakonnych. Mianowicie co do pierwszych, zestawienie takie dałoby nam pojęcie, o ile szlachta się do nich garnęła, o ile plebejusze byli do nich dopuszczeni, wiadomo bowiem, że już za Władysława Jagiełły istniał zakaz przyjmowania plebejuszów do pierwszych czterech kapituł w królestwie, a przecież przez cały wiek XV i w XVI mimo krzyki szlachty, zdołali oni go omijać i wciskać się do nich. Co do urzędników świeckich, to luki i niedokładności w wyliczaniu ich są całkiem usprawiedliwione i nie myślimy z nich robić autorowi wcale żadnego zarzutu. Drukowany materyał wyzyskał p. Kwiatkowski jaknajskrupulatniéj, prócz tego używał jednak i rękopiśmiennego i na nim przeważnie oparł swoję pracę, mianowicie w wykazie niższych urzędników ziemskich i powiatowych. Są to akta grodzkie i ziemskie, zachowane w archiwum krajowém we Lwowie, a ponieważ mamy tu głównie księgi ziem, należących do województwa ruskiego, więc téż urzędnicy tych ziem znaleźli w wykazie obecnym stosunkowo najdokładniejsze i najbogatsze w szczegóły zestawienie. Jednak i tu znajdziemy liczne braki. Księgi te, znajdujące się do dziś częściowo jeszcze w stanie zupełnego chaosu, przedstawiają w użyciu nieraz niepokonane trudności i dlatego nie dziw, że autor w niejedném jest niedosyć dokładnym lub nawet pobłądził, że

w miarę postępu w uporządkowaniu, a względnie wydawaniu tych ksiąg, praca p. Kwiatkowskiego licznych dozna zmian i uzupełnień. Obecnie, na podstawie wydanych przez prof. Liskego ksiąg sanockich w XI tomie Aktów grodz. i ziems., jesteśmy w stanie porobić niektóre sprostowania przynajmniéj co do urzędników ziemi sanockiéj: 1) Podkomorzy Johannes Grzymala (de Mieszcze) był nim nie do 1435, lecz od $^{11}/_{1}$ 1434 — $^{1}/_{12}$ 1444. 2) Sędzia Klemens de Pobyedna był nie do 1439, lecz do $^{30}/_{1}$ 1440. 3) Stolnik Steczko z Tarnawy nie do 1441, lecz od $^{18}/_{11}$ 1437—$^{20}/_{6}$ 1439; następnie drugi stolnik za panowania Warneńczyka, Jan Bal $^{18}/_{3}$ 1441 — 1444, którego autor nie zna. 4) Wojski Piotr (1442—1444) zwał się „heres de Trepcza.“ 5) Pomiędzy burgrabiami umieścił autor Michała de Smolicze z roku 1440, tego samego zaś późniéj pomiędzy wojewodami czyli podstarościami z r. 1438—1442; już z tego samego widać, że to jedna osobistość, a ponieważ burgrabia a wojewoda (w znaczeniu ruskiém) to jeden i ten sam urząd, jak tego dowiódł w przedmowie XI t. prof. Liske, należałoby ich ściągnąć i wogóle w wykazie oddzielić ruskich wojewodów od polskich burgrabiów i podstarościch. Ten Michał Smolicki był zresztą wojewodą od $^{17}/_{4}$ 1438 — $^{9}/_{9}$ 1440. Urząd tego wojewody nie jest jeszcze dosyć wyjaśniony, czy był to trwały, czy czasowy, nie wiedzieć, prawdopodobnie to drugie; równocześnie, a właściwie może ciągle zmieniających się widzimy kilku: Stanisław był od 1434—$^{13}/_{2}$ 1437; Jacussius nie do 1443, lecz $^{27}/_{8}$ 1435—$^{9}/_{12}$ 1437; Jan Głowa nie do 1444, lecz $^{1}/_{11}$ 1442—$^{10}/_{6}$ 1443; Smyothanka (Piotr) $^{29}/_{4}$ 1443—1444. 6) Pisarz Andrzéj de Bytescii był nim nie 1434—42, lecz $^{28}/_{5}$ 1429—$^{16}/_{9}$ 1444. 7) Chcielibyśmy przy każdym urzędniku mieć wyrażone od kiedy do kiedy urzędował, czyli właściwie w którym dniu lub miesięcu występuje poraz pierwszy z tym urzędem, w którym poraz ostatni. Autor korzystający prawie wyłącznie z dokumentów i ksiąg sądowych, winien był to wszędzie skrupulatnie zanotować, gdy tymczasem znajdujemy to u niego bardzo rzadko, zwykle podaje tylko rok. Co się tyczy sanockich urzędników, możemy dać kilka uzupełnień: Starosta Mikołaj Chranstowski był nim do $^{21}/_{12}$ 1437; Piotr Smolicki od $^{2}/_{3}$ 1438 — $^{27}/_{10}$ 1442; Jan Kuropathwa od $^{17}/_{11}$ 1442 — 1444; Chorąży Piotr ze Zboisk od $^{23}/_{10}$ 1434 — 1444; sędzia Mikołaj Pelwelski od $^{14}/_{3}$ 1410 — 1444; Swensko $^{19}/_{5}$ 1435—1444; podsędek Mikołaj Pelwelski $^{9}/_{9}$ 1435—$^{30}/_{1}$ 1440; wojski Mikołaj z Jarosławic $^{18}/_{12}$ 1434—$^{9}/_{9}$ 1440; miecznik Fryderyk Jaczymirski $^{16}/_{1}$ 1434—1444. Na podstawie 11-go tomu Aktów grodzkich mógłby autor uzupełnić także i poprzednią swą pracę (Urzędnicy kancelaryjni...), np. w rozdziale urzędników królowéj Elżbiety, do któréj ziemia sanocka w tym czasie należała i któréj urzędnicy wy-

stępują w aktach, tacy, jakich autor nie wymienia: Petrus *Hochmystr*, Mikołaj Gnoiński, marszałek nadworny, Jakób Gnoiński to samo itp. Na zakończenie muszę podnieść, że tak obecnéj, jak poprzedniéj pracy p. Kwiatkowskiego brak jednéj rzeczy, która utrudnia korzystanie z tych bądź-co-bądź cennych wykazów—t. j. indeksu. Krótki spis alfabetyczny osób na końcu, nie byłby zbyt wiele czasu, ani miejsca zajął, a ułatwiłby bardzo poszukiwanie pracującemu nad monografią jakiejś rodziny lub osobistości, podczas gdy obecnie musi się przebijać przez kilkadziesiąt stron wykazu. *F. Bostel.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Oczekiwanie. - Niemcy i Francya.—Zwycięstwo Arymana.—Niepewność tryumfu ks. kanclerza.—Narodowo-liberalne stronnictwo i szlachcic pomorski Alzacya i Wielkopolski Socyaliści polscy przy wyborach.—Życzenie ks. D. [illegible]. - Memoryał komisyi kolonizacyjnéj.—Smutne liczby.—Przesilenie rolne.—„Teoretycy z za zielonego stolika“ i „Praktycy z Psiéj Wólki“.—Prośba do uczonych.—Parcelacya i korzyść społeczna.—Złudzenia rolników.—Żydzi gospodarzami.—„Smutne wnioski“ i ich źródło.—„Energia inteligentna“ w luźnem obliczeniu:—Literat Coppégo i raptus z „Głosu“.—Wymagania higieny społecznéj.—„Tygodnik powszechny“.

Wielu poetów starało się odmalować chwilę oczekiwania na mający tuż tuż spełnić się wypadek wielkiéj doniosłości. Wzrok i słuch wszystkich zwraca się w jednym kierunku, duch zamiera, dokoła zalega cisza, wśród któréj czuć grozę gotowego wybuchu. Taką chwilę przebyła, i dziś jeszcze przebywa Europa. Od pół roku, interesy, potrzeby, widoki, nadzieje, chęci, namiętności, ambicye, uczucia gotują się, kłębią, wrą; nieustannie wydobywa się na wierzch jakiś nowy pierwiastek, zda się pryśnie i choć ofiarą zniszczenia uwolni i rozdzieli skłócone żywioły; gdzie tam, ten jak i poprzednie spada na dół, aby ustąpić miejsca następnemu. Wytworzyło się położenie mało co lżejsze dla zbiorowiska ludzkiego, niż kamień młyński, dla piersi jednostki. Przemysł i handel, wszelkie zabiegi o materyalny byt narodów podobne są do ustającéj w swym biegu maszyny: jeszcze ruch trwa ale coraz słabszy i słabszy, za chwilę ustanie zupełnie; teraz biéda, za chwilę ruina i... nędza. Znika wszelka nadzieja, aby z téj duszącéj otchłani można się było wydostać na świeże powietrze, nie przechodząc przez mordy, pożogi, mór. W takiéj chwili główny sprawca kryzysu, ks. Bismarck, osobiście i przez organy swoje i swoich cudzoziemskich przyjaciół zapewniał świat, iż upragniony spokój nastanie, pierzchną zmory, jeżeli stronnictwa pokorne jego skinieniom zwyciężą przy obecnych wyborach. Czekano też we wszystkich zakątkach Europy z bijącém sercem wieści z Ber-

lina. Żelazny kanclerz jeszcze raz zwyciężył. A więc nadchodząca wiosna ma świat powitać gałązką oliwną. Może, ale w takim razie drogo został okupiony pokój. Ileż lat jeszcze panować będzie nad Europą brutalność pruskiéj przemocy? Gdzie czasy, kiedy Francya przodowała wśród wojny i w czasie pokoju? Prowadziła ona nieraz na manowce, ale w jéj dłoni gorzała zawsze pochodnia ideałów, obejmujących ludzkość całą; nieraz jak Donkiszot rzucała się do walki z urojonemi mocami złego, niszczyła nabytki pracy, ale nad jéj czołem świeciła wciąż gwiazda miłości i poświęcenia....

Dla ks. Bismarcka przebyte wybory miały doniosłość niezmierną. Gdyby opozycya była zwiększyła swe szeregi, to tém samém przekreśloną by została znaczna część jego wysiłków i zasług; zjednoczone Niemcy wypowiedziały by bardzo dotkliwe wotum nieufności ministrowi pruskiemu. Zwycięstwa jednak swego chyba żelazny książe nie uważa za tryumf niewątpliwy. Przez ośm lat wyrywał prawami wyjątkowemi z socyalną demokracyą, ta jednak rosła i rosła a dziś w stolicy Prus bije na głowę jego kandydatów. Centrum, najwytrwalsza i najpoważniejsza część opozycyi, pomimo nadzwyczajnych środków i interwencyi władzy duchownéj nic straciło nic prawie z sił swoich. W Alzacyi i Lotaryngii, wbrew groźbom, wbrew najwyższemu naciskowi policyi i władz wojskowo-administracyjnych, z urn wyborczych wyszły imiona gorących patryotów, stwierdzając wierność oderwanych prowincyi dla niezapomnianéj ojczyzny. Pobitą została jedynie partyą wolnomyślna, niestety najsympatyczniejsza i najszlachetniejsza wśród stronnictw. Wydarte jéj krzesła zajęli *narodowo-liberalni*. Zbyt dużo zostało w ks. Bismarcku buty i popędów pomorskiego szlachcica, zbyt jest przewidującym politykiem, aby go mogła nie martwić konieczność łączenia się i popierania takiego osławionego przyjaciela. Stronnictwo narodowo-liberalne jest armią baronów kapitału, wielkich przemysłowców, bankierów, kupców itd. z niejaką przymieszką reprezentantów nauki. Wszyscy przecież ożywieni szlachetnemi tendencyami przedstawiciele tych stanów, lub przynajmniéj znaczna ich większość należy do innych stronnictw, do konserwatystów, do centrum, do wolnomyślnych; tu zebrali się sami niemal bojownicy w imię egoizmu. Nazwa ich brzmi urągowiskiem podniosłym ideałom. Uczucia narodowe, to altruizm rozciągnięty na szerokie koło ludzi, uczący miłości powszechnéj i prowadzący do niéj. Dla nich miano narodowców ma usprawiedliwiać brudne samolubstwo i przykrywać chęć grabieży. Ich liberalizm znaczy toż samo co wolność duszenia słabych, odmawiając im prawa obrony. Ks. Bismarck rozumie, iż spokój społeczny wymaga pieczy nad cierpiącymi i niepewnymi jutra pracownika-

mi, to téż sojusz z narodowo-liberalnymi jest mu niewygodny. Stają oni zawsze na drodze wszelkim reformom socyalnym, których się domaga wiedza społeczna, miłosierdzie, sprawiedliwość, miłość ludzkości. Zdaje się, że kanclerz niemiecki, zyskawszy większość dla siedmiolecia, utraci ją przy pierwszéj lepszéj spornéj kwestyi w przyszłości.

Polacy nie dotrzymali niestety kroku Alzatczykom. Początkowe wieści brzmiały bardzo pomyślnie, nietylko żaden powiat nie miał być stracony, ale można się nawet było spodziewać nabytku nowego posła przy wyborach dodatkowych. Najświeższe wiadomości rozwiały tę nadzieję. W samym wiel. księstwie okręg szubińsko-wyrzyski, dotąd reprezentowany przez polaka, wybrał teraz Falkenberga, niemca (otrzymał o 588 głosów więcéj niż Skórzewski). W okręgu zaś toruńsko-chełmińskim Szczaniecki będzie musiał poddać się powtórnemu głosowaniu, mając za współzawodnika narodowo-liberalnego kandydata, Damnesa. Słowem, zamiast 16-u posłów Koło polskie w Berlinie liczyć będzie członków 13-u lub 14-u. Dodać należy, że po wyborach w 1884 roku reprezentacya polska doszła do liczby 18-u i od tego czasu dwa już razy nowe wybory zaznaczają utratę sił. Tém się tylko chyba pocieszyć można, że były czasy jeszcze gorsze a zdołano wzmódz się wbrew staraniom ks. kanclerza: może też i dzisiejsza klęska nie jest znamieniem trwałéj niemocy. Zaznaczyć należy wzrost w Poznaniu żywiołu socyalistycznego. W 1881 grupa polska, rezydująca w Genewie, a złożona z kilku emigrantów z Warszawy, postawiła kandydaturę Bebla, który nie dostał *ani jednego* głosu. Takie niepraktykowane *fiasco* było wynikiem oddalenia od kraju jednych agitatorów i uprzedniego aresztowania innych, skutkiem czego nie nastąpiło porozumienie z Niemcami, którzy pewną choć skromną, bo niedochodzącą 30-u, ilość głosów zebrali dla swego kandydata Kräckera (jeżeli mnie pamięć nie zawodzi). W tym roku podobno socyalista Konstanty Janiszewski znalazł aż dwiestu przeszło wyborców w Poznaniu. W téj liczbie byli i Polacy, chociaż na zebraniu przedwyborczém u Sundmana przemawiali głównie Niemcy. Sam p. Janiszewski jest z pochodzenia polakiem, występował w Genewie solidarnie z grupą *Równość* i był aresztowany w 1881 r. razem z dwiema innemi osobami. Wystąpienie obecne jest doprawdy dowodem zaślepienia stronniczego. Dopóki działania doktrynerskie pozbawiały nas tylko pojedyńczych jednostek, było to smutne, ale nie tak doniosłe; teraz odciąganie robotników od solidarności narodowéj, kiedy żywioł polski pasuje się w rozpaczy niemal o byt, stanowi wykroczenie, które wyświetlić należy wobec opinii publicznéj, by je surowo potępiła.

Potężną zawalę rzucił również pod koła polskiéj maszyny wyborczéj ks. Dinder; idąc zapewne za wolą posłusznego dla Prus Watykanu, wyraził on w ostatniéj chwili *życzenie*, aby ks. Jażdżewski nie przyjmował mandatu. Takie życzenie jest naturalnie rozkazem dla podwładnego.

Minister rolnictwa Lucius przedstawił sejmowi pruskiemu obszerny memoryał o wykonaniu prawa z d. 26 kwietnia 1886 r. co do kolonizacyi w Prusach Zachodnich i w ks. Poznańskiém. Nietylko Polacy, ale nawet Niemcy katolicy są tam traktowani jako *nieprzyjaciele*, którym państwo wypowiedziało wojnę i zaprzysięgło zagładę. Jestto chyba jedyny fakt podobnego stanowiska ministra w urzędowém wystąpieniu względem spokojnych poddanych swego monarchy. Memoryał pełen jest bardzo ważnych dla nas wiadomości i liczb. Aby zapobiedz przechodzeniu powrotnemu rozkolonizowanéj ziemi w ręce polskie, nabyte majątki rozdawane będą tylko Niemcom ewangelikom, na których narodowości i wyznaniu nie ciąży żadna plamka. „Dzieło kolonizacyi budzi—według zapewnienia p. ministra—najżywszy interes w najodleglejszych zakątkach wielkiéj ojczyzny niemieckiéj“, a nawet i po za jéj granicami. Dotąd zgłosiło się z różnych stron świata, z Europy, z Ameryki aż 871 kolonistów. Dwa więc główne czynniki dopisały, dużo rąk wyciągnęło się ku komisyi, dając ziemię, dużo się téż podniosło, aby ją dostać. Pomimo to całkowite załatwienie sprawy nie jest wolne zupełnie od trudności. Nabyte majątki są w stanie złym, niema budynków, potrzeba kolonistom dać sprzęty, inwentarz; dla tego też p. Lucius oświadcza, że liczyć na żadne korzyści z nabytych dóbr nie można, przeciwnie nawet wypadnie fiskusowi zdobyć się na niemałe nakłady. Być może, iż dla przyśpieszenia kolonizacyi i jednocześnie dla uwolnienia Niemców od kosztu na germanizacyą, wpadną niedługo w Berlinie na pomysł obłożenia stałą kontrybucyą pozostałych w rękach polskich majątków; wobec tego, co się dotąd dzieje podobne *prawo* nie mogło by nas zdziwić nawet; wyargumentowano by go tém, że chodzi tylko o złamanie uporu, krępującego właściwy bieg życia państwowego. Tymczasem jednak p. minister nic o tém nie wspomniał. Dwa nabyte na subhastacyi po Witoldzie Łubieńskim, majątki Dolnik i Paruszka (859 hektarów w pow. złotowskim w Prusach Zachodnich), mają być użyte na rodzaj stacyi doświadczalnéj dla prób kolonizacyjnych. Rzeczywiście, ostatnie telegramy powiadamiają, że Dolnik został rozdzielony na 21 części, z których 17 już sprzedano lub wydzierżawiono.

Memoryał wylicza w dalszym ciągu nazwy majątków, nabytych przez komisyą w 1886 roku. Nie będę tu powtarzać téj pogrzebowéj litanii; ogółem na cele kolonizacyjne zakupiono 11,730 hekta-

rów za cenę 6,761,745 marek. W roku bieżącym już parę majątków wyszło z rąk polskich, przymusowa sprzedaż jest na porządku dziennym i wciąż nam ziemię wyrywać będzie; prócz tego memoryał oznajmia, iż komisya otrzymała propozycye nabycia z wolnéj ręki 140 posiadłości większych i kilkunastu chłopskich. Wprawdzie komisarz rządowy na zapytanie posła Magdzińskiego stwierdził, że nawet połowa tych ofert nie pochodzi od Polaków, jestto jednak słaba pociecha, bo trzecia, czwarta, piąta część stanowiłaby już powtórnie wielką liczbę. To jedno dodaje otuchy, że opinia w całéj Wielkopolsce jest mocno wzburzona i coraz to silniéj piętnuje „*zdesperowanych* lub *podłych*, na wskróś zgnilizną przesiąkniętych spekulantów, którzy nie mają odwagi w najgorszym wypadku z siekierą i motyką w ręku pracować na wyżywienie siebie i swoich rodzin.“ P. Łyskowskiego ścigają bardzo dotkliwe objawy ogólnéj wzgardy.

Przyznać trzeba, że rząd pruski nie mógł znaleść dogodniejszéj chwili do wywłaszczania obywateli ziemskich, jak obecna. Nigdy posiadacze majątków większych nie mieli mniéj środków do obrony aniżeli teraz. Nietylko w Poznańskiém, ale w innych prowincyach znaczniejsze obszary rolne przechodzą ciężkie przesilenie, którego koniec ani co do czasu, ani co do rezultatu przewidziéć się nie daje. Konkurencya pszenicy amerykańskiéj i indyjskiéj nie stała by się tak groźną, gdyby nasi właściciele folwarków nie byli w téj chwili podobni do człowieka, któremu tchu brak. Gotówki niéma, nie podobna więc nic przedsięwziąć, ziemia nie przynosi tyle dochodu, ile trzeba płacić procentów od długów hipotecznych i niehipotecznych. Nawet sprzedać majątku niéma komu, bo w dzisiejszych ciężkich czasach nikt nie chce kupować. Położenie rzeczywiście bez wyjścia niemal. To téż ciągle w gazetach literaci z powołania i przygodni zabierają głos w téj sprawie i coraz to jednogłośniéj wskazują na parcelacyą, jako na jedyną drogę ratunku. Szkoda tylko, że poważne uwagi i rady, oparte na gruntowném zbadaniu sprawy i wskazówkach nauki, stanowią niewielki tylko procent w chórze tych głosów. Gazeciarscy rzecznicy dzielą się na dwie kategorye, można powiedziéć na dwie szkoły, traktujące się wzajemnie z poczuciem własnéj wyższości. W nadawanych sobie mianach tkwi ironia, a nawet pewna pogarda; jedni ochrzczeni zostali przez przeciwników teoretykami „z po za zielonego stolika“, drudzy „praktykami z Psiéj Wólki.“ Spory dwu tych kierunków ujawniły się we wszystkich niemal dziennikach. Zarzut braku kompetencyi powtarza się ciągle, jak przegrywka w piosence. Zielonym stolikom wydaje się, że obejmując okiem kraj cały, lub może nawet glob, sądzą trafniéj i z punktu ogólnych interesów, nie powodując się prze-

sądami, panującymi w jakiéjś parafii, nie rządząc się widokami osobistych lub stanowych korzyści. Praktycy zaś zarzucają literatom z profesyi zupełną nieznajomość stosunków. Nawiasowo zwrócę uwagę, że warszawscy socyolodzy nie zupełnie mają słuszność, pomiatając bezwzględnie zdaniem mieszkańców Wólek; tacy myśliciele, jak August Comte i Fryderyk Le Play zwracali się o rady, wskazówki i zdania do ludzi, zajętych praktyką na roli lub w fabrykach, i bardzo je wysoko cenili. Jestto zresztą łatwe zupełnie do zrozumienia, że człowiek, sądzący o czémś jedynie teoretycznie i nie mający nigdy niemal z życiem styczności, zapomni o wielu względach, o drugorzędnych stronach jakiéjś kwestyi.

W ocenianiu stosunków rolnych, w decydowaniu o przyszłości i znaczeniu większych majątków pewna część prasy, szczególniéj ta, która gorąco zaleca parcelacyą, zdaje się niezupełnie z właściwego stanowiska patrzy na rzeczy. Staje się coraz bardziéj koniecznêm dla należytego pojmowania sprawy przez ogół, aby ludzie kompetentni, wolni od wszelkich tendencyi, wyjaśnili nam naukowo, czy niemoc dużych posiadłości związana jest z samém ich istnieniem i wynika jako konieczność z rozwoju przemysłu, handlu i t. d., czy wielkie gospodarstwo wydaje nieuniknienie mniéj niż małe i musi dla dobra społecznego upaść w walce o byt; czy téż kryzys spowodowany został jedynie czasowymi i miejscowymi warunkami; przy jakim systemie podziału własności siła produkcyjna ziemi wzrośnie? Inaczéj traktować należy parcelacyą, jeżeli drobna majętność jest ostatecznym ideałem i kresem rozwoju stosunków rolnych, a inaczéj, jeżeli ona, ratując może chwilowo sytuacyą, obniży wartość wytwórczą kraju. Będziemy ją naturalnie wszyscy popierać zawsze, gdy wystąpi jako środek, chroniący ziemię od napływu Niemców, lecz nie rozwiniemy wielkiéj energii dla jéj wprowadzenia, jeżeli obyć się bez niéj potrafimy. Zadłużeni i niedający sobie dziś rady posiadacze mogą się wzmódz na siłach, lub być zastąpieni przez jakieś nowe żywioły, a zachowanie lepszego warsztatu tylko korzyść krajowi przyniesie. Były próby wyświetlenia téj kwestyi, lecz na jedno zdanie odpowiedziano drugiém, przytoczone dane zbijano innemi i ostatecznie nic dziś wiedziéć nie można. Zdaje się, że różność wyników nie tyle jest spowodowaną trudnością zadania, ile domieszką tych lub owych tendencyi, moralnych, politycznych, społecznych. Tymczasem sched szlacheckich nie uratuje od upadku żadna obrona, jeżeli ten upadek wynika z biegu rzeczy; a z drugiéj strony wymierzanie sprawiedliwości społecznéj, zapewnianie bytu niemającym, protegowanie krzywdzonych żywiołów powinno odbywać się na innéj drodze. Biéda, nierówność majątkowa, upośledzenie, są wyni-

kiem tego, iż ilość materyalnych środków jest ograniczona, często niewystarczająca. Najsprawiedliwszy podział, któryby zmniejszył jednocześnie ilość bogactw, w bardzo krótkim czasie odbiłby się fatalnie na ogólnym dobrobycie. Ludzie, pragnący usunięcia nędzy, przedewszystkiém dbać powinni o to, aby nie obniżać siły produkcyjnéj społeczeństwa; są inne drogi zmieniania dzisiejszego stanu. Dlatego téż nam się wydaje, że rozstrzygnięcie pytań co do wartości ekonomicznéj różnych rodzajów własności ziemskiéj może i powinno być z powszechną korzyścią zrobione niezależnie od wszelkich innych względów. Dopóki zaś to nie zostało dokonane, wszelkie wywody publicystów są zamkami na lodzie, ćwiczeniami wyobraźni i dowcipu.

Wskazówki, nadsyłane przez rolników do pism, ogół czytelników, przy zupełnym braku punktów wytycznych do oryentowania się w całości sprawy, nie wiele oświecą; ale za to badającym rzecz gruntownie bardzo przydać się mogą. Dobrze by było, aby w takich głosach ze wsi, wnioski—uogólnienia robione były z większą względnością. Na każdym niemal kroku przebija się tam ta znana słabość natury ludzkiéj, która bezpośrednim wrażeniom nadaje przesadzone znaczenie, dojrzane własném okiem, wypadki uważa za wynik jakichś praw, wszędzie panujących, a otoczenie swoje ma za typ powszechny. Spotykamy więc zdania, oceniające naturę chłopa nie z jednego jakiegoś powiatu, lub prowincyi, i w pewnym czasie, lecz zupełnie ogólnie; stosunek procentów od kapitału ruchomego do dochodu z ziemi zależy naturalnie od roku mniéj lub więcéj urodzajnego, od dobroci gleby, od położenia, środków komunikacyjnych i t. d., tymczasem podający swe uwagi rolnicy decydują to zupełnie bezwzględnie.

Mamy świeży dowód z téj saméj sfery spraw, jak łatwo jest się pomylić w sądzie, zapominając, iż to, cośmy widzieli, mogło być wyjątkiem. Kilkakrotnie słyszéć się dawały narzekania, że Żydzi rujnują majątki, które wpadły w ich ręce. Towarzystwo Kredytowe postanowiło rzecz tę zbadać dokładnie. Ani kompetencya, ani bezstronność naszéj instytucyi ziemiańskiéj nie ulega chyba w tym wypadku żadnéj wątpliwości. Wiadomości, tą drogą zebrane, dowodzą, że oskarżenia o tyle były uzasadnione, o ile ktoś gdzieś wypadkowo spotkał gospodarstwo źle prowadzone przez nabywcę żyda, ogólnie zaś rzecz się ma inaczéj. W całém Królestwie w posiadaniu Izraelitów znajduje się 335 majątków; z téj liczby w 147 (43,8%) stan gospodarstwa przedstawia się *wzorowo*, w 103 (30,7%) *mniéj zadawalniająco*, w 63 (18,7%) *zupełnie nieracyonalnie*, w 15 majątkach dzisiejsi dziedzice przystąpili do parcelacyi, 9 wypuszczono w dzier-

żawę (1). Procent 18,7% zupełnie źle prowadzonych gospodarstw jest zapewne duży, jeżeli się jednak weźmie ilość pomarnowanych majątków przez posiadaczy innego pochodzenia, to znika przyczyna do potępiania wyłącznie Żydów. Zaznaczmy jeszcze, że służebności zniesiono w 134 dobrach, w 39 pozostało niewiele do uregulowania, a 162 majątki żydowskie wcale nie przystąpiły do zamiany serwitutów.

Nasuwa się nam drugi wypadek, gdzie zbytnie zaufanie wrażeniom, doznanym z bezpośredniego otoczenia, doprowadziło do wniosków fałszywych, lub niedających się poważnie uzasadnić. Mówię o artykule „Głosu" *Smutne wnioski* (nr. 4). Niektóre pisma ujrzały w tém przejaw, zasługujący na wyklęcie, dowodzący braku uczuć, niemal przeniewierstwo. „Kraj" zaś z właściwą mu powagą zbijał naukowo wyniki bardzo nienaukowéj fantazyi. Mnie się zdaje, że artykuł „Głosu" nie tylko nie dowodzi braku uczuć lub dbałości o dobro naszego społeczeństwa, lecz przeciwnie, przekonywa o zbytniéj żywości i drażliwości tych uczuć, o zbytniéj gorliwości w sprawach, które dotyczą przyszłości i szczęścia narodu. Jakieś niepewne prawdopodobieństwo groźnego objawu, słaby błysk pozoru niebezpieczeństwa pobudza autora i redakcyą do wybuchnięcia kaskadą całą smutnych przepowiedni, jeremiaszowéj rozpaczy, które ze szpalt pisma najzupełniéj niepotrzebnie roznoszą niepokój w umysły ogółu. Oto ustęp, streszczający w sobie przewodnią myśl artykułu: „Twórczość umysłowa w ziemiach rdzennie polskich *przerażająco słabnie*, wskutek wyczerpania energii intelektualnéj, nie zasilanéj odpowiednio ani świeżym pokarmem naukowym i literackim, ani świeżymi sokami warstw, w których nagromadziły się zapasy nieużytych sił duchowych. Natomiast przejawia się ona tam, gdzie warstwy inteligentne przyjmowały *dotychczas słabszy* (?) udział w życiu cywilizacyjném narodu, gdzie przedstawiają one pierwiastek etnograficznie zmieszany i gdzie potrzeby umysłowe obficiéj są zaspakajane. Ten stan rzeczy jest wszakże nienaturalnym przy prawidłowym rozwoju społeczeństwa, który opierać się powinien (?) na jednolitości plemiennéj." Ustęp ten tak wygląda, jak gdyby zawierał argumenty wyprowadzone przez analogią organizmu społecznego ze zwierzęcym, ponieważ jednak teorya o *energii intelektualnéj* sama jeszcze wisi wśród mgieł, domysłów i przypuszczeń, więc autor przyrodnicze uzasadnienie uważał widocznie za dodatek, w całym zaś artykule gromadził szczegółowe dowody i szedł drogą indukcyi. Wyszło to tembar-

---

(1) Dane te powtarzamy za „Kurjerem Warszawskim", gdzie musiała zajść pomyłka w pojedynczych pozycyach, gdyż po dodaniu przenoszą one o 2 ogólną sumę.

dziéj na dobre wywodom „Głosu“, że warstwy inteligentne z ziem nie rdzennie polskich wcale nie mniejszy brały udział w życiu narodu. Życie to do ostatniego wieku było głównie polityczne, tymczasem Rzeczpospolitą trzęsły rody Ogińskich, Radziwiłłów, Czartoryskich, Potockich, Sapiehów, Sanguszków, Koniecpolskich, Wiśniowieckich i t. d.—wszystkie pochodzenia rusko-litewskiego; naturalnie satelity były liczniejsze tam, gdzie słońc było więcéj. Wszystkie rody królewskie (po Piastach), lub pojedyńczy królowie, z wyjątkiem Leszczyńskiego, byli z rodów nie rdzennie polskich, lub dostali się na tron wskutek takichże koligacyj. Umysłowe życie, o ile było, tętniało żywiéj raz tu, drugi raz tam, w sumie zaś niepodobna wiedzieć, która prowincya więcéj wydała energii; w XIX zaś wieku, według zapewnień samego autora z „Głosu", puls żywiéj bije „na kresach“ niż w rdzeniu.

Zdawało by się, że dla uzasadnienia powyższych twierdzeń należało wziąć ogół przejawów i sil inteligentnych tu i tam, ale *ogół*, więc zarówno uczonych i literatów, jak artystów, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, inżynierów i t. d., porównać to z liczbą inteligentnéj warstwy w dwu częściach, a następnie ponieważ mowa jest o *słabnięciu*, zbadać rozwój i stosunek tych sił w jakimś dłuższym przeciągu czasu. Jeśli to niemożliwe, to niemożliwe są i wnioski, jako oparte na niedokładném poznaniu kwestyi. Powtóre należało zdać sobie sprawę i wytłómaczyć, co to są kresy, a co rdzeń i trzymać się tego. Tymczasem każdy przypuszcza, iż do „gniazdowo“ polskich ziem należy Królestwo prawie cale, Wielkopolska i Galicya, ale zachodnia tylko; autor zaś, gdy mu tego potrzeba, Lublin (miasto), Podlasie (bez bliższego określenia) zalicza do kresów, całą Galicyę do rdzenia itd. Stąd gmatwanina nie do rozplątania. Skalą do mierzenia siły inteligencyi jest dla autora jedynie ilość prenumerowanych pism i ilość literatów z każdéj prowincyi. Ale, oparłszy swój rachunek na tak nawet wątpliwym gruncie, „Głos“ nie przeprowadził go ściśle lecz naginał do potrzeby. Wątpliwe prawdopodobieństwo i własne moralne przekonanie jest mu wystarczającym dowodem.

Rozklasyfikowanie literatów i uczonych według pochodzenia z téj lub owéj prowincyi jest niesłychanie dowolne. Słabnięcia żywiołu w prowincyach rdzennie polskich ma dowodzić ten fakt, że na profesora do Krakowa zawezwany został p. Rostafiński rodem wcale nie z kresów, lub to że Ochorowicz kończył nauki w Lublinie (!), chociaż urodził się i wychował w Warszawie. Pochodzenie z jakiegokolwiek punktu kraju, leżącego po prawéj stronie Wisły, wystarcza do zamianowania kresowcem. Autor powydłubywał nazwiska

bardzo mało znanych publicystów, jeżeli tylko znalazł się pozór zaliczenia ich do przedstawicieli nierdzennych prowincyi, co świadczy iż nawet do tak luźnego dowodzenia brakło mu materyału, a niezwrócił uwagi na daleko wybitniejsze talenty (Chlebowski, Smoleński, Dygasiński, Morzkowska, Narzymski, Asnyk itd.). Nieuwzględnioną została wcale możliwość różnych uzdolnień w różnych prowincyach, lub czasowe przeniesienie się sił z pola literackiego na inne. Jeszcze w początkach obecnego wieku Mochnacki zwracał uwagę na różność kierunków, upodobań i rodzaju zdolności pomiędzy wileńskiemi przyjaciołmi Mickiewicza i warszawskiemi kolegami Wysockiego. Gdyby ktoś wpadł na myśl wniosków o przyszłości intelektualnéj prowincyj w początkach epoki romantycznéj i porównywał metodą, użytą w „Głosie“, Wilno z Poznaniem, to by temu ostatniemu wywróżył wieczne ciemności, tymczasem Wielkopolska obejmuje wkrótce potém prym w życiu umysłowém i wydaje pierwszorzędne siły w nauce i literaturze.

Z Galicyą i Księstwem Poznańskiém autor obszedł się niesłychanie surowo, nie ma tam albo „nic prawie“, albo „nic zgoła“, ani „samodzielnych sił naukowych, ani talentów literackich“, „same chwasty i nikłe, blade porosty.“ „Od lat dwudziestu istnieją w Galicyi dwa uniwersytety polskie i jakich uczonych, spytać można, wykształciły one?“ Nietylko można spytać, ale należało nawet to zrobić przed pisaniem artykułu. Otóż w Krakowie wykształciło się kilku, a we Lwowie pod kierunkiem pr. Liskego cała falanga historyków, gruntownych i poważnych; krakowski uniwersytet wydał wielu lingwistów, na czele których postawić należy dra Hanusza prof. w Wiedniu. We Lwowie wychodzi „Kosmos“. Matematyka ma swoich poważnych przedstawicieli w Galicyi, z których pracami autor może spotkać się w pamiętnikach Akademii krakowskiéj. Tutejsza „Biblioteka umiejętności prawnych zasilaną jest i przez galicyjskich uczonych. Szkoły średnie i niższe przez kilkanaście lat ostatnich wzrosły znakomicie, co przecie głównie jest owocem pracy i talentu sił miejscowych, świadkiem Towarzystwo pedagogiczne i czasopismo „Muzeum“. Lam nie ustępował jako publicysta pierwszorzędnym siłom warszawskim, Bałucki, Bliziński, Lubowski muszą być także znani autorowi artykułu.

Chociażby nawet w Poznaniu już nie kłosy, ale nawet trawa bujniejsza nie porastała na niwie literackiéj, to i tak w żaden sposób nie stwierdza to faktu *słabnięcia* inteligentnego narodu. Inne prowincye, szczęśliwsze, czynią zadosyć potrzebom duchowym całości, dany więc kącik w téj bieżącéj chwili wszystkie swoje, zawsze szczupłe i nieliczne siły wytęża w innym kierunku; czy to nie konieczne,

naturalne i pożądane? W zeszłym dziesiątku lat odbierali Polacy Niemcom krzesła w parlamencie, obecnie tracą je przez wzmożenie obcego pierwiastku, ale coraz większa ilość jednostek bierze udział w życiu, jak tego dowodzą ostatnie wybory. Tam istnieją, mnożą się i rozwijają kółka włościańskie, czytelnie ludowe. Jak można w takich warunkach brać za probierz rozwoju życia literaturę? Co dziwnego, że pomiędzy różnemi częściami istnieje wymiana pomocy, wspólne załatwianie wspólnych potrzeb, rozkład sił, odpowiedni do warunków i wymagań chwili; czyż może, czyż powinno być inaczéj? Jak tak się będziem różniczkować, to niedługo kłócić się z sobą zaczną gubernie, późniéj powiaty, nareszcie parafie. Nie starajmyż się upodobniać kraju do literackiéj sfery w stolicy. Warszawska Szkoła Główna dała bardzo zasłużonych i pożytecznych profesorów uniwersytetowi krakowskiemu; skąd wiemy, że wszechnica jagiellońska nie spłaci tego długu z procentem. Utrzymana do dziś dnia możność wzajemnego posiłkowania się i uzupełniania, cieszyć nas chyba powinna, dowodzić żywotności, a nie służyć za racyą do pogrzebowych trenów.

Wierni słuchacze kazań literackich musieli być wprawieni w zakłopotanie artykułem „*Smutne wnioski*.“ Przez długi czas nawoływano do praktycznych zajęć, kazano brać się do rzemiosł, przemysłu, handlu, nie dać się łudzić poezyi,—zdawać się więc może tym prowincyom, które najwięcéj okazały posłuszeństwa, a wskutek tego najmniej sił mogły poświęcić innym zawodom, że są najbardziéj uzdolnione do życia; aż teraz jeszcze młodsza prasa wyrzuca i kamienuje je za brak poetów.

Słyszeliśmy od ludzi pokrewnych „Głosowi“, że kresy nic nam dać nie mogą i wyrzec się ich trzeba, a i z samego „Głosu“ podobne wnioski wyciągnąć się dadzą; teraz okazuje się, że wszelkie siły ztamtąd czerpiemy. Jak to pogodzić? Może by wypadało mniéj arbitralnie i bardziéj ostrożnie obchodzić się z tymi kresami.

W jakiejś nowelce Coppée opisuje paryskiego literata, jak, siedząc pod kawiarnią z kuflem piwa w ręku, wpatruje się w jedyne oświetlone okienko szóstego piętra, gdy na całéj ulicy ciemno już. W fantazyi jego przesuwają się obrazy cichego szczęścia, któremu pokrewnym wydaje się spokojny blask szyb; przebrał wszystkie możliwe kombinacye, chce się przekonać, która z nich jest prawdziwą, udaje się na górę i znajduje... trupa na marach. Autor z „Głosu“ zdaje mi się popełnił przez zbyt śmiałą domyślność większą jeszcze pomyłkę; dojrzał on błysk tylko, nieujęty, niepochwytny, nie pomyślał, że to może złudzenie jego własnego oko, może odbicie jakiegoś dalekiego światła, może blask zwykłéj przenoszonéj

świecy, wyobraźnia podsunęła mu widmo pożaru i alarmuje dom cały okrzykiem *gore*! Intencya była bezwątpienia dobrą, ale dzięki jéj, mógł ktoś uledz w popłochu kalectwu, ktoś inny zachorować z przestrachu itd. Tyle mamy rzeczywistych racyj do obaw i znękania, na co jeszcze szarpać i tak zmęczone nerwy marami i przepowiedniami, opartemi na widzi mi się. Higiena społeczna wymaga oględnoś . v takich wypadkach.

Już po napisaniu „kroniki“ przeczytałem odpowiedź „Głosu“, udzieloną „Krajowi“ w kwestyi *Smutnych wniosków*. Z przykrością przekonałem się, że tygodnik warszawski porwany został ferworem polemicznym i zajętego stanowiska opuścić nie zechce. Co gorsza, zapomniał on o pierwotném swojém założeniu *przerażającego słabnięcia* i wszedł na grunt sporu o wyższość różnych części kraju. Tu naturalnie można bronić się i napadać do skończenia świata. Można pod każdém zdaniem podpisywać kolumny nazwisk, wykreślać takowe u przeciwników, upierać się przy różności plemiennéj, lub téż uzasadniać jedność, posuwać i cofać granice etnograficzne... ale *cui bono*? Czy to kwestya na czasie? Autor z „Głosu“ powiada: „We Włoszech i Francyi stwierdzono (czy téż tylko twierdzono?) że ojczyzną wielkich ludzi są zawsze kraje pagórkowate, otwarte, lub téż miejscowości nadmorskie. U nas widzimy to samo: pagórkowate okolice Nowogródka lub północno - zachodniego Podola i południowego Wołynia dały nam największą liczbę najznakomitszych umysłów?“ Na dowód tego autor cytuje dziesiątki nazwisk, poczynając od XVI wieku, mających stwierdzić wyższość intelektualną kresów. Ależ i owszem; tylko że ta słabość rdzenia jest chyba stałą, skoro zależy od pagórków, nie zaś od wyczerpania i energii intelektualnéj, i na co w takim razie był alarm z powodu „przerażającego słabnięcia.“ Czy w zamian za to „gniazdowe“ prowincye nie dawały rzemieślników, artystów, prawników, doktorów, architektów i t. d., czy dziś ich mniéj dają? Może to stwierdzi tylko racyą historycznego połączenia sił dopełniających się i trwałość związku w przyszłości. Dziwnie wygląda, że pismo co zapowiadało niemoc szlachty, potrzebę przewagi chłopskiego żywiołu i ideałów w życiu, powołuje się, dla dowiedzenia konieczności zwrotu do ludu, na masę nazwisk mężów zasłużonych aż do ostatniéj chwili i pochodzących wyłącznie niemal z warstw uprzywilejowanych; i co ważniejsza stwierdza, że najwydajniejsze są te prowincye, gdzie ludu polskiego wcale nie ma, gdzie „cywilizacya stanowa“, ta sprawczyni wszystkich nieszczęść, doszła do najwyższego rozkwitu.

Musimy przywitać tu nowe, lub właściwiéj odrodzone pismo, ale w innych szatach i barwach, „Tygodnik Powszechny“ (pismo po-

święcone literaturze, krytyce, sztuce i polityce). Program i zamiary, o których w każdym numerze jest mowa, tak są przysłonięte cieniami ogólników, że dobrze wymiarkować nie byłem w stanie o co chodzi. Pismo to przypomina dawne czasy, kiedy literatura peryodyczna stawiała u nas pierwsze kroki i odpowiadała potrzebom publiczności o wymaganiach o wiele skromniejszych niż dzisiejsze. Na miejsce wydawania takiego tygodnika właściwsze by było jakie miasteczko na Pokuciu niż Warszawa. Niestaranność w opracowaniu i w korekcie, błędy, których w żaden sposób nie można przypisać niewiadomości, napełniają szpalty. Bitwa pod Waterloo miała się odbyć w roku 1805 i to powiedziane jest w informacyi, danéj w odpowiedziach! Ziemi chłopskiéj jest w królestwie $^5/_{11}$, a szlacheckiéj $^7/_{11}$, czyli razem $^{12}/_{11}$, nie licząc miast i posiadłości rządowych. W artykułach, poświęconych wyłącznie Sienkiewiczowi, podano, że „Humoreski z teki Werszyłły“ (Worszyłły) drukowane były w „Wieńcu“ i t. d.; pełno tego na każdym kroku. Ortografia i stawianie znaków pisarskich odznacza się dziwną niezależnością. Może to wina zecera.

Ludwik Straszewicz.

P. S. *Z* powodu zdania mego w styczniowéj „Kronice“ o pannie Hubertynie Auclert, p. Szeliga w „Świcie“ wystąpiła z protestem, napisanym w sposób krzywdzący mnie, do czego redakcya téż dorzuciła kamyczek. Posłałem na ręce wydawcy, p. Lewentala, artykuł, dowodzący cytatami, iż twierdzenia pani Szeligi co do życia francuskiéj agitatorki nie są słuszne. Ani głos mojéj obrony nie został przyjęty do „Świtu“, ani nie zostało zrobione sprostowanie, o które prosiłem. Nie mogąc drugiéj kroniki zaprzątać panną Auclert, muszę z konieczności wstrzymać się do przyjaźniejszéj chwili z udowodnieniem, że słowa moje, wyrażone dwa miesiące temu, odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy.



NEKROLOGIA.

† **Teofil Żebrawski** urodzony r. 1800 w Wojniczu (w Galicyi) odebrawszy wyższe wykształcenie w uniwersytecie jagiellońskim, r. 1821 wstąpił do szkoły górniczéj w Królewcu, a w dwa lata potém wstąpił do wojska polskiego, gdzie r. 1830 został podporucznikiem sztabu. Po wypadkach r. 1831, w których czynny brał udział, na wydziale matematycznym w Krakowie otrzymał stopień doktora filozofii, a od r. 1834 wykładał tu geodezyę i topografię, poczém został adjunktem przy katedrze historyi naturalnéj. Od r. 1842 pracował jako dyrektor fabryki maszyn parowych w Leodyum, stąd w r. 1847 wrócił do Krakowa i otrzymał patent na budowniczego; wystawił kilka świątyń na prowincyi, a w Krakowie wielką nawę kościoła dominikanów. Był członkiem Towarzystwa Naukowego krakowskiego, a następnie Akademii Umiejętności. Pisał wiele i to w bardzo rozmaitych przedmiotach. Rozpoczął r. 1830 od „Kabały kwiatów" zawierającéj 63 obrazków z objaśnieniami na 6 stronicach. W 1833 wydał „Kartę okręgu w. m. Krakowa"; w 1838 „Dopełnienie dawnéj bibliografiii polskiéj"; w 1841 rzecz „O moście wiszącym własnego pomysłu"; w 1847 „Kilka zadań z geometryi wykreślnéj"; w 1849 „Początkowe wiadomości z geometryi dla praktycznego użytku"; w 1860 „Owady łuskoskrzydłe z okolic Krakowa" (str. 354); w 1865—71 „O pieczęciach dawnéj Polski i Litwy"; w 1873 „Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań" (str. 617). Wyliczyliśmy tu zaledwie cząstkę prac niestrudzonego badacza; po resztę odsyłamy do Bibliografii Estreichera (tom V i VII). Zmarł w Krakowie 5 lutego r. b.

† **Jan Zawisza** urodził się r. 1823 w gubernii mińskiéj. Ukształcony w domu, dopełnił następnie braki naukowe w licznych podróżach za granicą. Ożeniwszy się, osiadł stale w Warszawie i należał do grona gorliwych archeologów naszych wraz z Aleksandrem Przeździeckim, Edwardem Rastawieckim, Karolem Bayerem, braćmi Zeltami, Józefem Przyborowskim. Z poszukiwań swoich w kraju i udziału w zjazdach archeologicznych zdawał sprawę w języku polskim i francuskim. Był spółpracownikiem „Biblioteki Warszawskiéj", „Wiadomości archeologicznych", „Pamiętnika fizyograficz." Osobno wydał: „Poszukiwania archeologiczne" (Warsz. 1871), „Kongres antropologii i archeologii przedhistorycznéj w Brukselli 1872" (Warsz. 1873), „Jaskinia mamuta w Ojcowie" (1874), „Dalsze poszukiwania archeologiczne w Polsce" (Warsz. 1876), „Poszukiwania archeologiczne w Polsce 1877, 1878, 1879 po polsku i po francusku (Warsz. 1879). Umarł w Warszawie d. 22 lutego r. b.

KORESPONDENCYA.

Szanowny Redaktorze!

Przeczytawszy zapóźno wzmiankę o mnie w zeszycie lutowym, nie mogę dać repliki do zeszytu marcowego; przeto najuprzejmiéj proszę o zaznaczenie, że wzmianka o mnie nie jest autentyczną, a w dowód tego obowiązuję się do zeszytu kwietniowego zamiast repliki, bo polemizować nie chcę, przedstawić treściwe moje „curriculum vitæ."

Z wysokim szacunkiem

Warszawa, 1 Marca 1887. *Ryszard Puciata.*

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Stycznia i Lutego 1887 r.

---

1. **Rocznik statystyki** przemysłu i handlu krajowego wydany przez Krajowe biuro statystyczne. pod redakcyą *D ra Tadeusza Rutowskiego.* Lwów, 1885 i 1886, 4-to. Rocznik pierwszy. Zeszyt I: Przemysł młynarski w Galicyi (str. 45 i 144).— Zeszyt II: Cukrownictwo, krochmalarstwo (str. 60).—Zesz. III: Przemysł gorzelniany w Galicyi. Część I (str. LXVI i 83).—Rocznik drugi. Zesz. I: Wywóz bydła z Galicyi i znaczenie targowicy wiedeńskiej dla kraju (str. 44). —Zesz. II: Ceny płodów rolniczych na jarmarkach i targach Galicyi w r. 1884. (nlb. kart 3+str. CXL+nlb. kart 9).
2. Oddział Warsz, Towarzystwa popier. przem. i handlu, Sekcya II. **Sprawozdanie meteorologiczne** za miesiąc Wrzesień 1886 r. str. 15.
3. **Ustawa o urządzaniu gruntowem** wiejskich czynszowników wieczystych w guberniach zachodnich i białoruskich (w dwóch językach). Petersb., skł. głów. w Administracyi „Kraju“, 1886. str. 35 (Cena r. 1).
4. **Przepisy o nadzorze nad fabrykami** i o wzajemnych stosunkach między fabrykantami i robotnikami (w dwóch językach). Petersb. skład główn. w Administr. „Kraju“, 1886, str. 35 (cena kop. 50).
5. **Przepisy o najmie robotników wiejskich** (w dwóch językach). Petersb. skład gł. w Administr. „Kraju“. 1886, str. 41 (cena kop. 50).
6. **Gość. Kalendarz** ułożony przez *Promyka* na rok zwyczajny 1887. Warsz , w Księgarni Krajowej Konr. Prószyńskiego, 8-o, str. 168.
7. **Sprawozdanie** wydziału Towarzystwa bratniej pomocy uczniów wyższej szkoły rolniczej w Dublanach (za r. 1885/86). Lwów, 8-o, str. 20.
8. **Z życia**. Nowelle. przez z hr. Łosiów *br. M. Hagen.* Lwów, nakład Gubrynowicza i Schmidta, 1886. 8-o, str. 277.
9. **Z życia poety.** Wspomnienie o Władysławie Syrokomli skreślił *Julian Horain.* Lwów, nakł. Gabrynowicza i Schmidta, 1886, 8-o, str. 130.
10. *M. Jokaj.* **Powieści pomniejsze**. Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1886, 8-o, str. 224.
11. *M. Jokaj.* **Bielica Liwoczańska**. Powieść historyczna z węgierskiego. Lwów, nakł. Gubrynow. i Schmidta, 1886, 8-o. t. I, st. 216, t. II. st. 235.
12. **Krzysztof Warszewicki**. 1543—1603 i jego dzieła. Monografia historyczno-literacka przez *Teodora Wierzbowskiego.* Warsz. 1887, 8-o, str. XII i 406 (Cena rs. 3).
13. **Z najnowszej krytyki.** Nasi powieściopisarze w oświetleniu Piotra Chmielowskiego sprawozdał *Władysław Prokesch* str. XCI+222.
14. **Gawędy ekonomiczno-społeczne** *Adama Chałupczyńskiego.* Włocławek, nakł. Hermana Neumana, 1887, 8-o, str. 330.
15. **Ziemia Kujawska** pod względem historycznym, jeogr. archeol., ekonomicz. i statystycznym opisana przez *Maksymiliana Boruckiego.* Włocł., nakł. H. Neumana, 1883, zesz. 9, 10, 11 i 12 (str. 295 – 374), 8-o.
16. Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI — XVIII w. Zeszyt I: **Wenecya**. Poemat historyczno-polityczny z końca XVI w. Wydał *Teodor Wierzbowski.* Warsz. 1886, 8-o, str. XLI+91+V (c. rs. 3).
17. Bibl. zapomn. poet. i prozaik pol. Zesz. II: **Mowy Krzysztofa Warszewickiego**, wypowiedziane i wydane w r. 1602, powtórnie do druku podał *Teodor Wierzbowski.* Warsz. 1885, 8-o, str. II i 27 (cena rs. 1).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Февраля 1887 г.